wolnelektury.pl

Eleanor H. Porter
(tłum. Władysław Juszkiewicz)

Pollyanna

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

ELEANOR H. PORTER

Pollyanna

TŁUM. WŁADYSŁAW JUSZKIEWICZ

ROZDZIAŁ I. PANNA POLLY

Pewnego czerwcowego dnia panna Polly Harrington weszła gwałtownie do kuchni. Zazwyczaj panna Polly nie wykonywała ruchów nerwowych i szczyciła się swym opanowaniem — dziś jednak wyraźnie śpieszyła się. Zmywająca w tej chwili naczynia Nancy spojrzała na nią z pewnym zdziwieniem. Chociaż Nancy służyła u panny Polly dopiero od dwóch miesięcy, zdążyła jednak zauważyć, że jej pani nie okazywała nigdy zbytniego pośpiechu.

— Nancy!

— Słucham panią — odpowiedziała wesoło Nancy, wycierając półmisek.

— Nancy! — Głos panny Polly stał się surowy. — Gdy mówię, proszę przerwać pracę i słuchać!

Nancy zarumieniła się.

— Dobrze, proszę pani, rozumiem! — odrzekła, jąkając się i kładąc pośpiesznie półmisek i ścierkę. — Tylko że pani sama kazała, aby naczynia były jak najprędzej umyte.

Panna Polly zmarszczyła brwi.

— Dosyć, Nancy! Nie prosiłam o wyjaśnienia, tylko o uwagę.

— Słucham panią — westchnęła Nancy, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zdoła dogodzić swej pani.

Nancy nigdy dotychczas nie była na służbie, lecz położenie chorej matki, która nagle owdowiała i pozostała sama z trojgiem młodszych dzieci, zmusiło starszą córkę do poszukania jakiegoś zajęcia, aby dopomóc rodzinie — więc Nancy była bardzo zadowolona, gdy znalazła pracę w kuchni dużego domu stojącego na wzgórzu. Nancy mieszkała w wiosce oddalonej o jakieś sześć mil[1] i słyszała o pannie Polly Harrington, właścicielce starej willi Harringtonów, jako o najbogatszej osobie w okolicy. Podczas swego dwumiesięcznego pobytu w jej domu poznała pannę Polly również jako gospodynię wymagającą, o zimnym i surowym wyrazie twarzy, która marszczyła brwi, gdy upuszczono na podłogę nóż lub zbyt głośno stuknięto drzwiami, i która nigdy się nie uśmiechała, nawet gdy z nożem i drzwiami obchodzono się bezszelestnie.

— Nancy — mówiła panna Polly — po ukończeniu pracy w kuchni proszę sprzątnąć pokoik na poddaszu, wstawić tam rozkładane łóżko i naturalnie powynosić na strych wszystkie kufry, ponieważ wkrótce przyjedzie moja jedenastoletnia siostrzenica, Pollyanna Whittier, i zamieszka w tym pokoiku.

— Czyżby naprawdę, proszę pani, miała tu zamieszkać mała dziewczynka? — zawołała Nancy, która przypomniała sobie swe życie na wsi i atmosferę radości i wesela rozsiewaną dokoła przez jej małe siostrzyczki. — Boże, jak to będzie cudnie!

— Cudnie? To nie jest odpowiednie w tym wypadku określenie — odrzekła sucho panna Polly. — Przyjmuję ją dlatego, że jestem, jak sądzę, dobrym człowiekiem; i znam swoje obowiązki!

Nancy zarumieniła się powtórnie.

— Bez wątpienia, proszę pani! Myślałam tylko, że mała dziewczynka panią rozweseli!

— Dziękuję — odparła szorstko panna Polly. — Na razie nie widzę pilnej tego potrzeby.

[1] *mila* — dawna miara odległości równa ok. 1,6 km; sześć mil to ok. 10 km. [przypis edytorski]

— Ale przecież będzie pani przyjemnie mieć przy sobie córeczkę swojej siostry — powiedziała znów Nancy, która za wszelką cenę chciała dobrze usposobić pannę Polly do samotnej dziewczynki.

— Jeśli moja siostra była na tyle nieostrożna, że wyszła za mąż i pozostawiła potem sierotę, to nie znaczy, że wychowywanie jej powinno mi sprawiać przyjemność. Jest to jedynie moim obowiązkiem, jak ci przed chwilą powiedziałam. Proszę tylko starannie sprzątnąć pokój — dodała, opuszczając kuchnię.

Wróciwszy do swego pokoju, panna Polly wzięła z biurka list, który otrzymała przed kilkoma dniami z małego miasteczka leżącego daleko na zachodzie.

List ten, adresowany do panny Polly Harrington w Beldingsville, brzmiał jak następuje:

> Szanowna Pani!
>
> Z przykrością donoszę, że dwa tygodnie temu zmarł wielebny John Whittier, osierocając jedenastoletnią córeczkę. Nie zostało po nim nic oprócz kilku książek, gdyż, jak pewnie Pani wiadomo, był pastorem przy kościółku w niewielkim miasteczku i nie miał żadnych dochodów.
>
> Był on mężem siostry Szanownej Pani, lecz o ile wiem, rodziny nie komunikowały się ze sobą. Mimo to pastor wyrażał za życia nadzieję, że w razie jego śmierci zgodziłaby się Pani zaopiekować dziewczynką i dlatego zwracam się teraz do Pani.
>
> Dziewczynka może wyjechać w każdej chwili i jeśli otrzymamy przychylną odpowiedź, państwo Gray, którzy wyjeżdżają do Bostonu, zabiorą ją ze sobą, a w Bostonie wsadzą do pociągu odchodzącego bezpośrednio do Beldingsville. Naturalnie Szanowna Pani zostanie powiadomiona o dniu i godzinie przybycia Pollyanny.
>
> W oczekiwaniu odpowiedzi, łączę wyrazy szacunku.
>
> *Jeremiasz White.*

Panna Polly włożyła list z powrotem do koperty. Wczoraj odpisała, że weźmie dziewczynkę do siebie. Zamierzała spełnić swój obowiązek, nawet gdyby pociągnęło to za sobą pewne nieprzyjemności.

Obecnie, siedząc w wygodnym fotelu, wspominała swą siostrę, Eugenię, matkę Pollyanny, gdy ta jako dwudziestoletnia panna wyszła wbrew woli rodziców za mąż za młodego pastora. Starał się o nią również pewien bogaty pan i uzyskał względy rodziny, ale nie Eugenii. Bogaty pan miał sporo pieniędzy, ale i lat niemało, pastor zaś posiadał młodą, pełną ideałów duszę i kochające serce. Eugenia wybrała to ostatnie i zaraz po ślubie wyjechała z nim jako żona misjonarza.

Wtedy nastąpiło rozluźnienie stosunków w rodzinie.

Panna Polly pamiętała to dobrze, chociaż miała wtedy zaledwie piętnaście lat.

Początkowo Eugenia pisywała od czasu do czasu kilka słów. Ostatnie dziecko — inne umarły — nazwała Pollyanną, od imion swoich dwu sióstr, Polly i Anny.

Wzmiankowała o tym w swym ostatnim liście.

W kilka lat później z paru zbolałych słów pastora dowiedziano się o jej śmierci.

Panna Polly, patrząc teraz przez okno na leżącą u stóp wzgórza szeroką dolinę, przebiegała myślą cały ten czas. Obecnie miała czterdzieści lat i była sama na świecie. Cała rodzina wymarła, a ona została jedyną właścicielką pozostawionego przez ojca majątku.

Namawiano ją, by przyjęła do siebie jakąś towarzyszkę, by nie żyła tak w samotności, lecz panna Polly odrzuciła wszystkie propozycje i pozostała sama.

A teraz...

Czuła, że obecnie jej tryb życia ulegnie zmianie, przecież jednak to, co zamierzała zrobić, stanowiło jej obowiązek!

Myślała o tym ze zmarszczonym czołem i zaciśniętymi wargami.

Ale co za niedorzeczne imię: *Pollyanna*!

ROZDZIAŁ II. PRZYBYCIE POLLYANNY

Nancy, stosując się do wskazówek swej pani, starannie wymyła i wyczyściła pokoik na poddaszu, lecz robiła to nie tyle z polecenia panny Polly, ile z pewnej sympatii, która zrodziła się w jej duszy do Pollyanny, chociaż jej jeszcze nie znała. Nancy, wiedziona instynktem, wyczuwała, że przybycie Pollyanny zmieni tryb życia w domu na wzgórzu i może rozgrzeje chłodną atmosferę, która panowała tu na każdym kroku.

Nancy zwierzyła się ze swymi myślami staremu Tomaszowi, ogrodnikowi, lecz on nie podzielał jej przypuszczeń i nadziei, bo służył tu znacznie dłużej i nie wierzył, aby coś mogło rozgrzać zlodowaciałą duszę panny Polly.

W kilka dni potem nadeszła krótka depesza zawiadamiająca o dniu przyjazdu Pollyanny.

Panna Polly nie uważała, aby oczekiwanie Pollyanny na dworcu wchodziło w zakres jej niezbędnych obowiązków, pozostała więc w domu, a na stację kolei wysłała Nancy.

Nie było trudno poznać małą pasażerkę, bowiem jedynie ona wysiadła z pociągu na stacji w Beldingsville.

W powrotnej drodze Pollyanna, która poczuła od razu sympatię do Nancy, opowiedziała jej w kilku słowach swoje przejścia po śmierci ojca. Ponieważ została sama, samiuteńka na świecie, umieszczono ją chwilowo w miejscowej ochronce[2] Koła Opieki. Parę tygodni spędzonych tam do chwili wyjazdu wydawało się jej latami, a obecnie była tak szczęśliwa, że ukochana ciocia, choć nieznana, zgodziła się wziąć ją do siebie!

Nancy, chociaż była prostą dziewczyną, zrozumiała jednak od razu, że promienny i radosny nastrój dziewczynki nie spotka oddźwięku w duszy panny Polly, nic jednak nie mówiła, słuchając z przyjemnością szczebiotu dziewczynki.

Gdy wreszcie Pollyanna z Nancy stanęły na progu, panna Polly nie wstała, aby przywitać siostrzenicę. Podniosła tylko oczy znad książki, którą trzymała, i na powitanie wyciągnęła rękę, na każdym palcu której dużymi literami było jakby wypisane słowo „obowiązek".

— Jak się masz, Pollyanno? Ja...

Nie mogła jednak powiedzieć nic więcej, gdyż dziewczynka w paru susach przebiegła pokój i rzuciła się w objęcia ciotki, zgorszonej[3] tym niespodziewanym atakiem.

— Ciociu, kochana ciociu Polly! Jak bardzo się cieszę, że ciocia pozwoliła mi przy sobie zamieszkać — mówiła przerywanym głosem dziewczynka. — Ciocia nie ma pojęcia, jak przyjemnie będzie z ciocią i z Nancy po tych paniach z Koła Opieki!

— Możliwe; chociaż nie znam tych pań, należących do Koła Opieki — odparła panna Polly, starając się wyswobodzić z uścisku małych rączek i rzucając rozgniewany wzrok w stronę Nancy, stojącej wciąż na progu.

— Nancy może odejść! Pollyanno, proszę zachowywać się przyzwoicie. Nawet nie zdążyłam cię obejrzeć!

Pollyanna cofnęła się, wciąż uśmiechając się, już jednak z pewnym zakłopotaniem.

— Rzeczywiście! Ale ja nie jestem ładna, bo mam piegi. Poza tym muszę cioci wytłumaczyć pochodzenie tej sukienki w duże, czerwone kraty, dziurawej na łokciach. Ojciec mój mówił...

— Dosyć, Pollyanno! Proszę nie myśleć o tym, co mówił ojciec — przerwała sucho panna Polly. — Masz pewnie jakiś kuferek z rzeczami?

— O tak, ciociu! Panie z Koła Opieki podarowały mi ładny kuferek. Co prawda, nie ma tam nic nadzwyczajnego, gdyż ostatnimi czasy Koło Opieki nie otrzymywało prawie wcale ubrań dla dziewczynek; lecz są tam książki ojca, bo pani White mówiła, że muszę je wziąć ze sobą. Ciocia wie, że tatuś...

— Pollyanno! — przerwała znów ciotka — jedno musisz zrozumieć i zapamiętać: nie życzę sobie, abyś mi wspominała o swym ojcu!

Dziewczynka wstrzymała oddech.

— Czyżby ciocia chciała powiedzieć, że... — zatrzymała się, jakby szukając odpowiednich wyrazów, a panna Polly skorzystała z tej przerwy, mówiąc:

---

[2]*ochronka* — dom opiekuńczy; tu: dom sierot. [przypis edytorski]

[3]*zgorszony* — taki, który *zgorszył się* czymś, tzn. poczuł, że naruszono zasady przyzwoitości, moralności. [przypis edytorski]

— Chodźmy teraz do twego pokoju. Kufer już pewnie tam jest. Chodź za mną.

Pollyanna bez słowa protestu udała się za ciotką z oczyma pełnymi łez, lecz z główką podniesioną do góry.

ROZDZIAŁ III. POKOIK NA PODDASZU

„Może to i dobrze — myślała, — że ciocia nie pozwala mi mówić o ojcu, gdyż wspomnienie o nim jest dla mnie zawsze takie bolesne! Ona od razu wzięła to pod uwagę!"

I Pollyanna, upewniona coraz silniej o dobroci swej ciotki, wytarła łzy i zaczęła z zaciekawieniem rozglądać się dokoła.

Przez otwarte drzwi widziała wspaniałe pokoje, a w nich kosztowne meble i cudne obrazy; szła po miękkim dywanie głuszącym kroki, a słońce, rzucając swe promienie na złote ramy obrazów i prześliczne koronkowe firanki, pochłaniało całkowicie jej uwagę.

— Ciociu! — wykrzyknęła wreszcie z zachwytem. — Jakie wspaniałe mieszkanie! Ciocia musi być bardzo szczęśliwa, że posiada takie bogactwo!

— Pollyanno — odpowiedziała, odwracając się nagle, ciotka — zdziwiona jestem, że mi to mówisz. Jestem wdzięczna Najwyższemu za wszelkie jego łaski dla mnie, nie zaś wyłącznie za bogactwo.

Szły teraz schodami na górę.

Panna Polly cieszyła się w duchu, że dziewczynka będzie mieszkała na poddaszu. Od początku postanowiła ulokować ją jak najdalej od siebie, obecnie zaś, widząc jej próżność, cieszyła się tym bardziej, że pokoik przeznaczony dla Pollyanny nie posiadał żadnych zbytkownych mebli i był raczej podobny do celi samotnej mniszki.

Pollyanna zaś skwapliwie rozglądała się dokoła, jakby starając się zobaczyć każdy szczegół tego wspaniałego domu i odgadnąć, za którymi drzwiami kryje się jej pokoik, ten kochany, cudny pokoik z obrazami i dywanami, w którym ulokuje ją ciotka!

Minęły jeszcze jedne drzwi i znów szły schodami. Lecz tu ściany były puste i było prawie ciemno. Potem trzeba było iść ostrożnie, gdyż po obu stronach wąskiego przejścia stały jakieś kufry, pudła i walizy.

Powietrze było tu ciężkie, duszne.

Wreszcie panna Polly otworzyła małe, niskie drzwi.

— Oto, Pollyanno, twój pokój! Kufer już stoi na miejscu. Czy masz klucz od niego?

Pollyanna kiwnęła główką, niezdolna wymówić ani słowa, tak była zaskoczona różnicą w wyglądzie między tym pokojem, w którym się znalazła, a tym, jaki stworzyła w swej wyobraźni.

Ciotka zmarszczyła brwi.

— Pollyanno! Gdy o coś pytam, proszę mi odpowiadać jak należy, a nie kiwnięciem głowy.

— Rozumiem, ciociu!

— Znajdziesz tu wszystko, czego ci potrzeba. Zaraz przyślę Nancy, aby pomogła ci rozpakować rzeczy. Obiad jemy stale o godzinie szóstej — dodała, opuszczając pokój.

Pollyanna przez chwilę stała nieruchomo, potem przebiegła wzrokiem po gołej podłodze, gołych ścianach, oknach pozbawionych firanek i podeszła do swojego kuferka, tego samego, który tak niedawno jeszcze stał w jej małym pokoiku, tam, daleko na zachodzie; uklękła przy nim i ukryła twarzyczkę w swych drobnych dłoniach.

Tak ją zastała Nancy, gdy przyszła na górę.

W dobrej dziewczynie serce zadrżało współczuciem.

— Biedactwo! — szepnęła i zbliżywszy się do Pollyanny, uklękła przy niej, pieszczotliwie głaszcząc jej główkę; w końcu zapytała o klucz.

— Zajmiemy się rozpakowaniem kufra — rzekła, chcąc przerwać ponure myśli dziewczynki.

— Nic tam prawie nie ma — szepnęła ze smutkiem Pollyanna.

— Tym lepiej! Prędzej go rozpakujemy! — wesoło zawołała Nancy.

— Rzeczywiście! — ucieszyła się Pollyanna. — A więc mogę i z tego być zadowolona?

— No... niby tak! — odpowiedziała Nancy nieco zdziwiona tym pytaniem.

Wprawne ręce Nancy w okamgnieniu wydobyły z kufra całą jego zawartość, zaś Pollyanna równie szybko porozkładała książki na stole, a skąpą ilość bielizny i parę sukienek umieściła w szafie.

— Zdaje mi się, że jednak ten pokoik będzie ładny! — rzekła nagle Pollyanna, jakby chciała pocieszyć samą siebie. — Jak myślisz, Nancy?

Odpowiedzi nie było. Nancy czegoś tak gorliwie szukała w kufrze, że aż głowę do niego schowała.

Pollyanna tymczasem wodziła wzrokiem po gołych ścianach.

— Nawet lusterka nie ma — mówiła smutnie. — Ale może to lepiej, bo nie będę oglądała moich piegów!

Nancy wydała jakiś niezrozumiały dźwięk, lecz gdy Pollyanna odwróciła się, schowała znów głowę do kufra.

Pollyanna zbliżyła się do okna i nagle wydała okrzyk radości.

— Ach, Nancy! Ja tego przedtem nie widziałam. Spójrz na te drzewa, na te małe domki, starą dzwonnicę i tę srebrną wstęgę rzeki! Naprawdę, Nancy, gdy się ma przed sobą taki widok, niepotrzebne są żadne obrazy! Ach, jak się cieszę, że mam ten pokoik!

Lecz ku wielkiemu zdziwieniu Pollyanny, Nancy wybuchła nagle głośnym płaczem.

— Co się stało, Nancy? — zapytała Pollyanna, a potem nieco zmieszana dodała:

— A może... może... ja zajęłam twój pokój?

— Ach, Boże! — odparła, łkając, Nancy. — Ty jesteś naprawdę aniołkiem, co zszedł do nas wprost z nieba... — lecz nie zdążyła dokończyć, bo usłyszała dzwonek i pośpiesznie opuściła pokoik, szybko zbiegając po schodach.

Pollyanna wróciła do okna, aby się nacieszyć widokiem i otworzyła je szeroko, gdyż nie mogła wprost oddychać dusznym powietrzem pokoju. Następnie podbiegła do drugiego okna. Kilka much, które zdążyły już zawitać do pokoju, przeleciało koło jej twarzyczki, lecz Pollyanna nie zwróciła na nie żadnej uwagi, a otwierając drugie okno, zrobiła nowe odkrycie: tuż za oknem duże drzewo wyciągało ku niej swe rozłożyste gałęzie, jakby witając małą przybyszkę.

Pollyanna, niedługo namyślając się, wskoczyła na okno, chwyciła za gałąź, zgrabnym skokiem przeniosła się na drzewo i zaczęła schodzić na dół. Wreszcie zatrzymała się na ostatniej gałęzi. Zeskoczyć na ziemię było trochę trudno nawet dla Pollyanny, która przyzwyczajona była wspinać się po drzewach. Jednak, trochę ze strachem, wstrzymując oddech, dziewczynka zawisła przez chwilę na rękach na gałęzi, potem puściła gałąź i wylądowała na ziemi.

Znalazła się w dużym ogrodzie. O kilkanaście kroków od niej pracował zgarbiony staruszek, widocznie ogrodnik. Dalej, za ogrodem wąska ścieżka prowadziła przez pola do dużego wzgórza z samotną sosną stojącą na szczycie, jakby na straży.

To wzgórze i sosna pociągały ku sobie Pollyannę, która, niedługo namyślając się, udała się w drogę.

Przedzierając się przez krzaki i zarośla, wyszła na ścieżkę, przeszła pole i zaczęła wdrapywać się na wzgórze. Teraz przekonała się, że nie znajdowało się ono tak blisko i nie tak łatwo było się tam dostać, jak się wydawało, patrząc z okna.

*

W kwadrans potem wielki zegar w przedpokoju wybił szóstą i Nancy zadzwoniła na kolację.

Minęło kilka minut. Panna Polly zmarszczyła brwi, następnie wyszła do przedpokoju i niecierpliwie spojrzała na schody wiodące do pokoiku Pollyanny. Nadsłuchiwała przez chwilę, lecz panowała tam głęboka cisza. Wtedy panna Polly wróciła do jadalnego pokoju.

— Nancy — rzekła — moja siostrzenica spóźniła się! Nie, nie trzeba jej wołać — dodała, widząc ruch Nancy w stronę drzwi. — Wie, o której godzinie siadamy do stołu i powinna się zjawić punktualnie; skoro się spóźnia, nie siądzie do stołu. Otrzyma tylko mleko i chleb, i to w kuchni.

Natychmiast po obiedzie Nancy udała się na górę.

— Mleko i chleb! Właśnie! A biedne dziecko pewnie tak płakało, że aż usnęło — mruczała, otwierając powoli drzwi, lecz w tejże chwili wydała okrzyk przerażenia.

— Gdzie jesteś? Pollyanno! Odezwij się! Gdzie się schowałaś? — wołała, zaglądając do szafy, pod łóżko i nawet do kufra.

Następnie szybko zbiegła ze schodów i udała się do ogrodu.

— Tomaszu, Tomaszu! — wołała już z daleka. — Nasz aniołek pewnie wrócił tam, skąd przyszedł: do nieba!

— Do nieba to może nie — odparł, uśmiechając się, stary ogrodnik — ale w każdym razie jest bliżej nieba niż my.

I wskazał Nancy sylwetkę ledwie widoczną na tle zachodzącego słońca. Nancy, uszczęśliwiona, że znalazła Pollyannę, zapomniała o kuchni i naczyniach i pędem podążyła przez pole.

ROZDZIAŁ IV. GRA W ZADOWOLENIE

— Jak można mnie tak nastraszyć! — mówiła z lekkim wyrzutem Nancy do Pollyanny, która ku wielkiemu swemu żalowi musiała w końcu rozstać się ze wzgórzem i sosną i schodziła teraz na dół.

— Straszyć? — zdziwiła się Pollyanna. — Nigdy nie trzeba się bać o mnie! Ojciec, a potem panie z Koła Opieki zawsze niepokoiły się o mnie, dopóki się nie przekonały, że mi się nigdy nic złego nie stanie.

— Ależ ja nie wiedziałam, dokąd poszłaś! — mówiła Nancy, biorąc Pollyannę za rękę. — Nikt cię nie widział wychodzącej; chyba wyszłaś przez komin!

Pollyanna roześmiała się szczerze.

— Ach, nie! — zawołała — nie przez komin, lecz przez okno i spuściłam się po drzewie na ziemię.

— Boże miłosierny! — krzyknęła Nancy. — Co by na to powiedziała panna Polly!

— Jesteś tego ciekawa? Dobrze! Opowiem jej o tym i dowiesz się, co powie — obiecała dziewczynka wesoło.

— Nie, nie, nie trzeba! — zaprotestowała Nancy, która za wszelką cenę chciała odwrócić od Pollyanny nową falę gniewu ciotki.

— Ale teraz śpieszmy się, bo muszę jeszcze pozmywać naczynia!

— Chętnie ci pomogę! — ofiarowała się Pollyanna.

Szły przez chwilę w milczeniu. Tymczasem ściemniło się zupełnie i Pollyanna tuliła się coraz bardziej do Nancy.

— Wiesz, jestem nawet zadowolona, że cię swą nieobecnością nastraszyłam, gdyż tylko temu zawdzięczam, że przyszłaś po mnie — powiedziała po chwili milczenia dziewczynka.

A Nancy tymczasem rozmyślała, jakby uprzedzić Pollyannę o karze, jaka ją czekała i jak to zrobić najdelikatniej.

— Wiesz — rzekła trochę zmieszana — jest już po obiedzie, więc... więc... dostaniesz tylko mleko i chleb!

— Ach! Jak to dobrze! Bardzo lubię mleko i chleb! — wesoło zawołała Pollyanna.

— Ale będziesz musiała zjeść w kuchni... ze mną! — dodała niespokojnie Nancy.

— W kuchni? Z tobą? O, bardzo się z tego cieszę!

— Zdaje mi się, że ty jesteś ze wszystkiego zadowolona, nawet z rzeczy nieprzyjemnych — zauważyła Nancy, która przypomniała sobie w tej chwili, jak Pollyanna starała się odnaleźć przyjemne rzeczy w małym pokoiku na poddaszu.

— To z przyczyny *gry*! — Uśmiechnęła się Pollyanna.

— Gry? Jakiej?

— Gry w zadowolenie!

— Gry w zadowolenie? Cóż to jest takiego? — pytała coraz bardziej zaciekawiona Nancy.

— Jest to bardzo piękna gra, której nauczył mnie mój ojciec. Graliśmy w nią już wtedy, gdy byłam zupełnie maleńka. Nauczyłam jej potem panie z dobroczynności[4], przynajmniej niektóre z nich.

---

[4]*dobroczynność* — tu: towarzystwo dobroczynności, instytucja zajmująca się niesieniem pomocy osobom jej potrzebującym. Instytucje takie najczęściej dbają o zapewnianie swoim podopiecznym mieszkania, wyżywienia, ubrania, środków higieny i innych rzeczy niezbędnych do życia. [przypis edytorski]

— Więc cóż to za gra?

Pollyanna uśmiechnęła się, ale i westchnęła równocześnie.

— Zaczęliśmy się bawić w tę grę od chwili, gdy przyszła do nas paczka misjonarska, a w niej znaleźliśmy... kule.

— Kule?

— A tak! Ja wtedy bardzo chciałam mieć lalkę. Tatuś mój spodziewał się, że ją otrzymam i nawet prosił o to, ale pani, która napełniała paczkę darami dla kolonii misjonarskiej, odpisała, że lalki nie ma i że zamiast lalki przysyła małe kule, które może przydadzą się dla jakiegoś kalekiego dziecka. Od tego czasu powstała nasza gra.

— Nie widzę tu nic zabawnego! — odparła szorstko Nancy, myśląc, że Pollyanna żartuje z niej.

— Nie ma nic zabawnego, ale jest *gra*. A polega na tym, aby w każdych, nawet najcięższych okolicznościach znaleźć coś, z czego można by było się cieszyć!

— Nie rozumiem, z czego można się cieszyć, gdy się otrzymuje zamiast upragnionej lalki kule! — niecierpliwie odezwała się Nancy.

Pollyanna klasnęła w dłonie.

— Można! Ja sama też początkowo nie mogłam się domyśleć. Dopiero ojciec mi wytłumaczył.

— Więc mi to powiedz — już nieco łagodniej rzekła Nancy.

— Owszem, powiem. Otóż mogłam się cieszyć, że kule te nie były mi potrzebne! — odparła wesoło Pollyanna. — Widzisz, jakie to jest proste, jeżeli się to zrozumie!

— Dziwna jakaś gra! — zauważyła Nancy, patrząc na Pollyannę niespokojnym wzrokiem.

A dziewczynka opowiadała jej, jak to było dobrze, gdy żył ojciec. W każdej smutnej chwili, a takich było wiele w jej życiu, znajdywała zawsze wespół z ojcem coś, z czego się można było cieszyć. A gdy się wyszukiwało coś przyjemnego, zapominało się wówczas o nieprzyjemnym. Powoli weszła ta „gra" w przyzwyczajenie i Pollyanna w każdej przykrej sytuacji, prawie nie szukając, odnajdywała dodatnie strony.

Obecnie jednak Pollyanna straciła na zawsze wiernego towarzysza gry. Czy będzie mogła bez niego skutecznie grać w zadowolenie?

— Chyba spróbuję nauczyć ciocię Polly — mówiła Pollyanna — może ona zgodzi się bawić ze mną.

— Ona? Przenigdy! — żywo zawołała Nancy. — Ale gdybyś chciała... — dodała niepewnym głosem — Mogłabym spróbować bawić się z tobą?

Pollyanna gorąco uścisnęła Nancy, a w parę chwil potem obie weszły do kuchni. Pollyanna z apetytem wypiła mleko i zjadła chleb, a następnie za radą Nancy udała się do salonu, gdzie zastała swą ciotkę czytającą książkę.

— Jesteś już po obiedzie? — zapytała panna Polly suchym tonem. Kara

— Tak, ciociu!

— Jestem bardzo niezadowolona, że zmuszona byłam prawie na wstępie posłać cię do kuchni na obiad!

— Ależ, ciociu, to nic! Ciocia sprawiła mi wielką przyjemność! Ja ogromnie lubię mleko z chlebem i kocham Nancy!

Panna Polly wyprostowała się w fotelu.

— Pollyanno, już czas spać! Dziś jesteś zmęczona, ale jutro zajmiemy się przeglądem twego ubrania i sporządzimy plan zajęć. Otrzymasz od Nancy świecę, lecz obchodź się z nią ostrożnie. Śniadanie jest o pół do ósmej. Proszę, bądź punktualna. Dobrej nocy!

Pollyanna zbliżyła się do ciotki i ucałowała ją serdecznie.

— Jestem bardzo szczęśliwa! — mówiła wesoło. — I jestem przekonana, że będzie mi tu bardzo dobrze. Zresztą spodziewałam się tego. Dobrej nocy, ciociu — dodała, wychodząc z pokoju.

„Co za dziwne dziecko, — pomyślała panna Polly i swoim zwyczajem zmarszczyła brwi. — Cieszy się z tego, że ją ukarałam i jest zadowolona, że mieszka u mnie! Doprawdy nie rozumiem" — dodała, biorąc znów książkę do ręki.

W kwadrans potem w pokoiku na poddaszu mała, samotna dziewczynka przelewała gorzkie łzy, tuląc twarzyczkę w poduszkę.

— Ojcze drogi, który jesteś z aniołkami — szeptały jej usteczka — wiem dobrze, że w tej chwili nie gram „w zadowolenie", ale myślę, że i ty nie znalazłbyś nic radosnego, gdy się tak leży samotnie i po ciemku. Gdyby była przy mnie Nancy albo ciocia Polly, albo nawet któraś z pań z dobroczynności, zawsze byłoby lepiej!

A w kuchni, zmywając naczynia, Nancy myślała głośno:

„Jeśli tylko ta głupia gra w znajdowanie zadowolenia w tym, że otrzymało się kule zamiast oczekiwanej lalki może być dla niej wybawieniem, postaram się i będę potrafiła, o, na pewno będę potrafiła bawić się z nią w tę grę!"

ROZDZIAŁ V. OBOWIĄZKI

Gdy Pollyanna obudziła się następnego ranka, była już prawie siódma godzina. Ponieważ okna wychodziły na zachód, słońca nie było widać, lecz jasny błękit nieba zapowiadał pogodny dzień.

Ubrawszy się, Pollyanna podeszła do okna, aby przywitać radośnie śpiewające ptaszki i zobaczyła w ogrodzie swą ciotkę opatrującą ze starym ogrodnikiem krzaki róż. Natychmiast wybiegła z pokoju, zostawiając za sobą wszystkie drzwi otwarte i w mgnieniu oka była w ogrodzie, radośnie wołając:

— Ach, ciociu! Co za śliczny dzień! I jak mi tu dobrze!

— Pollyanno — przerwała szorstko panna Polly — czy to jest twój zwykły sposób witania się?

— Nie, ciociu! W ten sposób witam tylko te osoby, które kocham! Zobaczyłam ciocię przez okno i przypomniałam sobie natychmiast, że ciocia nie jest panią z dobroczynności, lecz moją prawdziwą, kochaną ciocią, taką bardzo, bardzo dobrą, i nie mogłam się powstrzymać, aby nie przybiec i nie przywitać się!

Stary ogrodnik odwrócił się w stronę dziewczynki, przyglądając jej się bacznie[5]. Panna Polly zaś usiłowała zmarszczyć brwi, lecz jakoś jej się to nie udawało.

— Tomaszu, na dziś dosyć! Mam nadzieję, że zrozumiałeś wszystko, co mówiłam o tych krzakach! — rzekła trochę zmieszana i oddaliła się pośpiesznie.

— Czy już dawno pracujecie w tym ogrodzie, panie... człowieku? — zapytała Pollyanna z zaciekawieniem.

Starzec odwrócił się. Usta jego drżały, a w oczach błyszczały łzy.

— O tak, panienko! Jestem stary Tomasz, ogrodnik — odpowiedział i swą ciężką, drżącą ręką pogłaskał jasne włosy dziewczynki.

— Jesteś bardzo podobna do twej matki, panienko! Znałem ją, gdy była małą dziewczynką, może mniejszą jeszcze od ciebie! Już wtedy pracowałem w tym ogrodzie.

Pollyanna westchnęła głęboko.

— Naprawdę? Więc znał pan moją matkę? Ach, proszę mi coś o niej opowiedzieć!

Lecz w tej chwili rozległ się dzwonek, a zaraz potem ukazała się Nancy.

— Pollyanno! — zawołała, chwytając dziewczynkę za rękę i ciągnąc w stronę domu. — To był dzwonek na śniadanie! Pamiętaj! Zawsze, gdy ten dzwonek usłyszysz, musisz wszystko rzucić i biec do domu!

To mówiąc, wepchnęła Pollyannę do przedpokoju jak kurczę do klatki.

Pierwsze pięć minut śniadania przeszło w milczeniu, gdy nagle panna Polly zwróciła uwagę na dwie muchy latające nad stołem.

— Nancy, skąd się tu wzięły muchy?

— Nie wiem, proszę pani. W kuchni nie ma ich wcale — odparła Nancy, która widocznie nie zauważyła otwartych okien w pokoju Pollyanny.

— To są prawdopodobnie moje muchy, ciociu! — zauważyła Pollyanna. — Dużo ich latało dziś na schodach.

— Twoje muchy? — zdziwiła się panna Polly. — Co to ma znaczyć? Którędy wleciały do domu?

— Przypuszczam, że przez okna mojego pokoju, ciociu — odpowiedziała spokojnie Pollyanna.

— Jak to? Otworzyłaś okna, które nie mają siatek?

— Tak, ciociu!

[5]*bacznie* — uważnie. [przypis edytorski]

W tej chwili do pokoju weszła Nancy.

— Nancy, proszę natychmiast pozamykać okna w pokoju Pollyanny i powypędzać wszystkie muchy — rzekła surowo panna Polly, następnie zwracając się do siostrzenicy, dodała:

— Pollyanno! Siatki do okien są już obstalowane. Czyli że zrobiłam to, co było moim obowiązkiem, ale tyś zapomniała o swoim.

— O moim obowiązku?

Oczy Pollyanny zdradzały szczere zdziwienie.

— Oczywiście! Rozumiem, że w pokoju mogło być trochę ciepło, ale twoim obowiązkiem było nie otwierać okien, dopóki nie będą wstawione siatki. Zapamiętaj sobie, Pollyanno, że muchy są nie tylko dokuczliwe, lecz także niebezpieczne dla zdrowia. Po śniadaniu dam ci do przeczytania ciekawą książeczkę o tym.

— O dziękuję, ciociu! Ja tak lubię czytać.

Panna Polly głęboko westchnęła, następnie ściągnęła wargi, a Pollyanna, widząc surową twarz ciotki, dodała pośpiesznie:

— Naturalnie, ciociu, jest mi bardzo przykro i więcej już nie otworzę okien.

Panna Polly nic nie odpowiedziała i śniadanie do końca przeszło w milczeniu.

Po śniadaniu panna Polly podała Pollyannie małą książeczkę ze słowami:

— Udasz się teraz za karę do swego pokoju, by to przeczytać, a ja przyjdę za pół godziny zrobić przegląd twego ubrania.

Pollyanna wzięła książeczkę, podziękowała uprzejmie i pobiegła na górę.

Gdy po upływie pół godziny panna Polly, jak zawsze sztywna i zimna, weszła do pokoju Pollyanny, została przywitana wybuchem entuzjazmu.

— Ciociu! — zawołała Pollyanna z zachwytem — nigdy nie czytałam nic ciekawszego! Nie przypuszczałam nigdy, że muchy mogą być tak niebezpieczne i że...

— Dosyć! — przerwała panna Polly. — Proszę teraz wydostać z szafy ubranie i bieliznę. Muszę je obejrzeć.

Pollyanna posłusznie wydostała z szafy przywiezione sukienki i bieliznę. Panna Polly oglądała je uważnie, lecz z wyrazu jej twarzy nie można było wywnioskować, co myślała o garderobie swojej siostrzenicy.

Ukończywszy przegląd, panna Polly wypytała dokładnie, czy Pollyanna chodziła do szkoły, czy się uczyła muzyki, szycia, gotowania itp.

Dziewczynka na wszystkie pytania dawała dokładne odpowiedzi, lecz widać z nich było, że wszystkiego uczyła się po trochu, dorywczo, bez systemu.

Do szkoły nie chodziła. Uczono ją w domu czytać i pisać, ale nie lubiła czytać na głos; znała początki muzyki, lecz wolała słuchać niż grać; umiała szyć — ale tylko sukienki dla lalek. Co do gotowania, to umiała robić tylko krem czekoladowy.

Po wysłuchaniu tego wszystkiego panna Polly myślała długą chwilę, potem rzekła poważnym i jak zwykle surowym głosem:

— Pollyanno! Codziennie o godzinie dziewiątej rano będziesz czytała ze mną na głos przez pół godziny. Przedtem naturalnie sprzątniesz swój pokój! W środy i soboty, po ukończeniu czytania, będziesz w kuchni uczyć się gotować, w dni pozostałe będziesz szyła. Wszystkie popołudnia będziesz mogła swobodnie zająć się muzyką. Prócz tego postaram się niezwłocznie o nauczyciela, który rozpocznie z tobą systematyczną naukę — dodała, wstając z krzesła.

Lecz Pollyanna zatrzymała ciotkę, mówiąc ze szczerym przerażeniem:

— Ależ, ciociu! Ciocia nie zostawiła mi ani jednej chwili do... *życia*!

— Do *życia*? Ależ dziecko, co chcesz przez to powiedzieć? Czyż ty przy tych wszystkich zajęciach nie żyjesz?

— Oczywiście, ciociu! Oddychać będę, robiąc to wszystko, co ciocia wymieniła przed chwilą. Ciocia też oddycha, gdy śpi! Ale to nie jest *życie*! Robić to, co jest przyjemne, biegać po polach, czytać (oczywiście nie na głos), wdrapywać się na wzgórza, rozmawiać w ogrodzie z Tomaszem i Nancy, oglądać domy i ludzi na tych dużych ulicach, które widziałam wczoraj: oto co ja nazywam *żyć*.

Oczy panny Polly zabłysły gniewnie.

— Jesteś najdziwniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek w życiu widziałam. Samo przez się rozumie się, że będziesz miała dość czasu na zabawy i rozrywki. Lecz jeśli ja chcę

spełnić mój obowiązek, czuwając nad tym, abyś otrzymała odpowiednie wykształcenie, tyś powinna spełnić swój obowiązek, czyniąc bez protestu to, co ci wyznaczyłam! Nie chciałabym, by moje starania spotkały się z niewdzięcznością z twej strony.

Pollyanna była bardzo zawstydzona, zażenowana.

— O ciociu! Czyż mogłabym być niewdzięczna wobec ciebie! Ja cię tak bardzo kocham! Ciocia nie jest przecież panią z Koła Opieki, lecz moją prawdziwą ciocią!

— Dobrze więc! Pamiętaj, abyś nie była niewdzięczna i nie zapominała o swoich obowiązkach! — rzekła panna Polly, kierując się ku wyjściu.

— Dziś po południu — dodała już w drzwiach — pojedziemy do miasta po sprawunki. Rzeczy, które z sobą przywiozłaś, nie nadają się dla mojej siostrzenicy i nie spełniłabym mego obowiązku, gdybym nie ubrała cię odpowiednio!

Pollyanna westchnęła. Odczuwała coraz żywszą niechęć do wyrazu tak często używanego przez swą ciotkę, a cała przyszłość stawała przed jej oczyma jako jeden długi szereg obowiązków bez końca.

ROZDZIAŁ VI. POLLYANNA ZOSTAJE UKARANA

W południe panna Polly z siostrzenicą pojechała do miasta leżącego w odległości pół kilometra od jej willi, aby zaopatrzyć Pollyannę w komplet nowych sukienek i bielizny. Nie było to rzeczą zbyt łatwą, toteż z ostatniego sklepu panna Polly wychodziła z uczuciem ulgi, jak człowiek, który szedł gdzieś śliską, wąską ścieżką nad przepaścią i wreszcie stanął na równym miejscu, niezagrażającym żadnym niebezpieczeństwem.

Pollyanna zaś, odwrotnie, była zachwycona wyprawą, ponieważ, jak powiedziała jednemu z subiektów sklepowych — znacznie przyjemniej jest kupować sukienki w dużym, pięknym sklepie niż otrzymywać nie wiadomo co z przesyłek misjonarskich lub od pań z dobroczynności.

Wyprawa do miasta zajęła całe popołudnie; po powrocie do domu, gdy panna Polly pojechała odwiedzić jedną z sąsiadek, Pollyanna pobiegła do Tomasza i Nancy.

Stary ogrodnik dużo opowiadał Pollyannie o jej matce, co dziewczynka bardzo lubiła, a Nancy mówiła o swym rodzinnym domku, gdzie mieszkała jej ukochana matka i równie kochane siostry i bracia. Obiecywała że, o ile panna Polly pozwoli, zaprowadzi Pollyannę do swej rodziny.

— Moje siostrzyczki noszą takie piękne imiona — opowiadała Nancy — znacznie ładniejsze od mojego!

— Dlaczego? — zapytała Pollyanna.

— Bo byłam pierwszą córką i mamusia moja jeszcze wtedy nie czytała ciekawych powieści, w których znajdują się ładne imiona. Wprost nienawidzę mojego imienia!

— A mnie się to imię bardzo podoba; tym bardziej jeszcze, że ty je nosisz — zaśmiała się Pollyanna. — Zresztą powinnaś być zadowolona, że nie nazywasz się... na przykład: Pafnuca!

— O tym nigdy nie myślałam — odrzekła Nancy — i przyznam się otwarcie, iż widzę w tej chwili, że moje imię nie jest takie znów najbrzydsze!

— Ale powiedz, moja droga — dodała po chwili — czy nie była to gra w zadowolenie, gdy tłumaczyłaś mi przed chwilą, że powinnam się cieszyć, iż nie nazywam się Pafnuca?

Pollyanna zamyśliła się przez chwilę, potem roześmiała się szczerze.

— Masz słuszność, Nancy! Była to gra w zadowolenie, chociaż zastosowałam ją bezwiednie. Zdarza się to często, gdyż jestem przyzwyczajona do wyszukiwania zawsze czegoś pocieszającego i dlatego udaje mi się to znacznie łatwiej niż komu innemu.

— Możliwe — odparła Nancy, ale w głosie jej słychać było pewne niedowierzanie.

Koło godziny ósmej Pollyanna udała się na spoczynek.

Ponieważ siatki nie były jeszcze wstawione, pokoik na poddaszu przypominał raczej piec do wypalania. Pollyanna smutnym wzrokiem popatrzyła na zamknięte okna, lecz ich nie otworzyła. Rozebrała się, starannie poukładała sukienki, odmówiła pacierz, zgasiła świecę i wślizgnęła się pod kołdrę.

Jak długo przewracała się na łóżku z powodu dręczącej ją bezsenności — tego nie wiedziała. Czuła tylko, że upłynęło już dużo czasu do chwili, gdy zdecydowała się wreszcie wstać i otworzyć drzwi.

Na strychu było zupełnie ciemno i tylko promienie księżyca, przenikające przez małe okienko w dachu, znaczyły srebrzystą ścieżkę na podłodze.

Pollyanna bezwiednie skierowała swe kroki na tę ścieżkę, która doprowadziła ją do okienka.

Lecz wbrew oczekiwaniu, było ono również zamknięte, gdyż nie posiadało siatki! Ale za małą szybką rozpościerał się czarujący widok na tonącą w srebrzystych promieniach dolinę i było za nią powietrze — to czyste, świeże powietrze, którego tak bardzo pragnęły rozpalone policzki i gorące ręce dziewczynki!

Z tęsknotą spoglądała w dół i równocześnie zauważyła, że tuż prawie pod okienkiem rozpoczynał się płaski dach letniej werandy.

Boże! Jakby to było dobrze wydostać się na ten dach!

Spojrzała za siebie: tam czekał na nią pokój pełen rozżarzonego powietrza, z gorącym łóżkiem — a za oknem na dachu świecił księżyc i było dużo, dużo czystego, świeżego powietrza!

Gdyby można było wynieść na dach łóżko! Tylu przecież ludzi na świecie sypia pod gołym niebem!

Rozmyślając nad tym, Pollyanna przypominała sobie, że kiedyś w dzień zauważyła w pobliżu okienka szereg dużych worków zawieszonych na gwoździach. Nancy mówiła, że w workach tych były przechowywane zimowe ubrania i futra.

Pollyanna namacała jeden z nich. Był gruby i miękki (zawierał w sobie fokowe futro panny Polly), a więc nadawał się znakomicie na posłanie, drugi mniejszy na poduszkę i wreszcie trzeci — cienki i szeroki, doskonały do przykrycia się.

Otworzyła okienko, zepchnęła wszystkie trzy worki na dach, a następnie wyszła sama, nie zapomniawszy jednak przymknąć okienka, gdyż pamiętała wciąż o szkaradnych muchach, które tyle zarazków noszą na swych łapkach.

— Co za cudne powietrze!

Pollyanna zaczęła skakać z radości, a cienki dach werandy potrzaskiwał pod nóżkami, co wprawiało ją w jeszcze większy zachwyt.

Przeszła się kilka razy po dachu tam i z powrotem i nie mogła się nacieszyć, że wreszcie nie jest już u siebie, w dusznym pokoiku.

W końcu rozłożyła jeden worek zamiast materaca, podłożyła drugi pod głowę i przykryła się trzecim.

— Jak to dobrze — mówiła do siebie, przypatrując się gwiazdkom — że siatki nie zostały jeszcze wstawione w moim pokoiku! Inaczej nie byłabym tu!

*

Na dole zaś, w sypialnym pokoju przylegającym do werandy, panna Polly blada i wystraszona ubierała się pośpiesznie.

Przed chwilą drżącym głosem telefonowała do stangreta[6].

— Natychmiast przychodź z ojcem... Przynieście latarnie... Jakiś... człowiek chodzi po dachu werandy. Prawdopodobnie przelazł przez sztachety w ogrodzie, a teraz może dostać się do mieszkania przez okienko w dachu... drzwi wiodące na strych zamknęłam na klucz... tylko prędzej, prędzej...

Nieco później, gdy Pollyanna zasnęła, obudził ją blask latarni i potrójny okrzyk zdumienia. Gdy otworzyła oczy, ujrzała stangreta Mateusza, stojącego na przystawionej do dachu drabinie, a stary Tomasz przełaził przez okienko w dachu. Za plecami Tomasza stała panna Polly, która ujrzawszy dziewczynkę śpiącą na dachu, zawołała:

— Pollyanno, co to znaczy?

Pollyanna całkowicie już otworzyła zaspane oczęta i usiadła.

— Tomaszu, ciociu Polly! Czegoście się tak przestraszyli?[7] Przecież nic się nie stało, tylko było mi w pokoiku tak strasznie duszno, więc przyszłam spać tutaj! Ale okienko zamknęłam i żadna mucha nie dostanie się do mieszkania!

Mateusz, słysząc te wyjaśnienia, pośpiesznie zszedł z drabiny, a stary Tomasz, oddawszy latarnię pannie Polly, udał się za synem.

---

[6] *stangret* — służący powożący końmi w bryczce, powozie lub karecie. [przypis edytorski]

[7] *Czegoście się tak przestraszyli?* — inaczej: Czego się tak przestraszyliście? [przypis edytorski]

Panna Polly czekała z zagryzionymi wargami, aż służba odejdzie, po czym odezwała się do Pollyanny:

— Proszę natychmiast zabrać worki i iść ze mną! Doprawdy, chyba na całym świecie istnieje jedno tylko takie dziecko jak ty! — mówiła, wracając z siostrzenicą przez strych.

Pollyanna, która poczuła znów duszne powietrze strychu, westchnęła głęboko.

Kara, Radość

Po zejściu ze schodów panna Polly odezwała się sucho:

— Za karę resztę nocy będziesz spała ze mną, w moim pokoju! Jutro siatki będą już gotowe; tymczasem uważam za swój obowiązek umieścić cię tak, żebym w każdej chwili wiedziała, co robisz.

Pollyannie aż tchu zabrakło w piersiach.

— Będę spała z ciocią! W jednym pokoju! — zawołała wreszcie. — O, jaka ciocia dobra! Ja zawsze tak marzyłam, ażeby spać z kimś bliskim mi, nie z jakąś obcą panią z dobroczynności. Jak się cieszę, że nie ma jeszcze tych siatek!

Panna Polly poruszyła wargami, jakby chciała powiedzieć, że to przecież miała być kara; lecz powstrzymała się i milcząc, szła naprzód z głową podniesioną do góry.

Czuła się bezsilna. Już po raz trzeci od przyjazdu Pollyanny karała ją i zmuszona była przekonać się, że po raz trzeci kara ta została przyjęta z radością.

Nic więc dziwnego, że panna Polly czuła się kompletnie rozbrojona.

ROZDZIAŁ VII. ZNAJOMOŚCI POLLYANNY

Wkrótce potem porządek w domu panny Harrington ustalił się na dobre, chociaż może nie był w zupełności taki, jak się tego spodziewała panna Polly.

Pollyanna szczebiotała bez przerwy, grała na fortepianie, czytała na głos, uczyła się gotować — to prawda, ale na wszystko to poświęcała znacznie mniej czasu, niż miała wyznaczone. Miała też dość czasu „na *życie*", jak mówiła, gdyż od godziny drugiej do szóstej po południu mogła robić, co jej się podobało, z wyjątkiem, oczywiście, pewnych rzeczy zabronionych przez pannę Polly.

Nie wiadomo tylko, czy te wolne chwile dane były dla wypoczynku Pollyanny, czy też — panny Polly.

W tych pierwszych dniach pobytu siostrzenicy panna Polly miała dość okazji, by wydawać okrzyk:

— Boże, co za dziwne dziecko!

A po lekcjach czytania i szycia była prawie zawsze trochę zmieszana i trochę zmęczona.

W kuchni z Nancy szło znacznie lepiej. Ta nie była ani zmieszana, ani zmęczona i z upragnieniem czekała środy i soboty, kiedy Pollyanna przychodziła na „lekcje" gotowania.

W bezpośrednim sąsiedztwie willi Harrington nie było nikogo, z kim Pollyanna mogłaby się bawić. Dom oddalony był od miasta i chociaż w pobliżu stało kilka will, nie było tam ani dziewczynki, ani chłopca w wieku Pollyanny. Nie martwiło jej to jednak wcale.

— To nic nie znaczy — mówiła pewnego razu do Nancy — wystarcza mi najzupełniej, gdy mogę pójść na spacer i przyglądać się ulicom, domom i przechodniom.

Zazwyczaj w godzinach popołudniowych, gdy była ładna pogoda, Pollyanna prosiła, aby dano jej coś do załatwienia, chodziło jej bowiem o to, aby się przejść po mieście.

Podczas tych wędrówek często spotykała „Pana".

Dla niej był on zawsze „Panem", nawet gdy tego samego dnia spotykała wielu innych panów.

„Pan" nosił często czarne ubranie i jedwabny cylinder, czego zwyczajni ludzie prawie nigdy nie noszą. Twarz miał bladą, zawsze starannie wygoloną, a spod cylindra wyglądały siwiejące już włosy. Trzymał się prosto, chodził krokiem przyspieszonym i — był zawsze sam, co wzbudzało w Pollyannie jakiś niewyraźny smutek.

Może dlatego pewnego dnia przemówiła do niego.

— Jak się pan miewa? Jak pięknie dziś na dworze! — uprzejmie rzekła, zbliżając się do niego.

„Pan" spojrzał dokoła, następnie zatrzymał się.

— Do mnie mówiłaś? — zapytał sucho.

— Tak jest, do pana — odpowiedziała Pollyanna rozpromieniona. — Mówiłam, że śliczna dziś pogoda! Nieprawdaż?

— Co? Aha... hm... — mruknął i odszedł pospiesznie.

Pollyanna roześmiała się.

„Co za dziwny, człowiek!" — pomyślała.

Na drugi dzień znów go spotkała.

— Dziś już nie tak ładnie, jak wczoraj, lecz pomimo to jest bardzo przyjemnie — powiedziała wesoło.

— Co? Aha... hm... — mruknął znów „Pan" i odszedł.

Pollyanna znów się roześmiała.

Gdy jednak zaczepiła go po raz trzeci, „Pan" nagle zatrzymał się.

— Kim jesteś, dziewczynko, i dlaczego zaczepiasz mnie codziennie?

— Jestem Pollyanna Whittier. Widzę, że pan zawsze taki samotny! Cieszy mnie, że pan się zatrzymał. Teraz już się znamy... Tylko jeszcze chciałabym poznać pańskie imię.

— Hm... ze wszystkich...

„Pan" nie dokończył zdania i oddalił się pośpieszniej niż zwykle.

Pollyanna z rozczarowaniem patrzyła za odchodzącym.

„Może nie zrozumiał mnie — myślała, idąc przed siebie. — Zresztą nie było to całkowite zaznajomienie się, bo przedstawiłam się, ale przecież nie wiem jeszcze, jak *on* się nazywa!"

*

Dziś Pollyanna miała zanieść galaretę z nóżek cielęcych dla pani Snow. Polly Harrington stale co tydzień posyłała coś pani Snow. Mówiła, że było to jej obowiązkiem, ponieważ pani Snow była biedna i chora i należała do tej samej parafii, a starym zwyczajem członkowie jednej i tej samej parafii wspierali jedni drugich w biedzie i nieszczęściu. Swój obowiązek względem pani Snow panna Polly spełniała zazwyczaj co czwartek po południu, nie sama, oczywiście, lecz za pośrednictwem Nancy.

Dziś Pollyanna prosiła o pozwolenie odwiedzenia pani Snow, a Nancy chętnie przystała na to, naturalnie za uprzednią zgodą panny Polly.

— Jestem zadowolona, że mogę tam nie iść — mówiła Nancy do Pollyanny — chociaż, co prawda, to wstyd, abyś ty nosiła ten koszyk!

— A ja się bardzo cieszę! — odparła Pollyanna.

— Po pierwszej wizycie przestaniesz się cieszyć! — przepowiadała Nancy.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nikt pani Snow nie lubi! Gdyby nie litość dla niej, żadna żywa dusza nie odwiedzałaby jej, tak jest niemiła. Żal mi tylko jej córki, która musi stale być przy niej.

— Ależ dlaczego, Nancy?

Nancy wzruszyła ramionami.

— Przede wszystkim dlatego, że pani Snow nie jest nigdy z niczego zadowolona. Nawet dni w tygodniu nie mogą jej dogodzić: gdy jest poniedziałek, ona wolałaby, żeby była niedziela. Gdy się jej zaniesie galaretkę, mówi, że wolałaby kurczę, a gdy otrzyma kurczę, wzdycha do rosołu.

— Co za dziwna osoba! — zaśmiała się Pollyanna. — Cieszę się tym bardziej, że ją zobaczę, gdyż lubię mieć do czynienia z „osobliwymi" ludźmi.

— Hm... a więc pani Snow jest może najosobliwszą ze wszystkich ludzi na świecie — rzekła Nancy, uśmiechając się ironicznie.

Pollyanna z lekko bijącym serduszkiem przestępowała próg małego domku, a oczęta jej błyszczały z ciekawości, by zobaczyć tę „osobliwą" panią Snow. Otworzyła jej dziewczynka o twarzyczce bladej i zmęczonej.

— Jak się masz — zaczęła grzecznie Pollyanna. — Przychodzę od panny Harrington i jeśli to możliwe, miałabym wielką chęć zobaczyć panią Snow.

— Owszem — odpowiedziała dziewczynka i dodała półgłosem — Jesteś pierwszą osobą, która ma chęć ją zobaczyć!

Lecz Pollyanna tych ostatnich słów nie słyszała, idąc za dziewczynką długim, wąskim i ciemnym korytarzem. Wreszcie dziewczynka otworzyła drzwi do pokoju chorej, a gdy Pollyanna weszła, zamknęła je z powrotem.

Pollyanna przystanęła tuż przy progu, gdyż wzrok jej nie był jeszcze przyzwyczajony do ciemności panujących w pokoju. Wreszcie zobaczyła kobietę na pół leżącą na łóżku wystawionym na środek pokoju.

Zbliżyła się do chorej.

— Jak się pani miewa? Ciocia Polly spodziewa się, że jest pani znacznie lepiej i przysyła galaretkę z nóżek cielęcych.

— O Boże, galaretka! — usłyszała Pollyanna zniecierpliwione westchnienie. — Oczywiście, jestem jej bardzo wdzięczna, ale spodziewałam się, że mi przyśle dziś rosołu!

Pollyanna zmarszczyła brwi.

— A ja myślałam, że gdy pani dostaje galaretkę, to prosi o kurczę!

— Co takiego? Coś ty powiedziała? — zawołała chora, odwracając się do Pollyanny.

— Nic takiego, proszę pani — pośpieszyła z odpowiedzią Pollyanna. — To tylko Nancy opowiadała mi, że pani pragnie kurczęcia, gdy otrzymuje galaretkę, a znów rosołu wtedy, gdy otrzymuje kurczę. Ale może być, że Nancy się pomyliła — dodała, jakby usprawiedliwiając się.

Na te słowa chora kobieta wyprostowała się na łóżku, czego nigdy nie robiła.

— A ty kim jesteś, panno Grubianno[8]? — zapytała zjadliwie.

— O, proszę pani, to wcale nie jest moje imię. Zresztą cieszę się bardzo, że go nie noszę. Nazywam się Pollyanna Whittier, jestem siostrzenicą panny Harrington i mieszkam u niej. Dlatego też dziś ja przynoszę pani galaretkę.

Z początku chora słuchała, zdradzając pewne zainteresowanie, lecz na wspomnienie galaretki opadła na poduszkę i przestała słuchać.

— Bardzo dobrze, dziękuję — przemówiła wreszcie — twoja ciotka jest bardzo uprzejma, lecz dziś właśnie miałam ochotę na rosół. Tej nocy ani na chwilę nie zmrużyłam oka — skarżyła się dalej.

— Ach, jakbym ja tak chciała! — westchnęła Pollyanna, stawiając galaretkę na nocnym stoliku i siadając na krześle przy łóżku. — Tyle się traci czasu, śpiąc!

— Traci się czas, śpiąc? — zawołała chora ze zdumieniem.

— A tak! Wtedy, kiedy można by *żyć*! Rozumie pani? Jaka szkoda, że my nie możemy *żyć* w nocy!

Chora znów się podniosła.

— Jesteś zadziwiająca, moje dziecko — zawołała. — Podejdź do okna i podnieś zasłonę, żebym mogła zobaczyć, jak wyglądasz!

Pollyanna podniosła się z krzesła niechętnie.

— Czy dlatego mam podnieść zasłonę, żeby pani zobaczyła moje piegi? Ja się tak cieszyłam, że tu jest ciemno!

Jednak gdy podniosła zasłonę i odwróciła się do chorej — wydała okrzyk zadowolenia.

— Ach, jaka pani jest ładna. Nikt mi o tym nie mówił!

— Ładna? — powtórzyła chora z szyderczym uśmiechem.

— Naturalnie! Pani tego nie wie? — szczerze zdziwiła się Pollyanna.

— Nie... nie wiem — odparła sucho pani Snow.

I rzeczywiście pani Snow nie wiedziała o tym, ponieważ z czterdziestu przeżytych lat piętnaście była zajęta tym, aby chcieć zawsze czegoś innego, niż to, co miała, i być wiecznie niezadowolona z tego, co jest.

— Pani ma duże, ciemne oczy i ładne, kręcone włosy — mówiła łagodnie Pollyanna. — Ja tak lubię kręcone włosy. Będę je miała chyba dopiero w niebie! Tak! Pani jest ładna! Myślałam, że pani widziała to wszystko, przeglądając się w lustrze!

— W lustrze!... — powtórzyła już mniej stanowczym głosem chora, opadając znów na poduszkę. — Tak dawno już nie miałam w rękach lustra i ręczę, że to samo byłoby z tobą, gdybyś była tak, jak ja, przykuta do łóżka!

---

[8] *Grubianno* — przezwisko utworzone od przymiotnika *grubiański*, tj. niegrzeczny, prostacki. [przypis edytorski]

— Być może! — odparła ze współczuciem Pollyanna — ale... chwileczkę, proszę pani...

Zobaczyła właśnie na komodzie niewielkie lusterko, chwyciła je i podeszła do łóżka, by je podać pani Snow, lecz w ostatniej chwili zatrzymała się.

— Czy mogłabym przedtem, zanim dam pani lusterko, trochę poprawić pani włosy? — spytała nieśmiało.

— Owszem, jeśli ci się podoba. Tylko że nie będą się trzymały — odpowiedziała chora niechętnie.

— Dziękuję pani! Tak lubię czesać włosy — zawołała radośnie Pollyanna, kładąc lusterko i szukając grzebienia.

— Dziś pewnie nie zdążę zrobić nic osobliwego, chcę tylko, by pani zobaczyła, jaka pani jest ładna. Następnym razem jednak zrobię śliczne uczesanie — dodała, biorąc delikatnie włosy chorej w swe drobne, zgrabne rączki.

W ciągu pięciu minut Pollyanna jako tako ułożyła włosy chorej, poprawiła koronkowy kołnierzyk nocnej koszuli, poprawiła poduszkę tak, żeby mogła wygodniej spoczywać, wreszcie wyjęła z wazonika goździk i przypięła go pani Snow do włosów.

— Już skończone! — zawołała, podając lusterko. — Teraz może pani spojrzeć na siebie!

— Hm... — mruknęła chora — wolę goździki czerwone od różowych, ale ponieważ i tak do wieczora zwiędną, więc to wszystko jedno!

— Ależ to dobrze, że zwiędną! — zawołała Pollyanna. — Inaczej nie miałaby pani jutro świeżych!

Następnie Pollyanna w dalszym ciągu zachwycała się czarnymi włosami pani Snow. Gdyż, jak mówiła, mieć czarne włosy było jej nieziszczalnym marzeniem.

— Boże! Jaka ja byłabym szczęśliwa, gdybym miała czarne włosy — dodała z westchnieniem.

— O, gdybyś była na moim miejscu — odparła podrażnionym głosem pani Snow — nie mówiłabyś tego. Gdybyś zmuszona była leżeć cały czas, tak jak ja, nie uszczęśliwiłyby cię czarne włosy!

— Tak — dodała po namyśle Pollyanna — w tych warunkach trudno być zadowoloną!

— Z czego? — zapytała pani Snow.

— Ze wszystkiego!

— Ze wszystkiego? Gdy się jest chorą i przykutą do łóżka? O, moja droga, zapewniam cię, że to niemożliwe!

Lecz ku wielkiemu zdumieniu pani Snow Pollyanna podskoczyła z krzesła i klasnęła w dłonie.

— To bardzo trudne — zawołała. — Teraz muszę już iść, lecz będę myślała o tym przez całą drogę, a gdy przyjdę następnym razem, pewnie będę mogła coś pani o tym powiedzieć! Do widzenia! Było mi bardzo przyjemnie spędzić u pani tych parę chwil!

— Do widzenia! — dodała jeszcze raz, już stojąc na progu.

— Coś nie do uwierzenia! Co ona chciała powiedzieć? — ze zdumieniem mówiła do siebie pani Snow, patrząc za odchodzącą dziewczynką.

Wzięła następnie lusterko i długo się w nim przeglądała, a gdy weszła do pokoju Milly, jej córka, chora nieznacznie schowała lusterko pod kołdrę.

— Mamusiu! Zasłona podniesiona? — zapytała dziewczynka, przenosząc zdziwiony wzrok z odsłoniętego okna na goździk we włosach matki.

— A tak — odparła ostro chora. — To, że jestem chora, nie oznacza, że mam całe życie siedzieć po ciemku!

— Pewnie, że nie, mamusiu — zgodziła się Milly, szukając lekarstwa. — Tylko przecież nieraz chciałam wpuścić do pokoju trochę światła, a mamusia mi nigdy nie pozwalała!

Pani Snow nic nie odpowiedziała: zajęta była poprawianiem koronek na nocnej koszuli.

— Naprawdę, mógłby ktoś domyślić się i ofiarować mi nową koszulę nocną zamiast rosołu lub galaretki — powiedziała po chwili zgryźliwie.

— Po co, mamusiu?

Nic dziwnego, że Milly była mocno zdumiona, gdyż w jednej z szuflad komody leżały dwie nowe koszule nocne, a Milly nie mogła namówić matki, by je włożyła!

ROZDZIAŁ VIII. NIECO O „PANU"

W parę dni potem Pollyanna znów spotkała „Pana". Pogoda była pochmurna i padał drobny deszcz.

— Dziś już nie jest tak ładnie — powiedziała uprzejmie — pomimo to cieszę się jednak, że deszcz pada.

Tym razem „Pan" nie zatrzymał się i nawet nie spojrzał.

Pollyanna oczywiście wytłumaczyła sobie, że jej nie słyszał, toteż następnego dnia przemówiła doń głośniej. „Pan" szedł dużymi krokami, ręce miał założone w tył i oczy spuszczone.

Pollyanna uważała podobne zachowanie się za uwłaczające względem słońca i czystego powietrza poranku.

Dziś otrzymała polecenie, by załatwić coś na mieście i dlatego spotkała go o niezwykłej porze — z rana.

— Jak się pan miewa? — zaszczebiotała. — Jak to dobrze, że dzisiejszy dzień nie jest podobny do wczorajszego. Nieprawdaż?

„Pan" zatrzymał się raptownie. Zdawał się być zagniewany.

— Podejdź, mała dziewczynko, musimy raz z tym skończyć — powiedział ponuro. — Mam zbyt wiele pracy, żeby zajmować się obserwowaniem pogody. Możesz być pewna, że nawet nie zwracam uwagi na to, czy słońce jest, czy go nie ma!

— Właśnie to zauważyłam i dlatego też mówię do pana o tym — zawołała Pollyanna rozpromieniona.

— Hm... co? Jak mówisz? — zapytał „Pan", jakby zaczynając rozumieć, co do niego mówiono.

— Powtarzam, że mówię panu o tym dlatego, że pan sam nie widzi. Przypuszczam, że panu przyjemnie by było pomyśleć trochę o słońcu, ale pan wygląda tak, jakby nigdy tego nie robił.

— Jesteś bardzo dziwna... — nie dokończył i odszedł, ale po kilku krokach zawrócił i znów zbliżył się do Pollyanny.

— Czemu nie znajdziesz sobie dziecka w twoim wieku, by z nim rozmawiać?

— Chciałabym bardzo, lecz w sąsiedztwie nie ma nikogo. Zresztą nie martwię się tym. Nawet wolę czasem dorosłe osoby, bo się przyzwyczaiłam do pań z dobroczynności!

— Hm... Pań z dobroczynności! Czy czasem nie bierzesz mnie za jedną z nich?

„Pan" skrzywił usta, jakby się chciał zaśmiać, lecz zaraz się powstrzymał.

Za to Pollyanna wybuchnęła szczerym śmiechem.

— O nie! Pan nie jest podobny do żadnej z tych pań! I nie dlatego, aby pan był mniej dobry niż one! Jestem przekonana, że pan jest znacznie lepszy, niż się wydaje.

Po tych słowach „Pan" zdawał się być mocno zmieszany i odszedł, nic nie odpowiedziawszy.

Gdy w parę dni potem znów go spotkała, spojrzał na nią z uśmiechem ironicznym.

— Dzień dobry! — zwrócił się do niej. — Czy będziesz zadowolona, gdy ci powiem, iż wiem, że słońce dziś świeci?!

— O, nie potrzebuje mi pan tego mówić — odpowiedziała rozpromieniona Pollyanna — zauważyłam to w chwili, gdy pana zobaczyłam!

— Jak to?

— A tak, proszę pana. Widziałam to w pana spojrzeniu, w pana uśmiechu.

— Hm... — mruknął znów „Pan" i odszedł.

Od tego dnia jednak „Pan" zawsze pierwszy zaczynał rozmowę, chociaż czasem ograniczał się tylko do jednego „dzień dobry". Ale i tych parę słów wystarczało, aby wywołać wybuch zdziwienia Nancy, gdy ta towarzyszyła pewnego razu Pollyannie w chwili, gdy „Pan" ją przywitał.

— O Boże! — zawołała — Pollyanno! Ten człowiek mówi do ciebie?

— Owszem! Teraz zawsze się ze mną wita — odpowiedziała, uśmiechając się, Pollyanna.

— Nadzwyczajne!

— A wiesz ty, kto to jest? — pytała dalej Nancy.

Pollyanna poruszyła przecząco główką.

— Przyznaję się, że nie znam jego nazwiska!

Nancy była wyraźnie wzburzona.

— Ależ dziecko, ten człowiek od dawna do nikogo nie mówi, chyba że ma do niego jakiś interes! Jest to John Pendleton. Mieszka samotnie w dużym domu, nie trzyma żadnej służby, stołuje się w restauracji. Znam kobietę, która sprząta mu mieszkanie. Opowiadała kiedyś, że ledwie otwiera usta, aby jej dać jakieś rozporządzenia. Zresztą chodzi mu głównie o to, aby wydać jak najmniej pieniędzy.

Pollyanna w tej chwili stanęła w obronie swego „Pana".

— Gdy ktoś jest biedny — mówiła — powinien się starać, aby urządzać się jak najtaniej. Pamiętam, jak czasem, gdy nam brakło pieniędzy, jedliśmy z ojcem samą tylko fasolkę. A jednak cieszyliśmy się, że nam smakowała, chociaż obok nas ktoś zajadał indyka! Ciekawa jestem, czy pan Pendleton lubi fasolkę?

— Lubi czy nie lubi, to wszystko jedno — odparła Nancy. — Przede wszystkim powinnaś wiedzieć, że jest bardzo bogaty. Odziedziczył po ojcu ogromny spadek i jest bodajże najbogatszy w mieście. Mógłby śmiało żywić się samymi banknotami i wcale nie odczułby tego!

— Niby to można zjadać banknoty, nie zauważywszy tego przy łykaniu? — roześmiała się Pollyanna, która zrozumiała dosłownie przytoczone przez Nancy porównanie.

— Mówię, że jest tak bogaty, iż mógłby zjadać pieniądze! — odparła nieco zniecierpliwiona Nancy. — A oszczędza, bo jest skąpcem. Sknerą!

— Ach, nie! nie! Na pewno oszczędza dla kogoś! Już wiem! Pewnie daje dużo na tych nawróconych pogan! — zawołała Pollyanna. — Jak to ładnie z jego strony! Wyrzeka się wszystkiego dla innych! Ja to wiem! Ojciec często mi o takich ludziach mówił.

Nancy już otworzyła usta, aby powiedzieć Pollyannie, że się myli, lecz spojrzawszy na rozpromienioną twarzyczkę dziewczynki, zatrzymała się. Po co jej robić przykrość?

— Hm... jednak to dziwne, że on z tobą rozmawia. W ogóle nie mówi z nikim bez wyraźnej potrzeby. Niektórzy nazywają go wariatem, inni człowiekiem złym, jeszcze inni zaś mówią, że stał się dziwakiem po jakimś ciężkim przejściu, które miał kiedyś w życiu! Jest on w ogóle bardzo tajemniczy. Czasami wyjeżdża i przez kilka lat podróżuje po Azji, Egipcie i Saharze.

— A więc jest na pewno misjonarzem! — wykrzyknęła radośnie Pollyanna.

Nancy roześmiała się.

— Tego nie powiedziałam. To tylko pewne, że gdy powraca, pisze książki, w których opisuje swoje podróże i odkrycia w dzikich krajach. Ale gdy jest tu, w kraju, wydaje zaledwie tyle, ile potrzeba na życie.

— Bo on na pewno oszczędza dla tych dzikich pogan — upierała się Pollyanna. — W każdym razie to dziwny człowiek! I jestem bardzo zadowolona, że mówi ze mną.

ROZDZIAŁ IX. NIESPODZIANKA PANI SNOW

Gdy Pollyanna po upływie kilku dni odwiedziła powtórnie panią Snow, zastała ją leżącą jak poprzednio w ciemnym pokoju.

— To ta mała dziewczynka od panny Harrington, mamusiu — oznajmiła cichym głosem jej córka, Milly.

Pollyanna zbliżyła się do chorej.

— Ach, to ty — odezwał się zniecierpliwiony głos z łóżka. — Pamiętam cię! Zresztą mam wrażenie, że kto cię raz zobaczy, nie zapomni cię. Pragnęłam bardzo, byś przyszła wczoraj. Byłaś mi potrzebna!

— Naprawdę? Cieszę się, że pani czekała na mnie tylko od wczoraj do dziś — odpowiedziała wesoło Pollyanna, stawiając na krzesło koszyczek.

— Boże, jak tu ciemno! — dodała, idąc do okna, aby podnieść zasłonę. — Chciałabym zobaczyć, czy pani się czesze tak, jak pani pokazałam. O, widzę, że nie! Ale to nic nie szkodzi! Przynajmniej będę mogła znów panią uczesać! Ale to potem, a teraz pokażę, co pani dziś przyniosłam!

Chora poruszyła się niespokojnie na łóżku.

— Jak by to, co mi pokażesz, mogło wpłynąć na zmianę mego gustu — powiedziała niechętnie.

— Ale niech pani zgadnie! Na co ma pani dziś chęć? — szczebiotała rozpromieniona Pollyanna, biorąc do ręki koszyk.

Chora zmarszczyła brwi i milczała przez chwilę. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Ponieważ była przyzwyczajona chcieć zawsze tego, czego nie miała, a nie wiedziała, co jest w koszyczku, była trochę zakłopotana.

— Jest tam pewnie rosół — powiedziała wymijająco.

— Właśnie go przyniosłam — odpowiedziała Pollyanna.

— Ale to nie jest to, na co dziś miałam ochotę — westchnęła teraz chora — dziś zjadłabym chętnie kawałek kurczęcia!

— Przyniosłam i kurczę! — zawołała wesoło Pollyanna.

Pani Snow podniosła się na łóżku bardzo zdziwiona.

— Jak to? Przyniosłaś i rosół, i kurczę? — zapytała.

— Nawet i galaretkę z nóżek cielęcych — odpowiedziała Pollyanna z dumą, zadowolona ze swej pomysłowości. — Chciałam, żeby pani wreszcie miała to, co zechce. Oczywiście, wszystkiego jest po trochu, ale jest. Chciała pani kurczę: jest. Naturalnie, idąc do pani, bałam się okropnie, że pani właśnie dziś będzie miała chęć na pasztet lub potrawkę, a tego nie miałam ze sobą. Ale, chwała Bogu, wszystko poszło dobrze!

Mówiąc to, Pollyanna wyjęła z koszyka trzy małe salaterki.

Chora zaś tak była zaskoczona tym wszystkim, że słowa nie mogła wymówić.

— Zostawiam to wszystko — powiedziała Pollyanna, stawiając salaterki na stół. — A teraz chciałabym się dowiedzieć, jak się pani miewa? — dodała grzecznie.

— Dziękuję, nie bardzo dobrze — odparła pani Snow, która zdążyła przez ten czas odzyskać swój zwykły nastrój niezadowolenia ze wszystkiego. — Nie mogłam zasnąć, gdyż Nelly Higgins, która mieszka za ścianą, zaczęła grać na fortepianie ćwiczenia i to wytrąciło mnie zupełnie ze snu. Jestem od tej muzyki na pół przytomna i nie wiem, co zrobię, jeśli to będzie trwało dłużej!

Pollyanna kiwnęła ze współczuciem główką.

— O, ja to rozumiem, proszę pani! To straszne! Pani White, jedna z pań z dobroczynności, przechodziła to samo. Z powodu silnego reumatyzmu zmuszona była dłuższy czas leżeć w łóżku, a ćwiczenia muzyczne sąsiadki za ścianą doprowadzały ją do rozpaczy... dopóki nie przyjechała do niej jej siostra.

— Cóż ta siostra pomogła? — zapytała z zaciekawieniem pani Snow.

— Pomogła, bo była zupełnie głucha.

— Nie rozumiem — przerwała pani Snow tonem nieco podrażnionym.

— Zaraz powiem. Otóż potem pani White cieszyła się, słysząc muzykę, że nie jest głucha, jak jej siostra. Bo, widzi pani, ja ją nauczyłam mojej gry!

— Jakiej gry?

Pollyanna klasnęła w rączki.

— Ach prawda, zapomniałam zupełnie! Przecież szukałam czegoś, z czego pani też mogłaby się cieszyć!

— Co chcesz przez to powiedzieć? — mówiła zniecierpliwiona i już wyraźnie podrażniona chora.

— Przecież obiecałam pani! Czyż pani nie pamięta, jak będąc u pani zeszłym razem, obiecałam wyszukać coś, z czego mogłaby pani być zadowolona, nawet leżąc przez cały dzień w łóżku?

— No, tak, przypominam sobie, ale nie myślałam, żeś mówiła to poważnie.

— Jak najpoważniej, proszę pani — odparła Pollyanna. — I znalazłam! Co prawda, było to niełatwe i muszę się przyznać, że przez długi czas nie przychodziło mi nic do głowy, lecz w końcu znalazłam!

— Hm... Ciekawa jestem, co to jest — rzekła pani Snow tonem niedowierzającym i trochę drwiącym.

Pollyanna chwileczkę milczała, a potem zaczęła uroczyście:

— Otóż myślę, że pani powinna cieszyć się z tego, że nie wszyscy zmuszeni są, tak jak pani, pozostawać w łóżku... bo... — dodała pośpiesznie, widząc rozgniewany wzrok pani

Snow — ...wtedy i ja bym leżała i nie mogłabym przyjść do pani i przynieść jej smacznych rzeczy! A teraz nauczę panią tej gry!

I Pollyanna opowiedziała pani Snow o paczce misjonarskiej, o kulach i o lalce, której nie otrzymała.

Zaledwie skończyła opowiadanie, gdy we drzwiach stanęła Milly, oznajmiając, że panna Polly telefonowała, prosząc, żeby Pollyanna wracała, gdyż czeka na nią lekcja muzyki.

— Ha, trudno! — rzekła na to Pollyanna. — Skoro ciocia mnie wzywa, muszę iść, lecz jestem zadowolona, że choć tyle czasu mogłam być z panią! Nieprawdaż, proszę pani?

Odpowiedzi nie było, lecz Milly, która w tej chwili podeszła do matki, zauważyła dwie duże łzy ściekające po policzkach chorej.

— Do widzenia — wołała Pollyanna, już zbliżając się do drzwi. — Przykro mi bardzo, że dziś nie uczesałam pani, ale cieszę się, że będę mogła to zrobić następnym razem! Do widzenia!

*

Tak spędzała czas Pollyanna, radosna zawsze i wesoła, nie szczędząc ciotce swych zachwytów nad wszystkim, zapewniając często, że się ogromnie cieszy, iż mieszka u niej.

— Wszystko to bardzo pięknie, Pollyanno — odpowiadała zazwyczaj na te wyznania panna Polly tonem oschłym i znudzonym. — Cieszy mnie wielce, że ci tak przyjemnie u mnie, lecz chciałabym, żeby ten czas był dla ciebie również pożyteczny. Bo gdyby tak nie było, nie spełniłabym swego obowiązku wobec ciebie.

Pollyanna zwykle odpowiadała na to serdecznie, co zawsze zupełnie rozbrajało pannę Polly.

Pewnego razu jednak, podczas jednej z lekcji szycia, których panna Polly udzielała siostrzeniczce osobiście, Pollyanna wszczęła na ten temat rozmowę:

— Więc ciocia powiada, że nie wystarcza, jeśli spędzone dni są tylko radosne? — zapytała.

— Naturalnie, że nie. Muszą być i pożyteczne — odparła panna Polly.

— Jak mam to rozumieć? — pytała dalej Pollyanna.

— To znaczy, że każdy spędzony dzień musi być z pewną dla ciebie korzyścią. Co za dziwne z ciebie dziecko! — dodała ciotka.

— A więc to, co przyjemne, nie zawsze jest korzystne?

— Pewnie, że nie.

— Ach, jaka szkoda! — zawołała Pollyanna ze szczerym zmartwieniem w głosie. — Wobec tego ciocia nie mogłaby bawić się w tę grę!

— W jaką grę?

— Tę, co ojciec...

Lecz w tej chwili przykryła paluszkami usteczka i bojaźliwie spojrzała na ciotkę.

Panna Polly zmarszczyła brwi.

— Na dziś wystarczy — odpowiedziała szorstko. — Lekcja szycia skończona!

Tego dnia po południu, wychodząc ze swego pokoiku, Pollyanna spotkała ciotkę idącą na strych.

— Ach, ciociu, jaka ciocia dobra! Ciocia przychodzi pewnie mnie odwiedzić! Boże, jak się cieszę! Ja tak lubię, gdy ktoś do mnie przychodzi — mówiła, otwierając szeroko drzwi swego pokoiku.

Co prawda, panna Polly wcale nie miała zamiaru odwiedzać Pollyanny. Szła na strych, aby wydostać z szafy biały wełniany szal, lecz zamiast tego znalazła się w pokoiku siostrzenicy. Nie był to od przyjazdu Pollyanny pierwszy wypadek, że panna Polly nieoczekiwanie robiła coś wręcz przeciwnego swym zamiarom.

— To takie miłe, gdy ktoś nas odwiedza, — mówiła Pollyanna, podsuwając ciotce krzesło gestem takim, jak gdyby ofiarowywała gościnę przynajmniej w jakimś pałacu — zwłaszcza, gdy się posiada swój własny pokój! Co prawda, przedtem też miałam oddzielny pokoik, ale był wynajęty, a to nie jest tak przyjemnie, jak posiadać własny! Wszak to jest mój pokoik, ciociu?

— No tak, twój, Pollyanno — zgodziła się panna Polly, dziwiąc się w duszy samej sobie, że jeszcze tu siedzi i nie poszła po szal.

— Bardzo lubię ten pokoik, chociaż nie ma w nim ani dywanów, ani firanek, ani obrazów...

Pollyanna chciała jeszcze coś mówić, gdy wtem panna Polly przerwała szorstko:

— Pollyanno! Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic, ciociu — odpowiedziała, rumieniąc się, Pollyanna — naprawdę nic!

— Skoro jednak zaczęłaś, proszę dokończyć! — nakazującym tonem rzekła ciotka.

— Chciałam tylko powiedzieć — mówiła mocno zażenowana[9] Pollyanna — że kiedyś marzyłam o dywanach, o koronkowych firankach, ale naturalnie...

— Marzyłaś o dywanach i o firankach? — przerwała panna Polly.

Pollyanna zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

— Ja wiem... nie powinnam była tego robić — mówiła, jakby usprawiedliwiając się. — Zaraz cioci wytłumaczę... To może dlatego, że tak pragnęłam to mieć, a nigdy nie miałam... Pewnego razu przyszły w paczce misjonarskiej dwa małe dywaniki przed łóżko, ale jeden był zaplamiony atramentem, a drugi cały dziurawy... Następnie dwa obrazy... Jeden sprzedano, bo był dobry, drugi zaś był poszarpany i miał ramy strzaskane... A potem, gdy przyjechałam tu i zobaczyłam te śliczne pokoje, to... to... Ale naprawdę, ciociu, to trwało niedługo, bo przecież ten prześliczny widok z okna wart jest więcej niż wszystkie obrazy, a ciocia była przecież tak dobra dla mnie...

Panna Polly nagle zerwała się z krzesła. Na twarz jej wystąpiły mocne rumieńce.

— Wystarczy, Pollyanno — rzekła zduszonym głosem — powiedziałaś dosyć!

W parę godzin po tej rozmowie panna Polly mówiła do Nancy:

— Dziś jeszcze przeniesiesz wszystkie rzeszy Pollyanny do pokoju na pierwszym piętrze, który się mieści pod jej obecnym. Postanowiłam chwilowo umieścić moją siostrzenicę bliżej siebie.

— Słucham pani — odpowiedziała służbiście Nancy.

„Co za cud!" — dodała w duszy, a za chwilę radośnie oznajmiała Pollyannie:

— Czy wiesz, maleńka, że dziś będziesz spała w pokoju, który się mieści na pierwszym piętrze, pod tym, który zajmujesz obecnie?

Pollyanna pobladła ze wzruszenia.

— Co ty mówisz, Nancy? To niemożliwe! To nie może być prawda!

— Właśnie, że prawda — odpowiedziała Nancy triumfalnie — kazano mi przenieść wszystkie twoje rzeczy o piętro niżej i robię to na wszelki wypadek jak najprędzej, aby czasem nie zaszła jakaś zmiana w postanowieniu.

Pollyanna już nie słuchała. Przeskakując po dwa stopnie naraz, zbiegła schodami na dół, a dwoje z hukiem zatrzaśniętych drzwi i przewrócone krzesło świadczyły wymownie o pośpiechu, z jakim szukała swej ciotki.

— Ciociu! Kochana ciociu! Czy to możliwe, że ciocia daje mi ten pokój, w którym jest wszystko: dywany, firanki i trzy obrazy, nie licząc cudnego widoku z okna, gdyż wychodzi ono na tę samą stronę, co i okna pokoiku na poddaszu! O ciociu!

— Pollyanno — przerwała panna Polly — cieszy mnie, że jesteś zadowolona z tej zmiany, a ponieważ lubisz ładne rzeczy, przypuszczam, że potrafisz odpowiednio się z nimi obchodzić. Oto wszystko! A teraz podnieś i postaw na miejsce krzesło. Poza tym w ciągu pół minuty dwa razy trzasnęłaś drzwiami.

Panna Polly mówiła tonem surowym, bardziej może surowym niż zwykle, gdyż coś ściskało ją za gardło i bała się, że się rozpłacze. A to się u niej nie zdarzyło już dawno.

Pollyanna podniosła krzesło.

— Ja wiem, ciociu, że dwa razy trzasnęłam drzwiami, ale ciocia rozumie przecież, że ja dopiero przed chwilą dowiedziałam się, że otrzymuję ten pokoik i jestem pewna, że ciocia, będąc na moim miejscu, zrobiłaby to samo!

Pollyanna przez chwilę przyglądała się ciotce z zaciekawieniem.

— A czy cioci nigdy się nie zdarzy trzasnąć drzwiami? — zapytała.

— Naturalnie, że nie — odpowiedziała panna Polly tonem nieco urażonym.

— To bardzo źle!

— Źle? — ze zdumieniem powtórzyła panna Polly.

---

[9] *zażenowany* — zawstydzony. [przypis edytorski]

— Pewnie, że źle! I to właśnie mnie martwi. Bo gdyby ciocia miała okazję trzasnąć drzwiami, zrobiłaby to na pewno, ponieważ robi się to mimo woli. Jeśli zaś okazji tej nie było, to znaczy, że cioci nic w życiu nie spotkało takiego, co mogłoby ją uszczęśliwić lub sprawić chwilowo dużą radość!

— Pollyanno! — zawołała ciotka.

Lecz Pollyanny już nie było, a zatrzaśnięte z hukiem drzwi wiodące na strych mówiły same za nią. Pollyanna pobiegła na górę pomagać Nancy znosić rzeczy.

Panna Polly, pozostawszy sama w salonie, była zmieszana, ale jednocześnie czuła dziwne ciepło w okolicy serca i musiała przyznać, że jest bardzo zadowolona, chociaż dokładnie nie wiedziała z czego.

ROZDZIAŁ X. JIMMY

Nadszedł sierpień i przyniósł ze sobą kilka niespodzianek i zmian, które wcale jednak nie dziwiły Nancy, bowiem od chwili przybycia Pollyanny przyzwyczaiła się już do różnych niespodzianek.

Przede wszystkim zjawił się w mieszkaniu kotek.

Pollyanna znalazła go miauczącego żałośnie na ulicy koło domu. Sprawdziwszy i upewniwszy się dokładnie, że nie należał do nikogo z sąsiadów, przyniosła go do domu.

— Cieszę się bardzo, że kotek ten do nikogo nie należy — zwierzyła się pannie Polly — bo miałam wielką chęć zabrać go ze sobą. Bardzo lubię koty i jestem przekonana, że ciocia pozwoli zostawić go u nas.

Panna Polly niemal z obrzydzeniem spojrzała na małe, szare, zaniedbane stworzonko, które drżało całym ciałkiem na rączkach Pollyanny.

Zaznaczyć trzeba, że panna Polly nie lubiła kotów, nawet ładnych i czystych.

— Fe, Pollyanno, takie brudne stworzenie! Pewnie jest chory, może mieć świerzb[10] i pchły!

— Zapewne, ciociu! To przecież takie biedactwo — odparła Pollyanna, z tkliwością patrząc na wystraszonego kociaka. — Patrz, jak drży ze strachu! Ale ciocia rozumie, że on przecież jeszcze nie wie, że go zatrzymamy u siebie!

— Ani on tego nie wie, ani nikt inny — przerwała panna Polly tonem zdecydowanym.

— Ależ nie, ciociu! Sąsiedzi już wiedzą! Powiedziałam wszystkim, że weźmiemy go do siebie, o ile nie znajdzie się właściciel. Przecież wiedziałam, że ciocia się z niego ucieszy. Biedne, zaniedbane kociątko!

Panna Polly otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, lecz daremnie: dziwne uczucie niemocy, którego doznawała już nieraz od chwili przyjazdu Pollyanny, ogarnęło ją i teraz.

— Przecież — mówiła tymczasem w dalszym ciągu Pollyanna — ciocia nie zechce pozostawić tego biednego stworzonka bez opieki. Przecież ciocia i mnie wzięła do siebie! Powiedziałam to właśnie sąsiadce, pani Ford, kiedy wyraziła wątpliwość, czy ciocia pozwoli zatrzymać kotka. Ja przecież miałam panie z dobroczynności, a biedny kotek nie ma nikogo!

I wybiegając z pokoju, dodała wesoło:

— Wiedziałam, że ciocia będzie tak samo myślała!

— Pollyanno, Pollyanno — wołała za nią panna Polly — ja nie chcę...

Lecz Pollyanna już była w kuchni.

— Nancy, zobacz to małe kociątko, które ciocia Polly będzie wychowywać razem ze mną!

A panna Polly, która nienawidziła kotów, zostawszy sama, upadła na fotel rozgniewana, lecz zarazem niezdolna do protestu.

Następnego dnia zjawił się pies, bardziej może brudny i opuszczony niż kotek, a panna Polly, ku swemu wielkiemu przerażeniu, znalazła się znów w roli protektorki — roli, którą Pollyanna przeznaczyła jej bez namysłu, tak jakby to było całkiem naturalne, i nienawidząc psów jeszcze bardziej niż kotów, była znów zbyt bezsilna, aby zaprotestować.

[10] *świerzb* — choroba skóry spowodowana przez pajęczaka, świerzbowca, objawiająca się swędzeniem i zmianami na skórze, same pasożyty trudno zobaczyć (mierzą ok. 0,3 mm). [przypis edytorski]

Gdy jednak po tygodniu Pollyanna przyprowadziła do domu małego, obdartego chłopca i zażądała od ciotki takiej samej dla niego opieki, panna Polly tym razem stanowczo zaprotestowała.

A było to tak.

Pewnego ślicznego poranka Pollyanna niosła galaretkę z nóżek cielęcych dla pani Snow. Pollyanna i pani Snow były teraz najserdeczniejszymi przyjaciółkami, a przyjaźń ta zawiązała się od chwili, gdy Pollyanna powiedziała pani Snow o grze w zadowolenie. Chora bawiła się teraz stale z Pollyanną w tę grę, chociaż z początku nie szło jej dobrze. Zresztą nic w tym dziwnego: ponieważ zawsze była niezadowolona, teraz trudno jej było ze wszystkiego się cieszyć! Ale pod świetnym kierownictwem Pollyanny pani Snow robiła coraz większe postępy. Dziś na przykład, ku wielkiej radości Pollyanny, oświadczyła, że cieszy się bardzo z przyniesionej galaretki, gdyż właśnie na nią miała ochotę!

Rozmyślając o tym wszystkim, Pollyanna wracała do domu, gdy wtem ujrzała małego chłopca, siedzącego na trawie przy drodze i strugającego gałązkę.

— Dzień dobry! — zawołała grzecznie Pollyanna.

Chłopiec spojrzał na nią, lecz zaraz się odwrócił.

— Czego chcesz? — mruknął ponuro.

Pollyanna roześmiała się.

— O, ty wyglądasz na takiego, który by się nie ucieszył nawet z galaretki z nóżek cielęcych — rzekła, zatrzymując się przy nim.

Chłopiec spojrzał na nią ze zdziwieniem, lecz nic nie odpowiedział i znów strugał gałązkę starym, powyszczerbianym scyzorykiem.

Pollyanna namyślała się chwilkę, a potem usiadła obok chłopca na trawie.

Pomimo stanowczych zapewnień Pollyanny, że dzięki paniom z dobroczynności jest przyzwyczajona do ciągłego obcowania z dorosłymi, czuła bezwiedny pociąg do towarzystwa rówieśników. Stąd właśnie ta chęć skorzystania z okazji, którą nasunął jej przypadek.

— Nazywam się Pollyanna Whittier — zaczęła grzecznie. — A ty?

Chłopiec podniósł się ze zdziwienia, a potem znów usiadł.

— Jimmy Bean — odpowiedział ponuro.

— Dobrze, teraz już się znamy! Bardzo ładnie z twej strony, żeś mi powiedział swoje imię. Nie wszyscy to robią — dodała, mając na myśli pana Pendletona.

— Mieszkam u panny Polly Harrington. A ty gdzie mieszkasz?

— Nigdzie.

— Nigdzie? To niemożliwe! Zawsze się przecież gdzieś mieszka — zapewniła Pollyanna.

— Właśnie szukam nowego przytułku.

— A gdzież on będzie?

Chłopiec spojrzał na nią z lekceważeniem.

— Głupia jesteś! Czyżbym szukał, gdybym wiedział, gdzie będzie?

Pollyanna poruszyła główką: chłopiec był niegrzeczny, a ona nie lubiła, gdy ją nazywano głupią.

„Zresztą to przecież nie jest dorosły człowiek" — pomyślała.

— Gdzie mieszkałeś przedtem? — zapytała znów.

— Może byś tak przestała ciągle pytać i pytać — powiedział niecierpliwie chłopiec.

— Muszę — odparła spokojnie Pollyanna — gdyż inaczej nic bym nie mogła się o tobie dowiedzieć! Powiedz więcej, wtedy nie będę pytała.

Chłopiec uśmiechnął się i zaczął mówić, już znacznie mniej ponuro:

— A więc jestem Jimmy Bean. Mam dziesięć lat, wkrótce kończę jedenaście. W zeszłym roku byłem przyjęty do przytułku dla sierot, ale tam jest tak pełno, że nie mają dla mnie miejsca. Zresztą nie jestem im potrzebny!... Dlatego też opuściłem przytułek. Obecnie muszę gdzieś zamieszkać, ale nie wiem gdzie. Chciałbym znaleźć przytułek, ale wiesz, taki zwyczajny, gdzie by była matka, ale nie przełożona. Ty pewnie masz rodziców, masz domowe ognisko, a ja go nie mam od czasu... jak umarł mój ojciec. Szukam więc teraz. Byłem już w czterech domach, ale tam mnie nie chciano, chociaż mówiłem, że będę pracował! Czy to wszystko, co chciałaś wiedzieć?

Sierota

Przy końcu mówił głosem nieco wzruszonym.

— Jak to brzydko, że cię nie chcieli przyjąć. — powiedziała ze współczuciem Pollyanna. — Więc nikt cię nie chce! O, rozumiem dobrze, co to znaczy! Ja też po śmierci ojca nie miałam, prócz pań z dobroczynności, nikogo, kto by się mną zaopiekował, dopóki ciocia Polly nie zgodziła się przyjąć mnie do siebie...

Pollyanna przerwała. Jakaś myśl przyszła jej raptem do głowy.

— O, mam dla ciebie miejsce! — zawołała. — Ciocia Polly przyjmie cię, jestem przekonana. Czyż nie przyjęła mnie? Czyż nie przyjęła Fluffi i Buffi, którzy też nie mieli przytułku, a to przecież tylko kotek i piesek! Chodź ze mną! Zobaczysz, że ciocia Polly cię przyjmie! Nie masz pojęcia, jaka ona jest dobra!

Mała, chuda twarzyczka chłopca rozjaśniła się.

— Co za szczęśliwy traf! Ale czy ona naprawdę mnie przyjmie? Ja mogę pracować! Wiesz, jestem silny — mówił, zakasując rękaw i pokazując małą, chudą rączynę.

— Ależ naturalnie, że zechce! Moja ciocia jest najlepszym człowiekiem na świecie... od chwili gdy mamusia została wzięta do nieba, aby zostać aniołem. Jest tam dużo pokoi — dodała, zrywając się i ciągnąc Jimmy'ego za rękaw. — Jest duży dom... Możliwe, że dostaniesz mały pokoik na poddaszu. Ja go miałam z początku... Ale teraz są tam siatki i będziesz mógł otwierać okna, gdy ci będzie bardzo duszno... I muchy nie nalecą, a to są takie szkodliwe stworzenia... Ciocia pewnie da ci do przeczytania książeczkę o nich, jeśli będziesz grzeczny... Nie, raczej za karę, jeśli będziesz niegrzeczny... Ty też masz piegi... Bądź więc zadowolony, bo tam nie ma lustra... A widok, który będziesz miał z okna, jest piękniejszy nad wszystkie obrazy, które można by porozwieszać na ścianach. Jestem przekonana, że będziesz z tego pokoju zadowolony...

Pollyanna zatrzymała się, gdyż brakło jej tchu.

— Co za szczęście — zawołał Jimmy, bardziej odczuwając może, niż rozumiejąc to, co mu mówiła Pollyanna; następnie dodał — nigdy nie myślałem, że można tak długo mówić jednym tchem!

Pollyanna roześmiała się.

— Bądź więc zadowolony, bo gdy w ten sposób mówię, ty możesz nie mówić!

Gdy przyszli do domu, Pollyanna, przyprowadziwszy z lekka do porządku zewnętrzny wygląd Jimmy'ego, wprowadziła go do pokoju ciotki, mocno zdziwionej widokiem obcego chłopca.

— Ciociu Polly! — powiedziała dumnie. — Tym razem znalazłam i przyprowadziłam kogoś, kto jest znacznie więcej wart niż Fluffi i Buffi! Jest to prawdziwy, żywy chłopiec! Z początku będzie mógł spać w pokoiku na poddaszu: nic mu to nie zaszkodzi. Powiada, że będzie pracował, ale ja bym go przez większą część dnia potrzebowała do zabaw.

Panna Polly z początku zbladła, potem zaczerwieniła się tak, jakby cała krew spłynęła jej do twarzy. Nie rozumiała wszystkiego, lecz to, co zrozumiała, wystarczyło.

— Pollyanno, co to znaczy? Kim jest ten brudny, mały chłopiec? Gdzieś go znalazła? — pytała ostro.

„Brudny, mały chłopiec" zrobił kilka kroków w kierunku drzwi. Pollyanna śmiała się radośnie.

— Ach, ciociu, zapomniałam powiedzieć ci jego imię! Jestem taka sama jak „Pan". Jest brudny? Nieprawdaż? Jak Fluffi i Buffi, kiedy ich cioci przyprowadziłam! Ale będzie znacznie ładniejszy, gdy się umyje i wyczyści... Tak samo jak i oni, i... ach, znów zapomniałam — dodała, wciąż się śmiejąc — to jest Jimmy Bean, ciociu!

— Lecz co on tu robi?

Pollyanna spojrzała na ciotkę ze zdumieniem.

— Zaraz powiem, ciociu — rzekła. — Przyprowadziłam go, aby tu mieszkał, gdyż szuka przytułku i opieki. Opowiedziałam mu, jaka ciocia była dobra dla mnie, dla Fluffi i Buffi, i powiedziałam, iż wiem, że ciocia będzie taka sama i dla niego, lepsza nawet niż dla kota i psa.

Panna Polly wgłębiła się w fotel i drżącą ręką dotknęła gardła. Czuła, że znów opanowuje ją znana jej niemoc. Postanowiła jednak walczyć. Wyprostowała się.

— Wystarczy, Pollyanno! Większego głupstwa nie mogłaś chyba popełnić! Tak jakby świerzbowatych kotów i opuszczonych psów nie wystarczało, przyprowadzasz mi jeszcze z ulicy małego żebraka, który...

Na te słowa chłopiec drgnął. Oczy mu zabłysły, blada twarzyczka zbladła jeszcze bardziej. Zrobił kilka kroków naprzód i stanął odważnie tuż przed panną Polly.

— Nie jestem żebrakiem i nic od pani nie chcę. Naturalnie, pracowałbym na moje utrzymanie. Nie przyszedłbym tu nigdy, gdyby ta dziewczynka nie powiedziała mi, że pani jest dobra i że mnie pani przyjmie na pewno!

Zawrócił się na obcasach z godnością, która byłaby śmieszna, gdyby nie była tak smutna.

— O, ciociu! — zawołała zdławionym głosem Pollyanna. — Ja myślałam, że ciocia będzie zadowolona! Tak, to prawda! Byłam przekonana, że...

Panna Polly podniosła rękę, nakazując milczenie. W końcu było tego za wiele! Rzucone przez chłopca słowa: „że pani jest dobra" — dźwięczały jeszcze w jej uszach i straszne uczucie niemocy powtórnie nadchodziło. Trzymała się całą siłą woli.

— Pollyanno — powiedziała stanowczo — proszę wreszcie przestać używać tego słowa „zadowolona". Słyszę to od rana do nocy i to mnie doprowadzi w końcu do utraty zmysłów.

— Ależ, ciociu! — zawołała Pollyanna. — Myślałam, że ciocia będzie zadowolona, widząc mnie zadowo... ach! — zatrzymała się nagle i zakryła dłonią usta. Następnie wybiegła z pokoju.

Dopędziła Jimmy'ego na podwórku, nim zdążył wyjść na ulicę.

— Chłopcze! Chłopcze! Jimmy! Gdybyś wiedział, jak mi jest strasznie przykro — mówiła, chwytając go za ubranie.

— Zupełnie niesłusznie — odparł chłopiec — nie robię ci żadnych wyrzutów. Lecz żebrakiem nie jestem! — dodał dumnie.

— Wiem, że nie jesteś, ale nie trzeba też brać tego za złe cioci — błagała Pollyanna. — To widocznie dlatego, że nie umiałam jej dobrze wytłumaczyć, kim jesteś. Ona naprawdę jest dobra i taka zawsze była! Tak! Źle jej wytłumaczyłam... Tak bym chciała znaleźć dla ciebie przytułek!

Chłopiec wzruszył ramionami i skierował się ku wyjściu.

— Nie myśl o tym więcej. Znajdę go sobie sam! Tylko pamiętaj: żebrakiem nie jestem!

Pollyanna zamyśliła się, lecz nagle twarzyczka jej się rozpromieniła.

— Posłuchaj! Chcę coś dla ciebie zrobić: panie z dobroczynności zbierają się dziś po południu. Otóż przedstawię im twoje położenie. Ojciec zawsze tak robił, gdy chodziło o nawracanie pogan albo o zakupienie nowego dywanu.

Chłopiec wyprostował się i spojrzał dumnie.

— Nie jestem ani poganinem, ani nowym dywanem. A zresztą, co to są „panie z dobroczynności"?

Pollyanna spojrzała na chłopca z wyrzutem.

— Jimmy! Gdzieś ty się wychowywał, jeśli nie wiesz, co to są panie z dobroczynności?

— Zamiast pytać, mogłabyś mi powiedzieć.

— A więc to... to jest takie stowarzyszenie pań, które zbierają się, aby szyć, dawać obiady, zbierać pieniądze i... rozmawiać. One przeważnie są dobre, przynajmniej te, które znałam tam... Tutejszych jeszcze nie znam, ale one też powinny być dobre i dziś po południu będę im o tobie mówiła!

Chłopiec znów się wyprostował.

— Nie chcę! Czy może myślisz, że pójdę tam, aby usłyszeć, jak kilkanaście pań znów nazwie mnie żebrakiem?! Wystarczy jedna!

— Ależ ciebie tam nie będzie — zawołała Pollyanna — ja pójdę sama!

— Naprawdę? — zapytał już łagodniej Jimmy.

— Naturalnie — odparła Pollyanna — postaram się tym razem przedstawić sprawę lepiej i jestem przekonana, że na pewno któraś z nich ofiaruje ci przytułek!

— Nie zapomnij tylko powiedzieć, że będę pracował!

— Nie, nie zapomnę — odpowiedziała Pollyanna, prawie pewna wygranej — a jutro dowiesz się o wyniku.

— Gdzie?

— Na drodze, w tym samym miejscu, gdzie cię dziś spotkałam.

— Dobrze, będę — a po chwili dodał — może by dziś jeszcze wrócić do przytułku dla sierot, bo właściwie nie wiem dokąd pójść. Gdy wychodziłem dziś z rana, nic im nie powiedziałem, że nie wrócę, boby mnie nie wypuścili! Chociaż gdybym nie wrócił, toby też się bardzo nie gniewali! Rozumiesz przecie: to nie są rodzice! Oni się nie niepokoją.

— O, ja wiem — zgodziła się Pollyanna. — Ale gdy cię zobaczę jutro, jestem przekonana, że będę miała dla ciebie przytułek i rodziców. Do widzenia! — dodała, wracając radośnie do domu.

Panna Polly tymczasem patrzyła na dzieci przez okno i śledziła chłopca, dopóki nie zniknął na zakręcie ulicy. Wtedy odwróciła się i ciężko westchnęła, czego zazwyczaj nie robiła. W uszach wciąż brzmiały jej słowa chłopca: „powiedziała mi, że pani jest dobra", a w serce zakradło się dziwne uczucie smutku — tak jakby coś zgubiła.

ROZDZIAŁ XI. POLLYANNA NA ZEBRANIU PAŃ Z DOBROCZYNNOŚCI

Dnia tego drugie śniadanie upłynęło prawie w milczeniu. Wprawdzie Pollyanna zaczynała mówić, ale jakoś bez powodzenia, przeważnie dlatego, że cztery razy zmuszona była zatrzymać się w środku zdania z powodu słowa „zadowolona", które aczkolwiek zakazane przez pannę Polly, nasuwało się na usta jej bez przerwy i za każdym razem sprowadzało rumieniec na twarzyczkę Pollyanny.

Za piątym razem jednak panna Polly powiedziała:

— Mów już, mów, dziecko, jeśli nie możesz się powstrzymać od tego. Wolę już słyszeć to słowo, niż widzieć, że robię ci tym zakazem tyle kłopotu.

Pollyanna z wdzięcznością spojrzała na ciotkę.

— Dziękuję ciociu, było tak trudno nie używać tego słowa! Ciocia rozumie przecież: ja tak długo bawiłam się w tę grę!

— W jaką grę? — zapytała znów panna Polly.

— W tę, którą ojciec... — lecz znów się zatrzymała, widząc, że wkracza ponownie na zakazany temat. Panna Polly zmarszczyła brwi i już do końca śniadania nie przemówiła ani słowa.

Gdy po śniadaniu Pollyanna usłyszała, że ciotka jej telefonuje do przewodniczącej Koła Opieki, zawiadamiając ją, że nie będzie mogła przyjść na dzisiejsze zebranie z powodu bólu głowy — nie zmartwiła się wcale. A gdy po tej rozmowie panna Polly udała się do swego pokoju i zamknęła za sobą drzwi, Pollyanna nawet się ucieszyła: ciocia nie będzie więc obecna na zebraniu, na którym ona przedstawi paniom z dobroczynności sprawę Jimmy'iego Beana.

Nie mogła zapomnieć, że ciotka nazwała Jimmy'ego żebrakiem, a mogła przecież powtórzyć to samo tym paniom!

Pollyanna wiedziała, że zebranie odbędzie się o godzinie drugiej po południu w mieszkaniu pastora, odległym mniej więcej o pół kilometra od willi panny Harrington.

Postanowiła zjawić się tam przed trzecią. Chciała bowiem zastać już wszystkie panie na miejscu.

„Przecież mogłoby być tak, że nużby[11] się spóźniła ta właśnie, która by chciała przyjąć Jimmy'ego do siebie" — kombinowała w swej małej główce.

Spokojna i pełna powagi Pollyanna otworzyła drzwi mieszkania pastora i weszła do przedpokoju. Z salonu dochodziły już głosy, przerywane od czasu do czasu wybuchami śmiechu. Pollyanna zatrzymała się na chwilę, następnie weszła. Teraz w pokoju zapanowała cisza i wszystkie panie z zaciekawieniem przyglądały się przybyszce. Pollyanna poczuła się nieco zażenowana i może po raz pierwszy opuściła ją zwykła śmiałość. Zdawało jej się, że wszystkie te panie, których połowę znała, nie były jednak podobne do tamtych pań z dobroczynności.

— Dzień dobry! Jak się panie miewają? — przemówiła wreszcie grzecznie. — Jestem Pollyanna Whittier. Przypuszczam, że niektóre z pań znają mnie, ja zaś, chociaż nie znam wszystkich, wiem, kim panie są!

[11] *nużby się spóźniła* — akurat spóźniłaby się. [przypis edytorski]

W pokoju wciąż panowała cisza. Wprawdzie kilka z obecnych pań znało „niesamowitą" siostrzenicę panny Harrington, a prawie wszystkie słyszały o niej, żadna z nich jednak nie wiedziała w tej chwili, co powiedzieć.

— Przyszłam tu, by przedstawić paniom pewną sprawę — mówiła dalej Pollyanna, bezwiednie naśladując ojca, którego pamiętała, jak przemawiał na podobnych zebraniach, które odbywały się u nich w domu.

Powstał lekki szmer.

— Czy to ciotka przysyła cię? — spytała pani Ford, żona pastora.

Pollyanna zarumieniła się.

— Nie, proszę pani, przychodzę sama. Przyzwyczajona przecież jestem do pań z dobroczynności, gdyż to one wraz z ojcem wychowały mnie!

Jedna z obecnych pań starała się stłumić śmiech, lecz przewodnicząca zebrania zmarszczyła brwi.

— Dobrze, moja kochana, ale czego sobie od nas życzysz?

— Chodzi mi o Jimmy'ego Beana — westchnęła Pollyanna. — Jedynym jego przytułkiem jest ochronka dla sierot, która jest w dodatku przepełniona. Poszukuje więc domu, który by mu zastąpił rodzicielski. Jimmy ma dziesięć lat, wkrótce nawet kończy jedenaście. Myślę, że któraś z pań zechce wziąć go do siebie!

— Naprawdę tak myślisz? — jedna z pań przerwała ciszę, która zapanowała w pokoju po słowach Pollyanny.

Dziewczynka wylęknionym wzrokiem przebiegła po twarzach siedzących wokoło pań.

— Tak, proszę pani. Zapomniałam jeszcze powiedzieć, że on przecież będzie pracował!

Znów chwila ciszy. Następnie dwie czy trzy panie zaczęły ją wypytywać, a dowiedziawszy się szczegółów, rozmawiały między sobą z widocznym ożywieniem.

Z drżeniem serca przysłuchiwała się Pollyanna rozmowie i chociaż nie mogła pochwycić wszystkiego, zrozumiała jednak, że żadna z tych pań nie miała u siebie miejsca dla chłopca i każda myślała, że zrobi to inna. Słyszała, jak żona pastora zaproponowała, aby Koło Opieki pokrywało ze swych funduszów koszty wychowania chłopca. Można by było w tym roku posłać trochę mniej dla dzieci w Indiach! Propozycja ta wywołała ożywioną rozmowę, ale tym razem głosy były mniej przychylne.

Pollyanna zrozumiała, że Koło Opieki słynęło ze swych hojnych ofiar dla misji w Indiach i że byłoby ujmą[12] posłać w tym roku mniej pieniędzy niż zwykle. Z dalszej rozmowy wynikało, że żadna z pań nie interesowała się wcale, w jaki sposób używano tych pieniędzy, chodziło tylko o to, aby nazwiska ich figurowały na liście ofiarodawców odsyłanej prawdopodobnie wraz z datkami pieniężnymi do Indii.

Wszystko to było tak męczące, że Pollyanna swobodnie i głęboko odetchnęła dopiero wtedy, gdy się znalazła na świeżym powietrzu.

Zmartwiona jednak była bardzo, gdyż nie należało do przyjemności oznajmić jutro Jimmy'emu, że panie z dobroczynności, o których mówiła mu z takim entuzjazmem, zdecydowały, iż wolą posyłać wszystkie pieniądze na wychowanie małych Hindusów, zamiast użyć część na wychowanie małego chłopca we własnym kraju.

Gorzej jeszcze: przyczyną tego było, że „nazwisko ich nie byłoby umieszczone na liście", jak to powiedziała jedna z pań w dużych okularach.

„Nie to jest złe, że wysyłają pieniądze do Indii, ale że zajmują się cudzoziemcami tak, jak gdyby we własnym kraju nie było dzieci, które potrzebują pomocy i opieki! Jestem przekonana, że lepsza i pożyteczniejsza byłaby pomoc dla Jimmy'ego niż chęć figurowania na liście ofiarodawców!"

Tak rozmyślała Pollyanna, wychodząc z domu pastora.

ROZDZIAŁ XII. W LASKU „PANA"

Opuściwszy dom pastora, Pollyanna poszła nie do domu, lecz udała się w stronę niewielkiego lasku przylegającego do willi pana Pendletona i stanowiącego jego własność.

[12] *ujma* — coś, co obraża a. poniża; *być ujmą dla kogoś*: przynosić komuś wstyd, hańbić kogoś. [przypis edytorski]

Czuła, że musi się trochę uspokoić, a ponieważ był to dzień odpoczynku (tak nazywała Pollyanna wszystkie dni, w których nie było lekcji szycia ani pracy w kuchni), pomyślała sobie, że nic jej tak dobrze nie zrobi, jak spacer w lasku.

Las ów znajdował się na dość wysokim wzgórzu, więc Pollyanna zaczęła wspinać się pod górę, pomimo że słońce silnie przypiekało jej szyjkę i plecy.

— Muszę być w domu dopiero przed piątą — mówiła sobie — a podczas tego nieznośnego upału tak przyjemnie będzie przejść się po lesie.

Lasek pana Pendletona był bardzo piękny, ale dziś wydawał się Pollyannie jeszcze piękniejszy niż zwykle, jakby na przekór niepowodzeniu, o którym miała jutro powiedzieć Jimmy'emu.

— Chciałabym, żeby wszystkie te panie, które przed chwilą tak zawzięcie dyskutowały, były teraz tu — westchnęła Pollyanna, podnosząc oczy do góry i szukając nieba wśród oświetlonych słońcem wierzchołków drzew. — Bo gdyby tu były w tej chwili, na pewno przyjęłyby bez wahania małego Jimmy'ego — zadecydowała stanowczo, jakkolwiek nie umiałaby wytłumaczyć, dlaczego piękno lasku miało tak podziałać na panie z dobroczynności.

Nagle przystanęła i zaczęła nasłuchiwać: gdzieś niedaleko rozległo się szczekanie, a po chwili z krzaków wybiegł duży pies i podbiegł do Pollyanny.

— Hallo, piesku. Piesku! — zawołała Pollyanna, poznawszy psa, który często chodził z „Panem".

Spodziewała się też, że zaraz zobaczy pana Pendletona, lecz ten jakoś nie nadchodził. Za to uwagę dziewczynki zwróciło dziwne zachowanie się psa, który szczekał ciągle, niespokojnie, nerwowo, jakby na alarm i wracał bezustannie na ścieżkę, którą przybiegł, to znów podbiegał do Pollyanny i znów wracał.

Dziewczynka, zdziwiona, poszła za nim i wkrótce wydostała się na drogę. Pies pobiegł szybko naprzód, ale za chwilę znów wrócił, szczekając, jakby chciał poprowadzić Pollyannę i wskazać jej, dokąd ma iść.

„Ale to nie jest droga do domu" — pomyślała Pollyanna, idąc za psem.

Ten zaś był coraz bardziej zaniepokojony i nie przestawał biegać i naszczekiwać. Wzrok jego, skierowany na Pollyannę, był tak wymowny, że Pollyanna zrozumiała, iż musiało coś się stać i pies błaga ją o pomoc. Przyśpieszyła więc kroku i niemal biegła za psem wąską ścieżką, którą ją teraz prowadził.

Nagle pies zaszczekał jeszcze żałośniej i zatrzymał się, a Pollyanna zobaczyła leżącego nieruchomo u stóp skały, w odległości kilku metrów od ścieżki, jakiegoś człowieka.

Na trzask złamanej nóżką Pollyanny gałęzi człowiek ów z lekka się podniósł i odwrócił głowę.

Z okrzykiem zdziwienia Pollyanna rzuciła się ku niemu:

— Panie Pendleton, co się stało? Pan jest ranny?

— Ranny? Ależ nie! Wygrzewam się tylko na słońcu — odpowiedział głosem podrażnionym. — Chodź no tu i powiedz mi, co umiesz robić, do czego jesteś zdolna i czy jesteś rozsądna?

— Dużo, proszę pana, nie umiem, ale panie z dobroczynności mówiły, że jestem zdolną i rozsądną dziewczynką. A mówiły tak, nie wiedząc, że to słyszałam.

„Pan" uśmiechnął się ponuro.

— No, no, przepraszam cię, dziecko! Wszystko przez tę głupią nogę! A teraz posłuchaj! — zatrzymał się na chwilę, przezwyciężając widocznie ból, wsunął rękę do kieszeni, wydobył pęk kluczy i oddzieliwszy jeden, podał go Pollyannie.

— O pięć minut drogi, idąc tą oto ścieżką, jest mój dom. Tym kluczem otworzysz drzwi wejściowe i wejdziesz do przedpokoju. Na wprost będą drugie drzwi, a gdy je otworzysz, zobaczysz na małym stoliku telefon. Czy potrafisz posługiwać się telefonem?

— Owszem, proszę pana! Pewnego razu, gdy ciocia Polly...

— Teraz nie chodzi o ciocię Polly — przerwał pan Pendleton, usiłując poruszyć się. — Przy telefonie leży książka, spis abonentów, poszukasz w niej numeru telefonu doktora Chiltona. Przypuszczam, że potrafisz to zrobić?

— O, proszę pana, często przeglądałam u cioci spis abonentów! Jest tam tyle takich śmiesznych nazwisk i...

— Powiesz więc doktorowi Chiltonowi, że John Pendleton leży u stóp skały Małego Orła ze złamaną nogą i że prosi pana doktora o natychmiastowe przybycie z ludźmi i noszami. Resztę będzie wiedział on sam. Powiedz mu tylko, aby szedł ścieżką prowadzącą od domu, gdyż tędy będzie najbliżej.

— Boże! Złamana noga! Jakie to okropne! — zawołała drżącym głosem Pollyanna. — Jak dobrze, że tu przyszłam! Czy mogłabym czymś panu dopomóc?

— Owszem, mogłabyś, ale widocznie nie chcesz. Proszę natychmiast iść i zrobić to, co powiedziałem — rzekł ostro pan Pendleton.

Pollyanna wydała lekki okrzyk i zniknęła, biegnąc szybko we wskazanym kierunku.

Tym razem nie szukała wśród wierzchołków drzew błękitnego nieba, lecz uważała bacznie, aby się nie potknąć o jakąś gałąź lub kamień. Ani się spostrzegła, jak stanęła przed domem. Widziała go już przedtem, ale nigdy nie była tak blisko niego. Odstraszał ją swym ogromem, dużymi kolumnami po obu stronach drzwi wejściowych i swoim ponurym wyglądem.

Przezwyciężając strach, podbiegła do drzwi i wsadziła klucz do zamka. Z początku nie mogła go przekręcić, lecz po kilku wysiłkach drżących paluszków zamek ustąpił i drzwi się otworzyły.

Pollyanna nabrała tchu, starając się dodać sobie odwagi. Miała przed sobą duży, ciemny przedpokój tajemniczego domu, do którego nikt prawie nie wchodził prócz właściciela. A teraz ona miała sama jedna wejść tu, do tych dużych, ponurych pokoi i stamtąd telefonować do doktora, że gospodarz domu leży bezwładny w lesie...

Nie oglądając się, przebiegła przedpokój i otworzyła drzwi, za którymi, według wskazówek, powinien był znajdować się telefon. Pokój ten był również ciemny, gdyż, widocznie z powodu upału, okiennice były przymknięte i tylko wąski promień słońca, przedzierając się przez szparę, padał na posadzkę i rozsiewał trochę światła.

Spostrzegłszy telefon na wskazanym miejscu, podbiegła doń i odszukawszy w spisie abonentów nazwisko doktora Chiltona, zadzwoniła.

Doktor osobiście odebrał telefon, a gdy rezolutnie[13] odpowiedziała mu na szereg pytań, powiesiła słuchawkę i odetchnęła z uczuciem ulgi.

Teraz dopiero rozejrzała się dokoła: ciężkie, czerwone portiery[14], olbrzymie drzwi prowadzące do innych tajemniczych pokoi, nieporządek na biurku i stołach, książki porozrzucane i pokryte grubą warstwą kurzu — wszystko to wywarło na Pollyannie takie wrażenie, że czym prędzej opuściła ponury dom, wybiegając przez drzwi wejściowe, które zostawiła otwarte.

Po chwili, która nawet dla rannego zdawała się bardzo krótka, Pollyanna zjawiła się przy nim.

— Co się stało? Pewnie nie mogłaś wejść do mieszkania? — spytał zaniepokojony.

— Owszem, proszę pana, weszłam! Przecież inaczej bym tu nie wróciła. Doktor przybędzie zaraz z ludźmi i ze wszystkim, co potrzeba. Mówił mi, że doskonale zna to miejsce, dlatego też nie czekałam na niego i pośpieszyłam z powrotem do pana!

— Podziwiam twój gust! — rzekł ranny ironicznie. — Przypuszczam, że mogłabyś znaleźć sobie przyjemniejsze towarzystwo!

— Tak pan sądzi? Czy dlatego, że pan jest taki ponury i mrukliwy?

— Dziękuję ci za szczerość! Więc chociażby dlatego.

Pollyanna uśmiechnęła się.

— Pan tylko wydaje się ponury, a w rzeczywistości nie jest pan taki — odpowiedziała.

— Z czego to wnioskujesz? — zapytał „Pan", starając się zmienić pozycję głowy, nie ruszając jednak reszty ciała.

— Z wielu drobnych rzeczy, proszę pana! Chociażby, na przykład, z tego, jak pan obchodzi się z psem — rzekła, wskazując na rękę „Pana" spoczywającą na głowie zwierzęcia. — A trzeba przyznać, że czasem zwierzęta daleko lepiej wyczuwają ludzi, niż sami ludzie, nieprawdaż? Ale niech pan pozwoli, podtrzymam panu głowę!

---

[13]*rezolutnie* — śmiało, inteligentnie. [przypis edytorski]

[14]*portiera* — ciężka zasłona, szczególnie: zasłona zawieszona w drzwiach wejściowych do pomieszczenia. [przypis edytorski]

Pan Pendleton, aczkolwiek[15] kilka razy jęknął podczas tej zmiany pozycji, poczuł wkrótce, że kolana Pollyanny z powodzeniem zastąpiły odłamek skały, na którym dotychczas spoczywała jego głowa.

— Tak mi lepiej — wyszeptał słabym głosem i na chwilę zamilkł.

Pollyannie już zdawało się, że się zdrzemnął, gdy spostrzegła, że zaciska wargi, starając się tłumić jęk.

Łzy stanęły jej w oczach na widok tego dużego człowieka, który leżał teraz taki bezsilny i niedołężny. Jedna ręka jego z kurczowo zaciśniętymi palcami leżała na ziemi, druga zaś spoczywała na głowie psa, który leżał również nieruchomo, nie spuszczając mądrych oczu z twarzy swego pana.

Czas upływał powoli. Słońce skłaniało się coraz bardziej ku zachodowi, zwiększając cień. Pollyanna bała się poruszyć i chwilami wstrzymywała oddech, by nie przeszkadzać rannemu.

Jakiś ptaszek fruwał niedaleko jej ręki, a mała wiewióreczka, siedząc na gałęzi tuż nad jej głową, wpatrywała się wylęknionymi, błyszczącymi oczkami w nieruchomego psa.

Po dość długim czasie pies podniósł uszy i z lekka zawarczał, a w chwilę potem Pollyanna usłyszała głosy i zobaczyła trzech ludzi, z których dwóch niosło nosze, trzeci zaś niewielką, skórzaną torbę. Ten ostatni, o wygolonej, sympatycznej twarzy, znany Pollyannie z widzenia, był właśnie doktorem Chiltonem.

— A więc, mała kobietko, bawisz się w pielęgniarkę? — przemówił wesoło, zbliżając się szybko.

— O nie, proszę pana! Podtrzymywałam tylko z lekka głowę, ale lekarstw żadnych nie dawałam. W każdym razie cieszę się, że tu jestem!

— Ja również — odparł doktor i natychmiast zajął się chorym.

ROZDZIAŁ XIII. POMYSŁ POLLYANNY

Oczywiście tego dnia Pollyanna spóźniła się na obiad, lecz uszło jej to bezkarnie z następującej przyczyny.

Przy bramie oczekiwała ją Nancy.

— Boże! Jak się cieszę, że cię widzę — westchnęła z ulgą. — Przecież jest już po szóstej!

— Wiem o tym — odpowiedziała trochę wylękniona Pollyanna — ale wierz mi, że nie zasłużyłam na karę! Jestem prawie pewna, że nawet ciocia Polly nie będzie robić mi wymówek!

— To więcej niż pewne, że ci nic nie powie, bo jej nie ma: wyjechała! — odpowiedziała na to Nancy.

— Wyjechała? Ale to nie przeze mnie? Nieprawdaż? No, powiedz, powiedz mi prędzej, że nie przeze mnie! — wołała przerażona Pollyanna, gdyż w tej chwili opanowały ją wspomnienia wszystkiego, co zaszło w ostatnich czasach, i zaczęła robić sobie wyrzuty za kotka, za pieska, za Jimmy'ego, za słowo „zadowolona", które tak drażniło ciotkę, wreszcie za zakazany wyraz „ojciec", który, pomimo najszczerszych chęci, tak często wyrywał się z jej małych usteczek.

— Ależ nie, nie! Uspokój się, kochanie! — pocieszała ją Nancy. — Po prostu podczas twej nieobecności nadeszła depesza z zawiadomieniem o nagłej śmierci jej stryjecznego brata, który mieszkał w Bostonie, i panna Polly wyjechała najbliższym pociągiem. Wcześniej niż za trzy dni nie wróci, a my możemy się cieszyć, żeśmy zostały same! Pokażemy, jak dobrze umiemy gospodarować!

Lecz Pollyanna nie podzielała jej radości.

— Cieszyć się, Nancy, gdy chodzi o czyjąś śmierć?

— Ja przecież cieszę się nie z powodu śmierci, a tylko dlatego że...

Nancy zamyśliła się na sekundę, a potem z uśmiechem dodała:

— Przecież to ty nauczyłaś mnie grać w zadowolenie?

— Owszem, Nancy, ale są wypadki, w których moja gra nie ma zastosowania, i jednym z takich wypadków jest śmierć! Tu nie można się cieszyć!

Nancy roześmiała się.

[15] *aczkolwiek* — choć, chociaż. [przypis edytorski]

— Przede wszystkim — rzekła — możemy cieszyć się, że śmierć ta nie dotknęła nas i że...

Lecz Pollyanna nie chciała dalej słuchać i przerywając Nancy, zaczęła opowiadać o wypadku pana Pendletona.

*

Następnego dnia Pollyanna spotkała się w umówionym miejscu z Jimmym.

Jak się spodziewała, Jimmy był bardzo przygnębiony wiadomością, że panie z dobroczynności wolały małych Hindusów niż jego.

— Zresztą — dodał na pocieszenie — to zupełnie zrozumiałe, że to, co jest dalej, zdaje się być bardziej interesujące niż to, co mamy przed sobą! Ale wobec tego może by tak zaopiekował się mną ktoś, kto mieszka w Indiach?

Na te słowa Pollyanna klasnęła w dłonie.

— Wiesz, Jimmy, masz rację! Napiszę do tych pań z dobroczynności, które opiekowały się mną, nim tu przyjechałam! One mieszkają, co prawda, nie w Indiach, ale również bardzo daleko, a więc to będzie doskonale!

Twarzyczka Jimmy'ego rozjaśniła się nieco.

— Przypuszczasz, że zechcą mnie przyjąć?

— Naturalnie — odparła Pollyanna — jeśli się opiekują małymi Hindusami, to przecież mogą cię z powodzeniem uważać za jednego z nich, tym bardziej, że mieszkasz również daleko! O, napiszę do nich, zaraz napiszę!

— Nie zapomnij tylko wspomnieć, że żebrakiem nie jestem i będę pracował na swoje utrzymanie; a zanim otrzymasz odpowiedź, pozostanę na dawnym miejscu. Tak będzie może najlepiej!

— Pewnie — zgodziła się Pollyanna — przynajmniej będę wiedziała, gdzie cię szukać!

*

Mniej więcej po tygodniu od dnia, w którym pan Pendleton złamał nogę, Pollyanna pewnego poranku zwróciła się do ciotki:

— Droga ciociu! Czy mogłabym dziś zanieść galaretkę z nóżek cielęcych, zamiast do pani Snow, do kogoś innego? Tylko ten jeden raz!

— Coś ty znów wymyśliła, Pollyanno? Jesteś naprawdę najoryginalniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek w życiu widziałam! — odparła zdumiona panna Polly.

Pollyanna miała twarzyczkę mocno zakłopotaną.

— Ciociu, ja bym nie chciała nigdy robić cioci przykrości, ale ponieważ ciocia pozwala mi nosić galaretkę *dla niej*, myślałam, że mi pozwoli zanieść tym razem *dla niego*! Przecież ze złamaną nogą nie choruje się tak długo, jak pani Snow, a potem ona znów będzie mogła otrzymywać swoją porcję w dalszym ciągu!

— „On"? Złamana noga? O kim i o czym ty mówisz, Pollyanno?

Na to pytanie Pollyanna nasamprzód się zdziwiła, lecz zaraz potem wesoło się roześmiała.

— Ach, zapomniałam zupełnie, że ciocia nic o tym nie wie! To się zdarzyło podczas cioci nieobecności!... Znalazłam go w lasku w dniu wyjazdu cioci... a potem musiałam otworzyć drzwi do mieszkania, telefonować po doktora, podtrzymywać głowę... Następnie wróciłam do domu i już go więcej nie widziałam! Lecz dziś, gdy Nancy przygotowywała galaretkę dla pani Snow, pomyślałam sobie, jakby to było uprzejmie i miło, gdybym mogła ją zanieść dla niego, zamiast dla niej. Tylko ten jeden raz! Ciocia pozwoli? Nieprawdaż?

— No dobrze, dobrze, naturalnie — zgodziła się panna Polly, już trochę znudzona — lecz powiedz mi, o kogo chodzi?

— O „Pana", to znaczy o pana Pendletona.

Panna Polly podskoczyła na krześle.

— Co? Mówisz o Johnie Pendletonie?

— Tak. Właściwie to Nancy powiedziała mi, jak się nazywa! Czy ciocia go zna?

— A ty znasz go? — usłyszała zamiast odpowiedzi.

— Owszem! Rozmawiamy ze sobą i teraz nawet czasem się uśmiecha! Ale on tylko zewnętrzny wygląd ma taki ponury! Więc idę po galaretkę, bo Nancy już pewnie wszystko przygotowała — szczebiotała Pollyanna, kierując się do drzwi.

— Zaczekaj! — głos panny Polly przyjął odcień zimny i stanowczy. — Zmieniłam postanowienie: pani Snow otrzyma dziś swoją galaretkę jak zwykle. Oto wszystko. Poza tym możesz iść!

Twarzyczka Pollyanny posmutniała.

— Ciociu, przecież pani Snow będzie długo chorowała i będzie zawsze otrzymywała galaretkę, on zaś prędko wyzdrowieje, bo ma tylko nogę złamaną. I tak już tydzień upłynął!

— Owszem, przypominam sobie, że słyszałam o wypadku pana Pendletona — odparła sucho panna Polly — lecz wcale nie mam zamiaru posyłać mu galaretki!

— Rozumiem, że ciocia go nie lubi... pewnie za to, że jest taki ponury! Ale naprawdę on tylko tak wygląda. Zresztą to przecież ja zaniosłabym galaretkę. Ja go tak lubię! Niech ciocia pozwoli! — błagała Pollyanna.

Panna Polly zaprzeczyła ruchem ręki, lecz nagle zapytała już nieco spokojniej:

— Czy on wie, kim jesteś, Pollyanno?

Dziewczynka westchnęła.

— Zdaje mi się, że nie! Raz jeden powiedziałam mu moje imię, lecz go prawdopodobnie nie zapamiętał.

— A czy wie, gdzie mieszkasz?

— Nie, tego mu nigdy nie mówiłam!

— A więc nie wie, że jesteś moją siostrzenicą?

— Przypuszczam, że nie.

Nastąpiła chwila milczenia. Panna Polly patrzyła na siostrzenicę wzrokiem, który, zdawało się, nic nie widział, a dziewczynka, przestępując z nóżki na nóżkę z drżeniem w sercu czekała, czy ciotka pozwoli jej zrobić ten dobry, jak jej się zdawało, uczynek, czy też nie. Wreszcie panna Polly zrobiła ruch, jakby odpędzała od siebie jakąś wizję.

— Dobrze, Pollyanno — powiedziała stłumionym, jakby nieswoim głosem — pozwalam ci zanieść galaretkę panu Pendletonowi jako prezent od ciebie! Lecz zapamiętaj sobie, że to nie ja ją posyłam i uważaj, żeby on też tego nie pomyślał.

— Owszem, ciociu... nie, ciociu... dziękuję... dobrze, ciociu — wołała, podskakując z radości Pollyanna i jak fryga[16] wybiegła z pokoju.

ROZDZIAŁ XIV. ODWIEDZINY U „PANA"

Gdy Pollyanna stanęła po raz drugi przed domem pana Pendletona, nie wydał się jej już taki ponury, jak poprzednio. Okna były pootwierane, jakaś starsza kobieta wieszała na podwórku bieliznę, a przed bramą stał powóz doktora.

Pollyanna śmiało zadzwoniła, a pies poznał ją od razu i zaczął się radośnie witać i machać ogonem.

Chwilę czekała, po czym otworzyła jej ta sama kobieta, która rozwieszała bieliznę.

— Przyniosłam dla pana Pendletona trochę galaretki z nóżek cielęcych — rzekła Pollyanna, uśmiechając się mile.

— Dziękuję — odpowiedziała kobieta, biorąc z rąk Pollyanny salaterkę — jak mam powiedzieć, od kogo?

W tej chwili doktor, który przechodząc, usłyszał słowa służącej i zobaczył zmartwioną minkę Pollyanny, zbliżył się do dziewczynki.

— Co? Galaretka z nóżek? Doskonale! — zawołał wesoło. — A może byś chciała zobaczyć naszego chorego?

— Ach, owszem, proszę pana!

I kobieta na znak doktora, aczkolwiek mocno zdziwiona, poprowadziła Pollyannę w głąb mieszkania.

Przy drzwiach wiodących do pokoju chorego sanitariusz, pielęgnujący pana Pendletona, wydał okrzyk zdziwienia.

[16] *fryga* (daw.) — zabawka dziecięca: bączek; w przenośni: ktoś zwinny, ruchliwy. [przypis edytorski]

— Ależ, panie doktorze, pan Pendleton rozkazał, aby nikogo do niego nie wpuszczać!

— Być może — odpowiedział doktor — lecz ja wydaję inny rozkaz i biorę za niego odpowiedzialność!

Potem zaś dodał z uśmiechem:

— Pan zapewne nie wie, że ta dziewczynka jest doskonałym lekarstwem. Jeżeli coś lub ktoś może dziś rozerwać nieco pana Pendletona, to tylko ona! Dlatego też ją posyłam!

Lekarz, Zdrowie, Radość

— A któż to jest?

Doktor namyślał się przez chwilę, potem powiedział:

— Jest to siostrzenica jednej z najbardziej szanowanych osób naszego miasta. Nazywa się Pollyanna Whittier. Wielu z moich pacjentów zna ją i wszyscy wyrażają się o niej jak najlepiej.

Sanitariusz uśmiechnął się.

— A jakież są cechy tego cudownego lekarstwa?

Radość, Zdrowie

Doktor poruszył głową przecząco.

— Nie wiem! Słyszałem tylko, że jest ona uosobieniem stałego i niewygasłego zadowolenia w stosunku do wszystkiego, co się dzieje i co się ma dziać. Powtarzano mi szereg prowadzonych z nią rozmów i, o ile z nich mogę wnioskować, hasłem jej we wszystkich okolicznościach życia jest „być zawsze zadowoloną". Gdyby takich jak ona — dodał, uśmiechając się — było dużo na świecie, to ani pan, jako sanitariusz, ani ja, jako lekarz, nie mielibyśmy z czego żyć!

Tymczasem Pollyanna na rozkaz doktora została wprowadzona do pana Pendletona. Przechodząc przez pokój, z którego tydzień temu telefonowała, Pollyanna zauważyła, że i tu zaszły pewne zmiany: czerwone portiery, co prawda, wisiały jak przedtem, lecz książki były pozbierane i poukładane na miejscu, a kurz starannie pościerany.

Jedne z kilku tajemniczych drzwi były otwarte i tam właśnie skierowała Pollyannę służąca.

Za chwilę dziewczynka znalazła się w zbytkownie umeblowanym sypialnym pokoju, a służąca nieco wylęknionym głosem zameldowała.

— Proszę pana, ta mała dziewczynka przyniosła panu galaretkę, a doktor kazał mi ją wprowadzić!

I wyszła natychmiast.

Pollyanna została sam na sam z chorym, ponurym człowiekiem, leżącym nieruchomo na łożu.

— Kazałem przecież — odezwał się rozgniewanym głosem — żeby nikogo... Ach, to ty! — dodał łagodniej, gdy Pollyanna zbliżyła się do łóżka.

— Tak, to ja — odpowiedziała, uśmiechając się Pollyanna. — Cieszę się bardzo, że mi pozwolono wejść do pana! Niech pan sobie wyobrazi, że służąca początkowo chciała wziąć galaretkę i już się bałam, że pana nie zobaczę. Ale potem nadszedł doktor i pozwolił mi wejść do pana. To było bardzo uprzejmie z jego strony!

— Hm... — mruknął „Pan" i z lekka się uśmiechnął.

— Przyniosłam panu trochę galaretki z nóżek cielęcych! Lubi pan galaretkę?

— Nigdy tego nie jadłem — odparł i uśmiech znów opuścił jego ponure oblicze.

A Pollyanna, stawiając salaterkę na szafce przy łóżku, mówiła dalej:

— Naprawdę? Skoro więc pan nigdy nie jadł, nie może pan wiedzieć, czy ją lubi, czy nie! Bardzo się cieszę! Ach, żeby pan wiedział...

— Tylko to jedno wiem doskonale, że jestem w tej chwili niedołężny i że mogę tak przeleżeć aż do dnia Sądu Ostatecznego!

Pollyanna była tym stwierdzeniem nieprzyjemnie zaskoczona.

— O nie, nie potrwa to do dnia Sądu Ostatecznego, chyba żeby dzień ten nastąpił wcześniej, niż się spodziewamy. Co prawda, Pismo Święte powiada, że nastąpi on nieoczekiwanie, nie wierzę jednak... to znaczy, wierzę temu, co mówi Pismo Święte, ale nie wierzę, żeby to było tak prędko!

Pan Pendleton roześmiał się szczerze. Sanitariusz, który w tej chwili otworzył drzwi i usłyszał ten śmiech, cofnął się natychmiast, jakby bojąc się spłoszyć nastrój panujący w pokoju.

— Trochę ci się wszystko poplątało — rzekł pan Pendleton.

Teraz roześmiała się Pollyanna.

— Może, proszę pana. Chciałam tylko powiedzieć, że złamanie nogi nie jest chorobą chroniczną, tak jak na przykład choroba pani Snow, a więc nie potrwa do dnia Sądu Ostatecznego. Pan się powinien z tego cieszyć!

— O tak, bardzo się cieszę — odpowiedział ponuro chory.

— Poza tym — mówiła dalej Pollyanna — ma pan złamaną tylko jedną nogę, a przecież mógłby pan złamać obie!

— O, naturalnie! — odparł chory, podnosząc do góry brwi. — Przyjmując twój punkt widzenia, powinienem w ogóle cieszyć się, że nie jestem stonogą i że nie mam pięćdziesięciu nóg, wszystkich złamanych!

Pollyanna znów się roześmiała.

— Ach, to naprawdę zabawne! Znam stonogi, one mają taką moc nóżek i...

— A może — przerwał „Pan" swym zwykłym ponurym głosem — powinienem cieszyć się i z tego, że mam przy sobie sanitariusza, doktora i tę kobietę w kuchni?

— Ależ naturalnie, proszę pana. Niech pan tylko pomyśli, jakby tu było smutno, gdyby ich nie było!

— Tak myślisz?

— Naturalnie! Przecież pan leży w łóżku, więc co by pan robił bez ludzi?

— Właśnie cała rzecz w tym, że leżę w łóżku. Ale nie mogę przecież być zadowolony z tej kobiety, która mi wszystko wywraca do góry nogami, mówiąc, że robi porządki, albo z tego sanitariusza, który jej pomaga, a mówi, że mnie pielęgnuje, lub też z doktora, który tylko ich popiera, a wszyscy troje każą sobie za to dobrze płacić.

— Teraz rozumiem — odparła Pollyanna ze współczuciem w głosie. — Naturalnie, że trudno jest tak od razu rozstać się z tym, co się oszczędza przez lata!

— Co chcesz przez to powiedzieć, dziecko?

— Mówię o pieniądzach, które pan, odmawiając poniekąd sobie, oszczędza i odkłada dla dzikich pogan. Widzi pan, że ja wiem o tym. I dlatego też doszłam do wniosku, że pan tylko zewnętrzny wygląd ma taki surowy i ponury, a w rzeczywistości jest pan bardzo dobry! Nancy mi to powiedziała.

— Nancy powiedziała ci, że ja oszczędzam pieniądze dla dzikich? Któż to jest Nancy?

— Nasza Nancy, która pracuje u cioci Polly!

— U cioci Polly? A któż to jest ciocia Polly?

— Panna Polly Harrington. Mieszkam u niej.

— Panna Polly Harrington? I ty u niej mieszkasz?

— Jestem jej siostrzenicą, córką jej siostry, która już dawno nie żyje — odpowiedziała Pollyanna wzruszonym głosem. — A gdy niedawno straciłam i ojca i nie miałam już nikogo, prócz pań z dobroczynności, ciocia Polly wzięła mnie do siebie!

„Pan" nic nie odpowiedział, lecz twarz jego zbladła tak raptownie, że Pollyanna aż się przestraszyła.

— Chciałabym już odejść — powiedziała — przypuszczam, że galaretka będzie panu smakowała!

Na te słowa pan Pendleton otworzył oczy i spojrzał na nią wzrokiem takim jakimś dziwnym, że Pollyanna stanęła zmieszana.

— A więc ty jesteś siostrzenicą panny Harrington? — spytał łagodnie po chwili.

— Tak jest, proszę pana.

Wzrok chorego był wciąż tak badawczo skierowany na twarzyczkę dziewczynki, aż ta wreszcie spytała:

— Pan pewnie ją zna?

Na ustach chorego zjawił się dziwny uśmiech.

— Owszem, znam!

— Ale — dodał wciąż z tym samym uśmiechem — nie zechcesz przecież twierdzić, że to ona przysyła mi galaretkę?

Pollyanna była coraz bardziej zmieszana.

— Nie, proszę pana. Nawet powinnam tak się zachowywać, żeby pan nie mógł choćby przypuścić, że to ona.

— Domyślałem się tego — powiedział pan Pendleton i odwrócił głowę, a Pollyanna, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, po cichu wysunęła się z pokoju.

W bramie zastała doktora, siedzącego w powozie i rozmawiającego z sanitariuszem, który stał przy nim.

— Słuchaj, Pollyanno, czy pozwolisz, że cię odwiozę do domu? — zapytał, uśmiechając się. — Chciałem już odjechać, lecz przyszło mi do głowy, że mogę na ciebie zaczekać!

— Dziękuję panu, bardzo się z tego cieszę, gdyż lubię jeździć powozem — odpowiedziała Pollyanna, podczas gdy doktor podawał jej rękę, by pomóc wsiąść.

— Naprawdę? — zapytał doktor, kiwnięciem głowy żegnając sanitariusza. — Ale pewnie lubisz jeszcze wiele innych rzeczy?

Pollyanna roześmiała się.

— Nie wiem... może — rzekła. — Nie lubię tylko takich rzeczy, jak szycie, gotowanie, czytanie na głos...

— Ale te rzeczy do czegoś wszakże służą — mówił doktor.

— Ciocia Polly powiada, że one „uczą żyć" — odpowiedziała Pollyanna ze smutnym uśmiechem.

— Doprawdy? Spodziewałem się, że tak powiada! — rzekł na to doktor.

— Ale ja jestem innego zdania — odparła Pollyanna — i nie uważam, żeby potrzeba było koniecznie uczyć się żyć.

— Dla wielu z nas jest to jednak potrzebne — westchnął ciężko doktor i zamyślił się głęboko.

Pollyanna, widząc jego zasmuconą twarz, chciała w jakiś sposób rozerwać go i odpędzić smutne myśli.

— Panie doktorze — powiedziała po chwili milczenia — myślę, że być, tak jak pan, doktorem musi być najprzyjemniejszym w świecie zajęciem!

Doktor spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Jak to najprzyjemniejszym? Widzieć wszędzie tyle cierpień?

— Wiem o tym, proszę pana, ale pan powinien być szczęśliwy, mając możność niesienia ulgi wszystkim tym cierpieniom! Wszak pan mnie rozumie?

Duże dwie łzy ukazały się w oczach doktora. Życie jego było niewesołe. Nie posiadając ani rodziny, ani własnego kąta, mieszkając w dwóch wynajmowanych w pensjonacie pokojach, cały czas poświęcał swemu zawodowi, który po prostu kochał.

Teraz, gdy widział świecące zapałem oczęta Pollyanny, zdawało mu się, że jakaś kochająca dłoń dotknęła jego głowy jakby z błogosławieństwem, i rozumiał, że od tej chwili podczas dni pracy, jak i podczas nocy czuwania wypowiedziane właśnie słowa Pollyanny będą mu gwiazdą przewodnią.

— Niech cię Bóg błogosławi, dziecko! — powiedział drżącym głosem.

Potem z uśmiechem, tak dobrze znanym i lubianym przez jego pacjentów, dodał:

— Wiedz, kochanie, że czasem i doktor, jak jego pacjenci, potrzebuje lekarstwa!

Słowa te mocno zaciekawiły Pollyannę, ale myślała o nich dopóty tylko, dopóki przeskakująca z drzewa na drzewo wiewiórka nie zaprzątnęła całkowicie jej uwagi.

Doktor wysadził Pollyannę przy samej bramie, uśmiechnął się do Nancy, która myła schodki, i odjechał.

— Ach, jaka przyjemna była ta przejażdżka powozem! — zawołała Pollyanna, podbiegając do Nancy. — A jaki ten doktor miły!

I w kilku słowach opowiedziała Nancy swoją rozmowę z doktorem, po czym pobiegła do ciotki.

Pannę Polly zastała w salonie.

— Pollyanno, czyj to powóz zatrzymał się przed chwilą przed bramą? — zapytała, jak zwykle, sucho panna Polly.

— Doktora Chiltona! Nie zna go ciocia?

— Doktor Chilton? Cóż on tu robił?

— Odwiózł mnie swoim powozem. Ach, ciociu, zaniosłam galaretkę panu Pendletonowi i...

— Pollyanno, czy on się tylko nie domyśla, że to ja ją posłałam? — przerwała panna Polly, podnosząc głowę.

— Ależ nie! Nawet mu powiedziałam, że to nie ciocia!

Twarz panny Polly zaczerwieniła się w jednej chwili.

— Jak to? Więc powiedziałaś mu, że to nie ja przysyłam?

Pollyanna szeroko otworzyła oczy, zdziwiona potępiającym głosem panny Polly.

— Ależ ciociu! Czy mi ciocia tego nie mówiła?

Panna Polly westchnęła ciężko.

— Mówiłam ci, Pollyanno, że to nie ja posyłam i prosiłam, abyś tak się zachowywała, by on czasem tego nie pomyślał! A to wielka różnica, zamiast mu powiedzieć, że to nie ja posyłam.

I po tych słowach wyszła z pokoju.

— O Boże! Zrobiłam coś złego! A najgorsze, że nie widzę w tym żadnej różnicy — westchnęła ciężko Pollyanna.

ROZDZIAŁ XV. CZERWONA RÓŻA

Mniej więcej w tydzień po wizycie Pollyanny u pana Pendletona odbyło się następne zebranie Towarzystwa Dobroczynności. Dzień był wietrzny i dżdżysty, a kiedy Mateusz koło godziny trzeciej po południu odwiózł pannę Polly z posiedzenia do domu, Pollyanna, zobaczywszy ją, wydała okrzyk zachwytu.

Panna Polly była lekko zaróżowiona, a włosy, potargane przez wilgotny wiatr, potworzyły ładne loki w tych wszystkich miejscach, gdzie się szpilki rozluźniły.

Pollyanna nigdy jeszcze nie widziała swej ciotki takiej.

— O, ciocia też ma, też ma!— wołała radośnie, skacząc wokoło panny Polly, która wchodziła do salonu.

— Co mam, ty nieznośna dziewczyno?

Lecz Pollyanna wciąż skakała dokoła.

— Nigdy się nie spodziewałam i nigdy tego nie widziałam! Ach! To naprawdę ładnie wygląda!

— Pollyanno! Co to znaczy? — pytała panna Polly, pośpiesznie zdejmując kapelusz, aby poprawić rozwichrzone włosy.

— Nie, nie, ja proszę... ciociu! — głos Pollyanny z wesołego stał się błagalny. — Nie trzeba! Ja właśnie o nich mówię, o tych ślicznych lokach! Jakie one cudne!

— Głupstwa mówisz — niecierpliwie zawołała panna Polly. — Powiedz mi lepiej, coś ty sobie myślała, idąc na zebranie Towarzystwa Dobroczynności i prosząc w tak niedorzeczny sposób o opiekę dla tego małego żebraka?

— To nie głupstwo — mówiła Pollyanna, pozostawiając bez odpowiedzi pytanie ciotki. — Ciocia nie ma pojęcia, jaka jest teraz ładna! Ach, ciociu, proszę mi pozwolić uczesać się, jak to robiłam z panią Snow, i przypiąć do włosów kwiat! Tak bym chciała widzieć, jak by to wyglądało!

— Pollyanno!

Panna Polly mówiła głosem suchym, bardziej może suchym tym razem, gdyż nie chciała zdradzić pewnej radości, którą jej sprawiły słowa Pollyanny! Bo kogóż w ogóle interesowały jej włosy? Kto chciał widzieć ją piękną?

— Pollyanno, nie odpowiedziałaś mi na moje pytanie. Dlaczego w tak niedorzeczny sposób zwróciłaś się do pań w sprawie tego chłopca?

— Wiem, ciociu, że było to niedorzeczne, ale nie myślałam tak, dopóki nie przekonałam się, że one wolą widzieć swoje nazwiska wydrukowane na papierze niż wychowywać tego chłopca! Napisałam więc do moich pań: może one coś zrobią! Przecież od nich Jimmy jest daleko! A teraz czy mogę ciocię uczesać?

Panna Polly przesunęła ręką po twarzy; czuła, że ogarnia ją znane jej od czasu przybycia Pollyanny uczucie niemocy.

— Ależ Pollyanno. Gdy te panie opowiedziały mi dziś, jak wtedy postąpiłaś, wstyd mi było za ciebie! Spodziewałam się, że...

Lecz Pollyanna, skacząc znów dokoła ciotki, zawołała:

— Ciocia nie zabroniła mi uczesać się! Kto milczy, ten się zgadza... Tak, jak wtedy było z tą galaretką dla pana Pendletona! A teraz proszę zaczekać... zaraz przyniosę grzebień.

I wybiegła z pokoju.

— Ależ, Pollyanno, Pollyanno — protestowała ciotka, idąc bezwiednie za siostrzenicą do jej pokoju na pierwsze piętro.

— Ach, ciocia nawet przyszła do mnie — wołała dziewczynka, witając ciotkę na progu swego pokoju. — Tak będzie lepiej... już mam grzebień... proszę siadać... o, jak to będzie wspaniale!

— Ależ Pollyanno, ja...

Panna Polly nie dokończyła zdania, bo ku wielkiemu swemu zdziwieniu zobaczyła, że siedzi już na małym krzesełku przed lustrem, a na włosach poczuła niecierpliwe, lecz wprawne paluszki Pollyanny.

— Jakie śliczne ciocia ma włosy! I jakie gęste! Uczeszę je tak ładnie, że wszyscy będą podziwiali!

— Pollyanno — mówiła tymczasem stłumionym głosem panna Polly. — W ogóle nie rozumiem, dlaczego pozwalam ci robić te wszystkie głupstwa!

— Przecież cioci będzie przyjemnie, kiedy wszyscy będą na ciocię patrzyli z zachwytem. Ja sama tak lubię patrzeć na wszystko co piękne!

— Ależ...

— Często czesałam moje panie z dobroczynności, ale żadna z nich nie miała tak pięknych i obfitych włosów, jak ciocia! Ach, mam pewien pomysł, ale teraz nie powiem... to sekret... Widzi ciocia, że już prawie skończyłam! A teraz muszę na chwilkę wyjść z pokoju; tylko niech ciocia mi obieca, że się stąd nie poruszy i że nie będzie podglądała! Dobrze?

I wybiegła z pokoju.

Panna Polly nic nie odpowiedziała, ale postanowiła natychmiast zmienić niedorzeczne dzieło siostrzenicy na zwykłe uczesanie. Zamiast tego jednak, bezwiednie spojrzała do lustra i to, co zobaczyła, wywołało lekki rumieniec na jej twarzy, a gdy poczuła, że się rumieni, zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Zobaczyła w lustrze twarz, aczkolwiek nie bardzo młodą, lecz ożywioną, zobaczyła różowe policzki, świecące się oczy i piękne czarne włosy, które, nieco wilgotne jeszcze, tworzyły pod wpływem czarodziejskich paluszków Pollyanny prześliczne loki.

Panna Polly była tak zaskoczona zmianą swego wyglądu, że zapomniała zupełnie o postanowieniu, by zmienić uczesanie jeszcze przed powrotem Pollyanny, gdy nagle poczuła, że zawiązywano jej oczy.

— Pollyanno, Pollyanno, co ty znów robisz? — zawołała.

W odpowiedzi usłyszała dźwięczny śmiech dziewczynki.

— Właśnie to, czego nie chcę, żeby ciocia teraz widziała. A ponieważ bałam się, że ciocia jednak zobaczy za wcześnie, więc zawiązałam jej oczy. Chwileczkę tylko proszę się nie ruszać, a zobaczy ciocia wszystko!

— Ależ, dziecko moje, proszę natychmiast rozwiązać i zdjąć mi z oczu chusteczkę! Co ty robisz? — dodała, czując, że coś miękkiego i delikatnego spadło na jej ramiona.

Pollyanna wciąż śmiała się radośnie. Drżącymi rączkami zarzuciła na ramiona ciotki szal koronkowy, śliczny, chociaż pachnący lawendą i z lekka pożółkły od długich lat spoczynku.

Kilka dni temu Pollyanna przypadkowo odkryła ten szal w jednym z kufrów na strychu, podczas gdy Nancy przekładała rzeczy, a dziś przyszło jej na myśl ubrać w niego ciotkę.

Następnie, wziąwszy pannę Polly za rękę, przeprowadziła ją, wciąż jeszcze z zawiązanymi oczami na werandę, gdzie widziała rozkwitłą czerwoną różę.

— Co ty robisz, Pollyanno? Dokąd mnie prowadzisz? — wołała, sprzeciwiając się panna Polly — ja nie chcę...

— Tylko na werandę, ciociu! W mgnieniu oka wszystko będzie skończone — odpowiedziała Pollyanna, zrywając różę i wkładając ją we włosy ciotki.

— Już! — zawołała wreszcie, zdejmując chusteczkę z oczu panny Polly. — A teraz niech mi ciocia powie, czy nie ładnie ciocię wystroiłam?

Panna Polly przez chwilę patrzyła na siebie, potem spojrzała dookoła, lecz nagle wydała okrzyk przerażenia i pośpiesznie cofnęła się do pokoju. Zdziwiona Pollyanna skierowała wzrok w tę samą stronę i zobaczyła na ulicy konia i powóz. Oczywiście natychmiast poznała człowieka, który trzymał lejce i zawołała uprzejmie:

— Panie doktorze! Panie doktorze Chilton, czy przypadkiem nie mnie pan szuka?

— Właśnie ciebie! Zechcesz może zejść?

A tymczasem w sypialnym pokoju panna Polly, czerwona z gniewu, wyciągała szpilki przytrzymujące szal.

— Jak mogłaś, Pollyanno — mówiła z wyrzutem w głosie. — I pomyśl tylko, że mnie w tym przebraniu widziano!

Pollyanna stanęła zmieszana.

— Przecież ciocia wyglądała tak pięknie, tak naprawdę pięknie!

— Pięknie! — powtórzyła z pogardą panna Polly, odrzucając na krzesło szal i zaczęła doprowadzać „do porządku" uczesanie.

— O ciociu, proszę... Niech ciocia tak zostawi...

— Zostawić tak, jak jest? — odparła panna Polly z oburzeniem. — Nie, moje dziecko, przenigdy!

I w mgnieniu oka znikło arcydzieło rąk Pollyanny!

— Ach, jaka szkoda! Ciocia była taka ładna! — mówiła prawie ze łzami w oczach Pollyanna, wychodząc z pokoju.

Doktor czekał na nią w powozie.

— Zapisałem choremu lekarstwo i przyjechałem po nie — rzekł, uśmiechając się. — Jedziemy?

— Pan pewnie ma na myśli receptę do apteki! O, ja to umiem! Dawniej często przynosiłam z apteki lekarstwa dla pań z dobroczynności!

Doktor znów się uśmiechnął.

— Tymczasem chodzi o pana Pendletona, który chciałby cię dziś widzieć, a ponieważ deszcz przestał padać, więc przyjechałem po ciebie. Czy zechcesz pojechać? Odwiozę cię z powrotem przed szóstą.

— Bardzo chętnie, proszę pana — odpowiedziała Pollyanna — tylko muszę wpierw otrzymać pozwolenie cioci Polly.

Za chwilę wybiegła z kapeluszem w ręce, lecz minkę miała poważną, prawie smutną.

— Naturalnie ciocia pozwoliła — zaczął rozmowę doktor, gdy powóz ruszył.

— Owszem — westchnęła Pollyanna — boję się, że nawet jest zadowolona z tego, że wyszłam z domu!

— A to dlaczego?

Pollyanna westchnęła powtórnie.

— Myślę, że nie chciała widzieć mnie przy sobie. Powiedziała nawet: „No idź już sobie, idź! Chciałabym, żebyś już była daleko!"

Doktor uśmiechnął się z lekka, lecz nic nie powiedział. Zdawało się, że się nad czymś głęboko zamyślił i dopiero po chwili spytał:

— Czy to twoja ciocia była z tobą na werandzie?

Pollyanna znów ciężko westchnęła.

— Tak i właśnie od tego się zaczęło! Ubrałam ją w bardzo piękny koronkowy szal, zrobiłam ładne uczesanie, włożyłam różę we włosy! Wyglądała tak pięknie! Czy pan doktor widział, jak pięknie wyglądała?

Ale doktor odpowiedział dopiero po pewnej chwili.

— Tak, Pollyanno, wyglądała pięknie!

— Naprawdę? Ach, jak się cieszę — zawołała uszczęśliwiona dziewczynka — powiem jej to po powrocie!

Lecz ku wielkiemu jej zdziwieniu doktor natychmiast zawołał:

— Boże uchowaj, Pollyanno! Proszę cię, nie rób tego!

— A dlaczego, panie doktorze? Myślałam, że byłoby panu przyjemnie...

— Ale jej mogłoby być nieprzyjemnie! — przerwał doktor.

Pollyanna zamyśliła się.

— Możliwe — powiedziała po chwili. — Teraz domyślam się, że uciekła do pokoju tak prędko dlatego, że zobaczyła pana. A potem była strasznie rozgniewana, że ją widziano w tym przebraniu!

— Spodziewam się! — powiedział doktor.

— Jednak nie rozumiem dlaczego — nie mogła się uspokoić Pollyanna — wyglądała przecież tak pięknie!

Doktor Chilton nie odpowiedział i nie mówił już nic aż do końca drogi.

ROZDZIAŁ XVI. ZUPEŁNIE JAK W POWIEŚCI

Tym razem pan Pendleton przywitał Pollyannę z uśmiechem.

— Mam wrażenie, Pollyanno, że jesteś osóbką, która łatwo przebacza, gdyż w przeciwnym razie nie odwiedziłabyś mnie dziś!

— Ależ, proszę pana, bardzo mi przyjemnie odwiedzać pana i nie widzę przyczyny, dla której miałabym nie przyjść.

— Po prostu dlatego, że byłem bardzo nieprzyjemny i ostatnim razem, i wtedy, gdyś mnie znalazła ze złamaną nogą w lasku! Następnie, o ile sobie przypominam, nawet nie podziękowałem ci za okazaną pomoc. A teraz widzisz, iż mam słuszność, mówiąc, że łatwo przebaczasz, gdyż przychodzisz do mnie pomimo mej niewdzięczności!

— Ach, nie! Ja się tak ucieszyłam, gdy pana wtedy znalazłam... To znaczy nie z tego, że pan złamał nogę, tylko że mogłam panu dopomóc!

Pan Pendleton uśmiechnął się.

— Rozumiem, rozumiem — odpowiedział — ale twój języczek jest zawsze prędszy od ciebie. W każdym razie dziękuję ci bardzo i oświadczam, że jesteś dzielną dziewczynką. Dziękuję również za galaretkę.

— A czy smakowała panu? — z ciekawością zapytała Pollyanna.

— Bardzo! Przypuszczam jednak, że dziś mi jej nie przyniosłaś! Nieprawdaż? — zapytał z nieco dziwnym uśmiechem.

Pollyanna była mocno zmieszana.

— N... nie, proszę pana — zatrzymała się na chwilę, a potem, coraz bardziej się rumieniąc, dodała — ja zeszłym razem wcale nie chciałam być niegrzeczna, mówiąc, że ciocia Polly nie przysyła panu galaretki! Naprawdę nie!

Odpowiedzi nie było. Pan Pendleton już się nie śmiał, lecz patrzył przed siebie wzrokiem, który jak się zdawało, nie widział otoczenia. Po chwili westchnął głęboko i odwrócił się do Pollyanny.

— No, no, dość już tego — mówił swym zwykłym, niecierpliwym tonem — posłałem po ciebie nie dlatego, żebyś widziała mnie smutnym i ponurym! Posłuchaj! W bibliotece, na półce oszklonej szafy, stojącej w rogu pokoju, znajdziesz niewielką rzeźbioną szkatułkę (naturalnie, o ile moja służąca, robiąc „porządki", nie postawiła jej gdzie indziej). Przynieś mi ją. Będzie trochę ciężka, ale sądzę, że ją udźwigniesz!

— O, jestem bardzo silna — zawołała Pollyanna, wybiegając z pokoju, a za chwilę wróciła ze szkatułką.

Następne chwile były arcyprzyjemne.

Pudełko było pełne różnych osobliwości, które pan Pendleton zebrał podczas swoich podróży, a każdy przedmiot posiadał swoją historię, niezależnie od tego, czy była to misternie rzeźbiona szachownica z Chin, czy też bożek kamienny przywieziony z Indii.

Po wysłuchaniu historii bożka Pollyanna zamyśliła się.

— Właściwie to może i większą zasługą jest — szeptały jej usteczka — wychowywać małego Hindusa, jednego z tych, co to myślą, że Bóg jest w tym kamiennym posążku niż takiego Jimmy'ego, który zna Boga i wie, że Bóg jest w niebie! A jednak żal mi bardzo, że one wolały wychowywać poganina niż Jimmy'ego.

Pan Pendleton znów pogrążył się w zadumie i nie słuchał, co mówi Pollyanna, lecz po chwili opanował się i zaczął dalej opowiadać historie różnych zebranych osobliwości.

Ta wizyta była naprawdę przemiła! Rozmawiali nie tylko o cudach, które zawierała rzeźbiona szkatułka, ale i o Pollyannie, o jej codziennym trybie życia, o cioci Polly, o Nancy i nawet o życiu Pollyanny jeszcze tam, w domu z ojcem!

A kiedy Pollyanna musiała już wracać do domu, pan Pendleton przemówił do niej głosem, którego nie poznała, tak był odmienny od zwykłego głosu chorego.

— Pollyanno! Chciałbym, żebyś mnie odwiedzała częściej! Dobrze? Czuję się samotny i potrzeba mi ciebie. Jest jeszcze coś, co mnie skłania do tej prośby. Kiedy się dowiedziałem, kim jesteś, myślałem, że już nigdy więcej nie zechcę cię widzieć, ponieważ przypominasz mi coś, co od szeregu lat starałem się i nadal staram zapomnieć! Za każdym razem, kiedy doktor pytał, czy ma cię sprowadzić, odpowiadałem: nie! Lecz z biegiem czasu doszedłem do przekonania, że muszę cię widywać, bo to właśnie twoja nieobecność

nasuwa mi myśli o tym, co tak bardzo chciałbym zapomnieć. Dlatego też proszę cię, abyś przychodziła! Czy spełnisz moją prośbę?

— Ależ naturalnie, proszę pana — odpowiedziała Pollyanna, patrząc oczyma pełnymi sympatii na leżącego przed nią chorego człowieka o smutnej twarzy. — Sprawi mi to wielką przyjemność.

— Dziękuję — odpowiedział pan Pendleton.

Tegoż wieczoru Pollyanna opowiedziała Nancy o swej wizycie u pana Pendletona, o jego zbiorach z podróży, o ciekawych historiach, które jej opowiadał.

— I pomyśleć tylko — westchnęła Nancy — że on ci to wszystko pokazywał i opowiadał, on, zawsze taki ponury i nigdy z nikim nie rozmawiający!

— Ach, on tak wygląda, lecz taki nie jest — stanęła znów w obronie „Pana" Pollyanna. — Nie rozumiem naprawdę, dlaczego wszyscy tak źle o nim mówią! Gdyby go znali lepiej, myśleliby inaczej. Nawet ciocia Polly: i ona go nie lubi. Nie chciała na przykład posłać mu galaretki i wiesz, tak się bała, żeby czasem nie pomyślał, że to ona mu ją posyła.

— Zapewne nie wchodzi to w zakres jej „obowiązków" — wzruszyła ramionami Nancy. — Lecz co mnie w tym wszystkim dziwi, to to, że on, który nie należy w ogóle do ludzi lubiących dzieci, ciebie jednak lubi!

— Ja też myślę, że on nie lubi dzieci — potwierdziła Pollyanna. — Dziś nawet powiedział mi, że początkowo miał zamiar nigdy mnie więcej nie widzieć, ponieważ przypomniałam mu coś, co pragnął zapomnieć, lecz potem...

— Co to mogło znaczyć? — przerwała Nancy. — Powiedział ci, że przypomniałaś mu coś, co by chciał... zapomnieć?

— Tak, lecz potem...

— A co to było?

— Tego mi nie powiedział!

— Tajemnica! — zawołała uroczyście Nancy. — To dlatego tak cię lubi! Ach, Pollyanno, to zupełnie jak w powieści! Dużo czytałam książek, na przykład *Tajemnicę lady Andley* albo jeszcze inne! W każdej z nich była jakaś tajemnica, a teraz taką tajemnicę mamy przed sobą! Pollyanno, opowiedz mi dokładnie wszystko. O, rozumiem, dlaczego do ciebie właśnie czuje sympatię!

— Przedtem jednak byłam mu obojętna aż do chwili, kiedy powiedziałam, kim jestem i kiedy musiałam tłumaczyć, że to nie ciocia Polly posyła mu...

Nancy zerwała się z krzesła i klasnęła w ręce.

— O, Pollyanno! Teraz już wiem wszystko! Powiedz mi tylko, czy to wtedy nie chciał cię widzieć, gdy się dowiedział, że jesteś siostrzenicą panny Polly?

— Zdaje mi się, że tak.

— A panna Polly nie chciała posłać mu galaretki?

— Tak i bała się, żeby czasem nie pomyślał, że to ona...

— Tak... teraz już wszystko jasne — westchnęła głęboko Nancy. — Posłuchaj! Otóż pan Pendleton był narzeczonym panny Polly! — dodała z przekonaniem.

— Ależ, Nancy, to niemożliwe! Ona go nie lubi!

Nancy uśmiechnęła się.

— Pewnie, że nie lubi: bo oni przecież poróżnili się[17]!

Ponieważ jednak Pollyanna patrzyła wciąż niedowierzająco, Nancy zaczęła opowiadać jej całą historię.

— Otóż było to tak: jeszcze przed twoim przyjazdem opowiadał mi pewnego razu Tomasz, że panna Polly miała narzeczonego. Nie chciałam wierzyć, ale Tomasz zapewnił mnie, że pan ten mieszka w naszym mieście. A teraz wiem już, że jest to właśnie pan Pendleton! Bo czy nie stroni od ludzi i czy nie zamknął się samotnie w swoim domu, nie dopuszczając nikogo do siebie? Czy obojętnie przyjął wiadomość, że jesteś siostrzenicą panny Polly? Czyż nie powiedział ci, że przypominasz mu coś, co pragnąłby zapomnieć? Jasne przecież, że chodzi tu o pannę Polly! A jej niechęć, by posłać mu galaretkę? Wszystko to jest tak oczywiste, jak to, że w tej chwili mówimy ze sobą!

Pollyanna ze zdumieniem szeroko otworzyła oczęta.

— Ależ Nancy! Gdyby byli narzeczonymi, to by się już dawno pogodzili!

---

[17] *poróżnić się* — posprzeczać się, pokłócić się. [przypis edytorski]

— Ty się na tym nie znasz — odpowiedziała z lekką pogardą w głosie Nancy — jesteś jeszcze za mała! To tylko wiedz, że jeśli są na świecie ludzie, którzy nie potrafiliby „grać w zadowolenie", to na pewno poróżnieni ze sobą narzeczeni!

— Pollyanno — krzyknęła nagle Nancy, jakby jej jakaś szczęśliwa myśl przyszła do głowy. — Czy nie byłoby nadzwyczajne, gdybyś nauczyła ich twojej gry w zadowolenie tak, żeby się w końcu pogodzili i pobrali? Jakby się wszyscy dziwili! Tylko że to ci się nie uda!

Pollyanna nic nie odpowiedziała, ale gdy wieczorem wracała do swego pokoju, była bardzo zamyślona.

ROZDZIAŁ XVII. WIDMA SŁONECZNE

Podczas upalnych dni sierpniowych Pollyanna dość często odwiedzała pana Pendletona.

Wizyty te nie zawsze były jednakowo miłe. Nie dlatego, żeby chory ich nie chciał, bo często po nią posyłał, lecz Pollyannie zdawało się, że jej obecność nie za każdym razem wpływała dodatnio na zmianę humoru chorego. Rozmawiał z nią, pokazywał jej różne osobliwości, książki, obrazy, lecz widocznie drażniło go przymusowe niedołęstwo i bezczynność, oraz „porządki" wprowadzane w jego domu przez zajmujące się nim teraz osoby, najwyraźniej niepodzielające jego wizji ładu w najbliższym otoczeniu.

Lubił jednak szczebiot Pollyanny, a dziewczynka, instynktownie to odczuwając, szczebiotała przez cały czas swoich wizyt.

Lubiła rozmawiać z nim, ale nigdy nie była pewna, czy spojrzawszy na niego, nie zobaczy zmęczonego, smutnego wzroku, który ją tak niepokoił. I bała się, że może to ona właśnie jakimś nieostrożnym słowem wywoła na jego twarzy ten smutek.

Jakoś nie miała dotąd okazji mówić mu o grze w zadowolenie. Parę razy, co prawda, zaczynała, lecz pan Pendleton natychmiast zmieniał temat rozmowy.

Pollyanna już nie wątpiła teraz, że pan Pendleton był kiedyś narzeczonym panny Polly i całą siłą swego szczerego i kochającego serduszka chciała wnieść w samotne życie obojga choć odrobinę szczęścia.

Gdy próbowała mówić z panem Pendletonem o ciotce, słuchał jej, czasem spokojnie, czasem niecierpliwie, zwykle z lekkim, drwiącym uśmiechem na zaciśniętych wargach. Gdy zaś mówiła, a raczej usiłowała mówić o panu Pendletonie z ciotką, panna Polly zazwyczaj słuchała niedługo i zawsze wynajdywała jakiś inny temat do rozmowy. To samo robiła jednak, gdy Pollyanna zaczynała czasem mówić o innych osobach, jak na przykład o doktorze Chiltonie. Lecz Pollyanna tłumaczyła to sobie tym, iż pannie Polly wciąż jeszcze było przykro, że doktor Chilton zobaczył ją wówczas ustrojoną w szal i z różą we włosach.

Stosunek panny Polly do doktora Chiltona był jednakże wyjątkowo nieprzychylny, co mogła skonstatować[18] Pollyanna, gdy pewnego razu przeziębienie i silny katar zmusiły ją do pozostania w domu.

— Jeśli do wieczora nie będzie ci lepiej, wezwę lekarza — oświadczyła panna Polly.

— Naprawdę? Ach, jak to dobrze! Spodziewam się, że nie będzie mi lepiej — odpowiedziała zachrypniętym głosem Pollyanna. — Tak bardzo chciałabym, żeby doktor Chilton mnie odwiedził!

Zdziwił ją jednak wzrok, jakim panna Polly na nią spojrzała.

— Doktor Chilton do ciebie nie przyjdzie, Pollyanno — powiedziała oschle panna Polly. — Doktor Chilton nie jest naszym domowym lekarzem. Jeśli nie będzie ci lepiej, wezwę doktora Warrena!

Jednak stan zdrowia Pollyanny nie pogorszył się i doktor Warren nie został wezwany.

— Zresztą bardzo się z tego cieszę, — mówiła tego wieczoru Pollyanna do ciotki. — Naturalnie, doktor Warren jest też bardzo miły, lecz wolałabym doktora Chiltona i bałabym się, żeby się nie obraził, gdyby ciocia wezwała kogo innego! Naprawdę nie trzeba ganić go za to, że wtedy zobaczył ciocię tak ładnie ubraną — dodała filuternie.

— Dosyć, Pollyanno! Wcale nie mam zamiaru rozprawiać z tobą o doktorze Chiltonie — przerwała panna Polly stanowczym głosem.

[18] *skonstatować* — stwierdzić. [przypis edytorski]

Pollyanna przez chwilę patrzyła na nią zaciekawionym, lecz smutnym wzrokiem, potem westchnęła:

— Bardzo cioci do twarzy tak jak teraz, z zaróżowionymi policzkami! Tak chciałabym kiedyś znów ciocię uczesać!

Lecz panny Polly nie było już w pokoju.

*

Kiedyś w końcu sierpnia, kiedy Pollyanna była znów u pana Pendletona, zauważyła na poduszce wąski pas światła, złożonego z kolorów niebieskiego, zielonego, żółtego, czerwonego i fioletowego. Stanęła oczarowana!

— Ach, panie Pendleton, czy pan widział to dziecko tęczy, które przyszło pana odwiedzić? — zawołała z zachwytem. — Ach, jakie to cudne! Jak to się robi?

Pan Pendleton uśmiechnął się od niechcenia. Tego dnia był w wyjątkowo złym humorze i usposobiony nieprzychylnie względem całego otoczenia.

— Mam wrażenie, że te widma słoneczne powstały z promieni odbijających się w ukośnie ściętej krawędzi szkła termometru, umocowanego w oknie. Właściwie termometr jest prawie zawsze w cieniu i tylko z rana przez parę chwil pada na niego słońce!

— Ach, jakie to ładne! — wołała Pollyanna. — I to robi słońce? Gdybym miała taki termometr, trzymałabym go cały dzień na słońcu!

— Ładne byś miała pojęcie o właściwej temperaturze, gdyby tak termometr był stale wystawiony na słońce — roześmiał się pan Pendleton.

— Nie kłopotałabym się wcale o to — odparła Pollyanna, wciąż jeszcze oczarowana blaskami tęczowymi na poduszce. — Czy kogoś, kto by przez cały dzień przebywał w tęczy, mogłaby obchodzić temperatura?

Pan Pendleton znów się uśmiechnął. Obserwował uważnie rozpromienioną twarzyczkę Pollyanny i nagle przyszła mu jakaś myśl do głowy. Nacisnął guzik dzwonka elektrycznego.

— Noro — rzekł do służącej, która ukazała się we drzwiach — proszę mi przynieść brązowy świecznik, stojący w salonie na kominku.

— Dobrze, proszę pana — odpowiedziała nieco zdziwiona służąca i po chwili wróciła ze świecznikiem.

Wejściu jej towarzyszyło melodyjne brzęczenie trójgraniastych wisiorków kryształowych, zdobiących stary świecznik.

— Dziękuję! Proszę postawić na stoliku. A teraz proszę wziąć sznurek i przeciągnąć w poprzek okna, zaczepiając o haczyki. Więcej nic, dziękuję! — dodał, gdy służąca zrobiła wszystko podług wskazówek.

A gdy wyszła z pokoju, spojrzał uśmiechnięty na Pollyannę.

— Podaj mi teraz, dziecinko, świecznik.

Pollyanna, trzymając mocno rączkami ciężki świecznik, podała mu go, a pan Pendleton zaczął jeden po drugim odczepiać wiszące kryształki. Gdy ich odczepił kilkanaście, zwrócił się do Pollyanny:

— A teraz, moja mała, jeśli chcesz naprawdę przebywać w tęczy, zawieś te kryształki jeden przy drugim na sznurku przeciągniętym w poprzek okna.

Światło, Radość

Już po zawieszeniu pierwszych kilku kryształków w oknie oświetlonym słońcem Pollyanna zauważyła to, co miało się stać. Tak była podniecona, że małe paluszki jej drżały po prostu przy zawieszaniu reszty kryształków. A gdy skończyła, wydała okrzyk zachwytu.

Pokój wyglądał jak w zaczarowanej bajce: tęczowe kręgi w niezliczonej liczbie pokryły ściany, sufit, podłogę... wszędzie tańczyły promienie czerwone, żółte, niebieskie, zielone, fioletowe...

— Boże, jak cudnie! Czy panu się nie zdaje, że samo słońce w tej chwili gra w zadowolenie! — zawołała, zapominając zupełnie, że pan Pendleton nic jeszcze o tej grze nie wiedział. — Jakbym chciała mieć dużo takich kryształków! Dałabym cioci Polly, pani Snow i... wielu innym osobom... Wszyscy byliby zadowoleni... a ciocia Polly pewnie by się tym razem nie powstrzymała, żeby nie trzasnąć drzwiami z radości! Nieprawdaż?

Pan Pendleton wciąż się śmiał.

— Jednak, Pollyanno — powiedział — wspomnienia, które mam o twej ciotce, zmuszają mnie przypuszczać, że trzeba by było czegoś więcej niż oświetlone słońcem kryształki, żeby zmusić ją do trzaśnięcia drzwiami z radości. Ale o jakiej to grze wspominałaś przed chwilą?

Pollyanna zrobiła zdziwioną minkę, lecz zaraz zawołała:

— Ach, zapomniałam zupełnie, że pan nie zna jeszcze gry w zadowolenie!

— Gry w zadowolenie? Powiedz mi, co to jest.

Wówczas Pollyanna opowiedziała mu wszystko, począwszy od lalki, której oczekiwała i zamiast której nadeszły kule. Opowiadając, nie patrzyła jednak wcale na chorego.

Jej zachwycony wzrok spoczywał cały czas na przecudnych widmach słonecznych wywołanych przez rozwieszone w oknie kryształki.

— Oto wszystko — zakończyła. — A teraz rozumie pan, że miałam słuszność, mówiąc, że w tej chwili nawet samo słońce usiłuje grać w zadowolenie!

Przez chwilę trwało milczenie, następnie dał się słyszeć słaby i wyczerpany głos chorego:

— Może... Lecz ze wszystkich tych kryształków, wytwarzających słoneczne widma, najpiękniejszym i najlepszym jesteś ty, Pollyanno!

— Ależ ze mnie nie promienieją tęczowe blaski, gdy na mnie padnie światło słoneczne! — zaprotestowała żywo dziewczynka, pojmując dosłownie słowa chorego.

— Myślisz, że nie? — zapytał z uśmiechem, a Pollyanna, spojrzawszy teraz na twarz chorego, zobaczyła ze zdziwieniem, że oczy miał pełne łez.

— Na pewno nie, proszę pana — odpowiedziała poważnie, a po chwili dodała smutnie:

— Zdaje mi się, że promienie słońca, gdy padają na mnie, wywołują tylko piegi, nic więcej! Tak przynajmniej mówiła mi ciocia Polly!

Pan Pendleton znów się roześmiał, lecz Pollyannie zdawało się, że w śmiechu tym brzmiało stłumione łkanie.

ROZDZIAŁ XVIII. COŚ ZDUMIEWAJĄCEGO

We wrześniu Pollyanna poszła do szkoły. Egzaminy wykazały, że była dostatecznie przygotowana, aby zająć w szkole miejsce obok swych rówieśniczek.

Do pewnego stopnia szkoła była niespodzianką dla Pollyanny, ale i Pollyanna może jeszcze w większym stopniu była niespodzianką dla szkoły. W końcu jednak dopasowały się wzajemnie i Pollyanna pewnego razu oświadczyła ciotce, że chodzić do szkoły to znaczy — *żyć*, w co przedtem mocno wątpiła.

Aczkolwiek Pollyanna miała teraz znacznie mniej czasu, nie zapominała jednak o starych przyjaciołach. Naturalnie nie mogła poświęcać im tyle czasu, co przedtem, lecz nadal utrzymywała kontakty z nimi. Jednak pan Pendleton był niezadowolony z takiego stanu rzeczy i miał ciągłe pretensje, że Pollyanna go zaniedbuje.

Gdy pewnej soboty odwiedziła go po południu, zagadnął niespodzianie:

— A gdybyś tak, Pollyanno, zamieszkała u mnie? W ostatnich czasach prawie wcale cię nie widuję!

Pollyanna roześmiała się. Pan Pendleton bywał taki dziwny czasami!

— Myślałam, że pan nie lubi ludzi koło siebie — odparła po chwili.

— To było przedtem, nim mnie nie nauczyłaś twej cudownej gry. Teraz jestem zadowolony, gdy się mną opiekują! Cieszy mnie i to, że już za kilka dni wstanę i wtedy zobaczymy, jak mi pójdzie z nimi — rzekł, wskazując na oparte o ścianę kule.

— A jednak pan nie zawsze jest ze wszystkiego zadowolony — zauważyła Pollyanna — pan tylko tak mówi. Zresztą wie pan sam, że jeszcze niezupełnie dobrze umie grać w zadowolenie! Tak, pan to wie dobrze!

Twarz pana Pendletona spochmurniała.

— Właśnie dlatego jesteś mi potrzebna, żebyś mnie nauczyła grać, jak należy. Zechcesz więc zamieszkać u mnie?

— Czy pan to mówi serio?

— Najzupełniej! Jesteś mi potrzebna! A więc zgoda?

— Ależ ja nie mogę! Pan wie przecież, że należę do cioci Polly!

Twarz pana Pendletona przybrała jakiś dziwny wyraz, którego Pollyanna nie mogła zrozumieć. Podniósł głowę.

— Mniej należysz do niej niż do... Może ona pozwoli ci jednak... — nie dokończył rozpoczętego zdania. — Czy zamieszkałabyś u mnie, gdyby się ciotka na to zgodziła?

Pollyanna nie mogła się zdecydować.

— Ciocia Polly była zawsze tak dobra dla mnie — odpowiedziała wreszcie — przyjęła mnie do siebie, kiedy nie miałam nikogo, kto by się mną zajął, prócz pań z dobroczynności, a potem...

Twarz pana Pendletona przybrała znów ten niezrozumiały wyraz, lecz tym razem przerwał jej głosem cichym i smutnym:

— Pollyanno! Przed laty kochałem bardzo pewną osobę. Spodziewałem się, że wprowadzę ją tu, do tego domu; marzyłem o tym, jak szczęśliwi będziemy przez całe życie!...

Pollyanna, pełna sympatii i współczucia, słuchała uważnie.

— Nie sprowadziłem jej jednak — mówił dalej pan Pendleton. — Dlaczego?... To wszystko jedno. Nie stało się zadość mym marzeniom! Od tej chwili dom mój jest dla mnie tylko miejscem, gdzie mogę spędzić noc lub schronić się od deszczu i wiatru, lecz nie jest domem, ogniskiem, w pełnym słowa tego znaczeniu. Żeby stworzyć ognisko domowe, potrzebne są ręka i serce kobiety lub obecność dziecka, Pollyanno! Ja nie mam ani jednego, ani drugiego. A teraz, po tym co ci powiedziałem, czy zgodzisz się zamieszkać u mnie?

Pollyanna ciągle słuchała w skupieniu, ale gdy skończył, twarzyczka jej rozpromieniła się i dziewczynka podskoczyła radośnie.

— Więc pan mówi, że przez cały czas brak panu było serca kobiety?

— Tak, dziecino.

— Ach, jak się cieszę! Jak wszystko dobrze się składa! A więc pan będzie mógł wziąć nas obie! Jak to będzie cudnie!

— Wziąć nas obie? — powtórzył zdumiony pan Pendleton.

Pollyanna zmieszała się nieco.

— Jeżeli ciocia Polly gniewa się wciąż jeszcze na pana, to na pewno przestanie, gdy jej pan powie wszystko to, co mi powiedział przed chwilą. A wtedy zamieszkamy tu obie!

Po tych słowach Pollyanny w oczach pana Pendletona można było odczytać wyraźne przerażenie.

— Ciocia Polly ma tu zamieszkać! — zawołał ze zdumieniem.

Pollyanna szeroko otworzyła oczęta.

— A może by pan chciał przenieść się do niej? Co prawda dom nie jest taki ładny, ale za to...

— Pollyanno, co ty wygadujesz? — przerwał pan Pendleton z wyrzutem w głosie.

— Pytam tylko, gdzie będziemy mieszkały — odpowiedziała zdziwiona dziewczynka — przecież pan powiedział wyraźnie, że przez szereg lat pragnął posiadać rękę i serce cioci Polly, aby stworzyć ognisko domowe i...

Okrzyk przerażenia wydarł się z ust pana Pendletona. Podniósł rękę, zaczął coś mówić, lecz po chwili umilkł, a podniesiona ręka opadła bezwładnie na łóżko.

W tej chwili weszła służąca, meldując przybycie doktora Chiltona.

Gdy Pollyanna podniosła się z krzesła z zamiarem odejścia, pan Pendleton gorączkowo odwrócił się do niej.

— Pollyanno, na Boga, nie mów nikomu, o co cię prosiłem — wyszeptał błagalnie.

Pollyanna z promienną twarzyczką odrzekła:

— Pewnie! Ja się od razu domyśliłam, że pan woli to sam powiedzieć!

Pan Pendleton bezwładnie opadł na poduszki.

— Co się stało? — pytał po chwili doktor Chilton, badając przyśpieszony puls swego pacjenta.

Zagadkowy uśmiech przebiegł po twarzy chorego.

— Zdaje mi się, że przyjąłem za wielką dozę pańskiego lekarstwa — zaśmiał się w odpowiedzi, widząc wzrok doktora goniący za odchodzącą Pollyanną.

ROZDZIAŁ XIX. COŚ JESZCZE BARDZIEJ ZDUMIEWAJĄCEGO

Następnego dnia była niedziela. W ten dzień Pollyanna zwykle rano chodziła do kościoła, a potem do szkoły niedzielnej. Po południu zaś odbywała z Nancy dłuższe spacery. Na dziś był również projektowany ładny spacer w okolice, lecz wracając ze szkoły, Pollyanna niespodziewanie zobaczyła doktora Chiltona, który dopędzał ją w swym powozie.

Gdy ją ujrzał, zatrzymał konie.

— Pozwól, że cię odwiozę do domu — rzekł. — Chciałbym z tobą pomówić. Właśnie szukałem cię — mówił dalej, gdy Pollyanna zajęła miejsce w powozie — ponieważ pan Pendleton polecił mi prosić cię, abyś koniecznie odwiedziła go dziś po południu. Mówił mi, że chodzi o coś bardzo ważnego.

Pollyanna zgodziła się radośnie.

— O, tak, wiem! Przyjdę na pewno!

Doktor spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Tylko nie jestem pewien, czy mam ci pozwolić iść! Zdawało mi się, że wczoraj podziałałaś na chorego bardziej podrażniająco niż uspokajająco, moja panno!

Pollyanna roześmiała się.

— Ach, to nie moja wina, a raczej nie tyle moja, ile cioci Polly!

— Jak to cioci Polly? — zawołał zdziwiony doktor.

— A tak... I wie pan, to takie ciekawe... Zresztą opowiem panu. Co prawda pan Pendleton prosił, abym nie opowiadała o tym, ale pewnie nie rozgniewa się, jeśli się pan o tym dowie. Przecież szło raczej o to, aby jej tego nie mówić.

— Komu: jej?

— No, cioci Polly! Pan Pendleton woli pewnie sam z nią pomówić, zamiast tego, żebym ja to zrobiła! Gdy się ludzie kochają, zawsze są tacy! — dodała z wielką powagą.

— Gdy się ludzie kochają?

W tejże chwili koń szarpnął powozem tak, jakby ręka trzymająca lejce doznała nagłego wstrząśnienia.

— A tak — mówiła Pollyanna — z początku nic o tym nie wiedziałam, dopóki Nancy mi nie opowiedziała, że ciocia Polly miała narzeczonego i że przed wielu laty zerwała z nim. Wprawdzie Nancy nie wiedziała z początku, kto to był, lecz teraz doszłyśmy wspólnie, że to pan Pendleton! Czy pan o tym nie wiedział?

Na te słowa doktor wypuścił lejce, a ręka jego bezwładnie opadła na kolana.

— Ach, nie, nie wiedziałem — odparł.

— I, wie pan, to wyszło tak nadzwyczajnie — śpieszyła dokończyć Pollyanna, ponieważ już się zbliżali do willi panny Harrington. — Pan Pendleton prosił, abym u niego zamieszkała, ale naturalnie nie chciałam opuścić cioci Polly, która przecież była tak dobra dla mnie! Wtedy zaczął mi mówić o tym, że pragnął posiadać rękę i serce kobiety, i zdawało mi się, że i teraz wciąż o tym myśli! Byłam uszczęśliwiona! Bo przecież jeśli się pogodzi z ciocią, to obie zamieszkamy u niego albo on u nas. Naturalnie ciocia Polly jeszcze o niczym nie wie, bośmy jeszcze niezupełnie wszystko przygotowali. Przypuszczam, że dlatego właśnie pan Pendleton chce mnie widzieć dziś po południu.

Doktor wyprostował się. Zagadkowy uśmiech błąkał się po jego twarzy.

— O, bardzo dobrze rozumiem, czemu pan Pendleton pragnie cię widzieć — powiedział, zatrzymując powóz przed bramą.

— A oto i ciocia w oknie — zawołała Pollyanna, lecz zaraz potem dodała:

— Ach nie, nie ma jej! A zdawało mi się, że ją widziałam.

— Nie, teraz już jej nie ma — odpowiedział doktor Chilton, lecz już się nie uśmiechnął.

*

Pan Pendleton oczekiwał Pollyannę bardzo podekscytowany.

— Pollyanno — powiedział, gdy tylko weszła — przez całą noc starałem się rozwiązać zagadkę, jaką mi zadałaś, mówiąc o chęci posiadania przeze mnie ręki i serca twej cioci Polly. Co chciałaś przez to powiedzieć?

— No to, że pan był narzeczonym cioci Polly! — odparła spokojnie Pollyanna.

— Ja? Narzeczonym cioci Polly?

Zdziwienie, jakie brzmiało w głosie pana Pendletona, wywołało jeszcze większe w oczach Pollyanny.

— Ależ, proszę pana, Nancy mi to wyraźnie powiedziała!

Wówczas pan Pendleton wybuchnął śmiechem.

— Naprawdę? A więc muszę ci powiedzieć, że Nancy bardzo się omyliła — rzekł, gdy się nieco uspokoił i przestał śmiać.

— Jak to, więc pan nie był narzeczonym cioci?

Głos Pollyanny zdradzał rozpaczliwe po prostu rozczarowanie.

— Nigdy.

— A więc to nie było tak, jak w powieści?

Pan Pendleton nic nie odpowiedział: smutnym, zadumanym wzrokiem patrzył przez okno.

— Boże, jaka szkoda! A wszystko szło przecież tak dobrze — mówiła prawie ze łzami w oczach Pollyanna — tak chciałam zamieszkać tu... z ciocią Polly.

— A teraz już nie chcesz? — zapytał pan Pendleton, nie odwracając głowy.

— Pewnie, że nie! Należę przecież do cioci Polly!

Pan Pendleton odwrócił się nagle do niej.

— Przedtem, zanim należałaś do niej, Pollyanno, należałaś do twojej matki. I właśnie jej rękę i serce pragnąłem posiadać.

— Mojej matki?

— Tak. Wprawdzie nie miałem zamiaru ci o tym mówić, ale może będzie lepiej, gdy będziesz to wiedziała!

Twarz pana Pendletona pobladła, mówił z wysiłkiem. Pollyanna patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

— Kochałem twoją matkę, lecz ona mnie nie kochała i po pewnym czasie odjechała z twoim ojcem.

Wtedy dopiero uprzytomniłem sobie, jak bardzo ją kochałem. Świat stał się dla mnie bezbarwny, smutny, pusty... Ale co tam!... Podczas długich lat, które nastąpiły potem, zrobiłem się starcem, dziwacznym, ponurym, nieprzyjemnym, chociaż nie jestem jeszcze stary, Pollyanno.

Potem, pewnego dnia jak to widmo słoneczne, które tak lubisz, ty weszłaś w moje życie i zabarwiłaś je, dzięki swej szczerej wesołości, purpurą i złotem! Gdy po pewnym czasie dowiedziałem się, kim jesteś, myślałem, że już nie będę mógł cię widywać. Nie chciałem, żebyś mi przypominała twoją matkę! Lecz wiesz dobrze, co się stało. Muszę cię widywać i chciałbym mieć cię zawsze przy sobie! Pollyanno, zechciej więc zamieszkać u mnie!

— Ależ, panie Pendleton, ja... jest przecież ciocia Polly!

Dziewczynka miała oczęta pełne łez.

— Pomyśl trochę o mnie. Czy myślisz, że mogę być z czegokolwiek zadowolony bez ciebie? Wszak wiesz, Pollyanno, że dopiero począwszy od chwili, gdy cię poznałem, jestem zadowolony z życia! A gdybyś została moją małą córeczką, byłbym zadowolony ze wszystkiego i postarałbym się zrobić cię szczęśliwą. Czyniłbym zadość każdej twej chęci! Cały mój majątek, do ostatniego grosza, użyłbym na to, aby cię uszczęśliwić!

Pollyanna była jednak jakby urażona ostatnimi słowami.

— Czy pan myśli, że pozwoliłabym panu wydawać na mnie pieniądze, które pan oszczędzał dla biednych pogan?

Pan Pendleton zarumienił się. Chciał coś powiedzieć, lecz Pollyanna nie dała mu przyjść do słowa.

— Poza tym człowiek tak bogaty, jak pan, nie powinien mnie wcale potrzebować do szczęścia. Pan przecież uszczęśliwia innych i przez to powinien pan być sam szczęśliwy! Dał pan mnie i pani Snow widma słoneczne, Nancy złotą monetę...

— Ach, nie mówmy o tym — przerwał pan Pendleton.

Rumieniec na jego twarzy wzmógł się jeszcze bardziej. I nic dziwnego: pan Pendleton nigdy nie był człowiekiem zbyt hojnym i dobroczynnym.

— To wszystko drobnostki — mówił dalej — a i to stało się przez ciebie! Owszem, tak jest — dodał, widząc przeczący ruch Pollyanny — i wszystko to świadczy właśnie o tym, jak bardzo jesteś mi potrzebna. Jeśli chcesz, Pollyanno, abym nadal grał w zadowolenie, powinnaś na stałe do mnie przyjść, aby grać ze mną razem — mówił głosem coraz to cichszym i bardziej błagalnym.

Pollyanna zamyśliła się.

— Ciocia Polly jest tak dobra dla mnie — zaczęła, lecz pan Pendleton przerwał natychmiast. Twarz jego znów przybrała dawny wyraz podrażnienia. Niecierpliwość nieznosząca sprzeciwu za długo trzymała go w swych więzach, aby mógł od razu się jej wyzbyć.

— Pewnie, że jest dobra dla ciebie, ale ani w połowie nie potrzebuje cię tak, jak ja!

— Ależ, proszę pana, ja wiem, że ona jest zadowolona, że ma...

— Zadowolona? — przerwał znów pan Pendleton, tracąc ostatecznie cierpliwość. — Mogę się założyć, że panna Polly nie wie nawet, co znaczy być zadowoloną! Ona tylko spełnia swój obowiązek! O, tak! Jest to osoba nadzwyczaj obowiązkowa. Doświadczyłem tego sam w swoim czasie! Przez te ostatnie piętnaście czy dwadzieścia lat nie byliśmy wielkimi przyjaciółmi! Znam ją dobrze i wszyscy ją znają! Nie należy ona do rodzaju ludzi „zadowolonych", Pollyanno! Niezdolna jest do tego... Zresztą zapytaj, czy się zgodzi oddać cię. Bo ty, moja maleńka, jesteś mi bardzo, bardzo potrzebna!

Pollyanna westchnęła głęboko i wstała.

— Dobrze, zapytam — powiedziała. — Oczywiście nie znaczy to, żebym nie chciała u pana zamieszkać, lecz...

Ale nie dokończyła zdania i na chwilę cisza zapanowała w pokoju.

— W każdym bądź razie — dodała po chwili — cieszę się bardzo, że nie powiedziałam jej tego wczoraj, gdyż przypuszczałam, że pan jej również potrzebuje.

Pan Pendleton uśmiechnął się.

— O tak, Pollyanno, to lepiej, żeś z ciocią wczoraj o tym nie mówiła.

— Właśnie — powiedziała wesoło Pollyanna — mówiłam tylko z doktorem, ale to się nie liczy!

— Z doktorem? — zawołał nagle pan Pendleton, widocznie zaniepokojony. — Mam nadzieję, że nie z doktorem Chiltonem?

— Właśnie z nim, kiedy odszukał mnie i powiedział, że pan tak pragnie mnie widzieć!

— Ależ, dziecko...

I pan Pendleton znów osłabł z przerażenia. Po chwili przemógł się i zapytał:

— A cóż doktor powiedział na to?

— Nie przypominam sobie dokładnie — odpowiedziała po namyśle Pollyanna — w każdym razie nic nadzwyczajnego. Ach tak, powiedział, że rozumie, dlaczego pan pragnie mnie widzieć!

— Naprawdę? — zawołał pan Pendleton, a Pollyannie zdawało się, że zobaczyła łzy w jego oczach.

ROZDZIAŁ XX. ROZSTRZYGNIĘTA KWESTIA

Wychodząc od pana Pendletona, Pollyanna zauważyła, że niebo ściemniło się, jakby przed nadejściem burzy. Przyśpieszyła więc kroku, lecz w połowie drogi zobaczyła Nancy, która szła naprzeciw niej z parasolem.

Właśnie w tej chwili chmury zaczęły się nieco rozpraszać.

— Byłam pewna, że burzy nie będzie — rzekła Nancy, witając się z dziewczynką — ale panna Polly kazała koniecznie wyjść ci naprzeciw z parasolem. Bardzo się niepokoiła!

— Naprawdę? — machinalnie zapytała Pollyanna, przyglądając się chmurom.

— Ale ty, zdaje mi się, myślisz o czymś innym — zauważyła Nancy, nieco zgorszona. — Mówię ci jeszcze raz, że panna Polly niepokoiła się o ciebie bardzo!

— Ach tak! — odparła Pollyanna, przypominając sobie pytanie, jakie miała zadać ciotce po powrocie. — Bardzo mi przykro, że się niepokoiła z mojego powodu.

— A ja się z tego bardzo cieszę — odparła Nancy.

Pollyanna spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Cieszysz się, że ciocia niepokoiła się o mnie? Ależ, Nancy, wcale nie tak się gra w zadowolenie! Tu się nie ma z czego cieszyć.

— Ach, wcale nie zamierzałam grać w zadowolenie! Ty nawet nie domyślasz się, co to znaczy, że panna Polly niepokoiła się o ciebie, dziecinko!

— To znaczy, że się męczy, a to jest bardzo przykre uczucie. Cóż to może znaczyć więcej?

— A więc ci powiem: to znaczy, że panna Polly tym razem zrobiła to nie z obowiązku!

— Jak to, Nancy? — zawołała Pollyanna zgorszona. — Ciocia Polly zawsze przecież spełnia swe obowiązki. Jest to osoba bardzo obowiązkowa — mówiła, bezwiednie powtarzając słowa pana Pendletona.

Nancy roześmiała się.

— Owszem, jest taka i taka zawsze była, ale odkąd jesteś u nas, zaszła w niej pewna zmiana.

Pollyanna zamyśliła się.

— Wiesz, Nancy, chciałam cię o coś zapytać. Jak ci się zdaje, czy ciocia Polly chętnie trzyma mnie u siebie? Czy odczułaby moją nieobecność?

Nancy zastanawiała się nad tą sprawą dość często i gdyby pytanie to było zadane dawniej, czuła, że trudno by jej było odpowiedzieć szczerze, nie raniąc serduszka dziewczynki. Lecz dziś niepokój panny Polly i wysłanie parasola zmieniły jej przekonanie o stosunku panny Polly do siostrzenicy. Mogła więc na to pytanie odpowiedzieć inaczej.

— Czy chętnie cię trzyma? — zawołała. — Czy odczułaby twą nieobecność? A czyż nie o tym właśnie mówiłam ci przed chwilą? Czy nie posłała mnie w pośpiechu z parasolem, zauważywszy na niebie chmury? Czy nie kazała przenieść cię o piętro niżej, żebyś miała ładniejszy pokoik? A tyle innych drobnych dowodów czyż nie świadczy o tym, żeś złagodziła jej charakter? A piesek? A kotek? A chociażby jej sposób mówienia do mnie i wiele, wiele innych rzeczy? Nie wyobrażasz sobie nawet, do jakiego stopnia brakłoby jej ciebie, gdybyś stąd odeszła.

Twarzyczka Pollyanny zajaśniała po tych słowach radością.

— Ach, Nancy, jak to dobrze! Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że jestem cioci Polly potrzebna!

„Teraz naprawdę nie mogłabym jej opuścić — myślała Pollyanna, idąc do swego pokoju. — Wiedziałam, że mi jest dobrze z ciocią, ale nie przypuszczałam nigdy, aby jej było dobrze ze mną!"

Pozostawało więc zawiadomić o tym postanowieniu pana Pendletona, co było zadaniem niełatwym i Pollyanna trochę się tego bała.

Lubiła bardzo pana Pendletona i szczerze mu współczuła, gdy go widziała smutnym lub gdy jej opowiadał o swym samotnym, nieszczęśliwym życiu. Wyobrażała sobie po wyzdrowieniu pana Pendletona ten duży dom o ponurych, milczących pokojach, zakurzonych stołach, porozkładanych w nieporządku książkach i serduszko jej ścisnęło się mocno. Pragnęła znaleźć kogoś, kto by...

I nagle podskoczyła, wydając okrzyk radości na myśl, która się urodziła w jej małej główce.

Udała się, jak mogła najprędzej, do pana Pendletona. Zastała go w bibliotece, już siedzącego na fotelu, ze swym wiernym psem u nóg.

— A więc, Pollyanno, czy będę mógł podczas resztek moich dni spokojnie grać w zadowolenie? — zapytał chory niecierpliwym tonem, zaledwie przestąpiła próg pokoju.

— Owszem — odpowiedziała Pollyanna — znalazłam najlepszy sposób, ażeby panu...

— Ale z tobą? — przerwał pan Pendleton.

— N... nie, ale...

— Pollyanno! Wszak nie powiesz mi „nie" — powiedział głosem wzruszonym.

— Muszę, proszę pana! Naprawdę muszę! Ciocia Polly...

— Odmówiła ci? — przerwał znów chory.

— Nie pytałam jej — z trudem wyjąkała dziewczynka.

— Pollyanno!

Odwróciła oczy. Nie mogła znieść rozżalonego wzroku swego przyjaciela.

— Więc nawet jej nie pytałaś? — zapytał po chwili milczenia pan Pendleton.

— Naprawdę nie mogłam — wyszeptała Pollyanna. — Zanim ją o to zapytałam, dowiedziałam się, że moja obecność jest jej potrzebna. A i ja też nie chciałabym jej opuszczać. Pan nie wie nawet, jaka dobra była zawsze dla mnie! I zdaje mi się czasami, że ona zaczyna

się z wielu rzeczy cieszyć, a pan wie, że przedtem tak nie było. Zresztą pan sam mi to powiedział. Ach, proszę pana, ja nie mogę opuścić cioci Polly!

Nastąpiła długa chwila milczenia, przerywana tylko od czasu do czasu szumem drzew za oknami.

— Tak, Pollyanno, nie możesz jej teraz opuścić — powiedział wreszcie pan Pendleton. — I więcej już cię o to nie poproszę.

Ostatnie słowa wymówił prawie szeptem, lecz pomimo to Pollyanna usłyszała je.

— Ale jeszcze nie powiedziałam panu wszystkiego i to tego, co jest właśnie najlepsze ze wszystkiego, co by pan mógł zrobić!

— Nie dla mnie, Pollyanno!

— Owszem! Mówił pan, że dla stworzenia ogniska domowego potrzebne jest serce i ręka kobiety lub też obecność dziecka. Otóż to drugie znalazłam. Oczywiście, nie będę to ja, lecz ktoś inny!

— Ależ ja nie chcę nikogo oprócz ciebie! — zawołał z oburzeniem pan Pendleton.

— Zechce pan, gdy się wszystkiego dowie. Pan jest taki dobry i życzliwy! Niech pan tylko pomyśli o widmach słonecznych, o złotej monecie, o swoich oszczędnościach dla pogan, o...

— Pollyanno — przerwał podrażniony pan Pendleton — raz na zawsze skończ te brednie! Już dziesięć razy mówiłem ci, że nie mam żadnych pieniędzy dla pogan. Przez całe moje życie nic im nie dałem.

Spodziewał się zobaczyć po tych słowach wyraz rozczarowania w oczach Pollyanny, lecz zawiódł się zupełnie, gdyż ku wielkiemu swemu zdumieniu ujrzał twarzyczkę dziewczynki promieniejącą z radości.

— Ach, jak się cieszę — zawołała, klaszcząc w dłonie — to znaczy — poprawiła się, rumieniąc — nie z tego, że pan nie zbiera pieniędzy dla pogan, bo o nich i tak troszczy się wiele innych osób, ale dlatego, że pan na pewno zajmie się Jimmym Beanem. O, teraz jestem pewna, że go pan weźmie do siebie!

— Kogo?

— Jimmy'ego Beana! On da panu „obecność dziecka", która przyczyni się do stworzenia ogniska domowego, a i on też będzie bardzo zadowolony. Przed tygodniem zmuszona byłam powiedzieć mu, że panie z dobroczynności, do których pisałam, odmówiły zajęcia się nim i był tym bardzo zmartwiony. A teraz, gdy się dowie, będzie uszczęśliwiony!

— On tak, ale nie ja! — powiedział stanowczo pan Pendleton. — Zresztą, Pollyanno, to, co mówisz, jest niedorzecznością.

— Ale pan nie chce przez to powiedzieć, że go do siebie nie weźmie?

— Właśnie to chcę powiedzieć.

— Przecież gdy on tu będzie — mówiła prawie ze łzami w oczach Pollyanna — nie będzie pan się czuł tak samotnie!

— Nie wątpię o tym — odparł pan Pendleton — ale w tym wypadku wolę moją samotność.

Wtedy Pollyanna postanowiła użyć ostatniego oręża. Kiedyś Nancy, opowiadając Pollyannie o panu Pendletonie i chcąc powiedzieć, że jest taki ponury dlatego, że prawdopodobnie ma jakieś kłopoty i zmartwienia, które go gnębią, użyła pewnego alegorycznego określenia, a mianowicie — że „trzyma kościotrupa w szafie"[19]. Pollyanna zrozumiała to dosłownie i od tej chwili, aczkolwiek nigdy o tym nie mówiła, zawsze ciekawa była zobaczyć tę szafę z kościotrupem.

— O tak — powiedziała więc teraz — chyba pan uważa, że mały, żywy chłopiec mniej jest wart niż kościotrup, którego pan gdzieś przechowuje! Ja jestem innego zdania!

— Kościotrup?

— Tak. Mówiła mi Nancy, że pan ma kościotrupa w szafie.

— No tak, ale...

I nie dokończywszy zdania, pan Pendleton roześmiał się serdecznie. Napięte nerwy Pollyanny nie wytrzymały jednak dłużej i dziewczynka rozpłakała się na dobre.

---

[19] *trzymać kościotrupa w szafie* (ang. *skeleton in the closet* a. *skeleton in the cupboard*) — Przenośnia używana w języku angielskim na określenie tajemnicy ukrywanej przez kogoś. [przypis edytorski]

Zobaczywszy rzęsiste łzy małej przyjaciółki, pan Pendleton natychmiast przestał się śmiać i zamyślił się na chwilę.

— Pollyanno — rzekł następnie — masz rację! Może bardziej, niż sądzisz! Wiem, że „mały, żywy chłopiec" jest więcej wart niż mój kościotrup w szafie. Jednak nie zawsze chętnie robimy zamiany. Czasem „kościotrupy w szafie" są nam bardzo drogie, Pollyanno! Ale opowiedz mi cośkolwiek o tym chłopcu!

I Pollyanna opowiedziała mu wszystko, co wiedziała o Jimmym.

Wybuch śmiechu pana Pendletona nieco złagodził ciężki nastrój, a szczere opowiadanie o Jimmym poruszyło rozczulone już serce, tak że Pollyanna, wychodząc od pana Pendletona, dostała polecenie, aby w najbliższą sobotę po południu przyprowadzić do dużego domu Jimmy'ego.

— Ach, jak się cieszę — mówiła, żegnając się z panem Pendletonem — i jestem pewna, że pan go pokocha. Tak bym chciała, żeby Jimmy znalazł wreszcie przytułek i kogoś, kto by go szczerze kochał!

ROZDZIAŁ XXI. KATASTROFA

Pewnego razu Pollyanna na prośbę pani Snow udała się do mieszkania doktora Chiltona, aby go zapytać o lekarstwo, na które receptę zgubiła.

Pollyanna nigdy przedtem nie była w gabinecie doktorskim.

— Nigdy jeszcze u pana nie byłam! Czy to pańskie mieszkanie? — zapytała, rozglądając się z ciekawością dokoła.

Doktor uśmiechnął się smutnie.

— Owszem — odpowiedział, pisząc receptę — ale nie dom: to są tylko pokoje, w których mieszkam.

Pollyanna kiwnęła potakująco główką.

— Wiem, proszę pana. Aby stworzyć ognisko domowe, potrzebna jest ręka i serce kobiety albo obecność dziecka — powiedziała poważnie.

— Co takiego? — zapytał doktor, odwracając się do niej.

— Pan Pendleton mi to powiedział! Dlaczego pan nie poszuka ręki i serca kobiety? A może by pan przyjął do siebie Jimmy'ego Beana, gdyby Pendleton tego nie zrobił?

Doktor uśmiechnął się.

— A więc to pan Pendleton powiedział ci, że dla stworzenia ogniska domowego potrzebna jest kobieta lub dziecko? — zapytał.

— Owszem! Dlaczego pan tego nie stworzy?

— Czego?

— No, ogniska domowego! Ach, zapomniałam — dodała, rumieniąc się. — Wie pan, że ta osoba, którą pan Pendleton kochał przez tyle lat, to nie ciocia Polly, a więc nie zamieszkamy u niego. Omyliłam się wtedy, mówiąc o tym panu, ale spodziewam się, że pan tego nikomu nie powtórzył — powiedziała z obawą w głosie.

— Nie, dziecino, nie powtórzyłem nikomu.

— To dobrze — odetchnęła z ulgą — pan był jedyną osobą, której to powiedziałam, a pan Pendleton nie chciał, aby ktokolwiek o tym wiedział, tym bardziej, że to nie była prawda! A więc czemu pan nie poszuka ręki i serca kobiety? — dopytywała natarczywie Pollyanna.

— Bo to nie tak łatwo, jak się zdaje!

Pollyanna zmarszczyła czoło.

— Czy pan chce powiedzieć, że pan już się o to starał i że odmówiono panu, tak jak to było z panem Pendletonem? — zapytała.

Doktor podniósł się z krzesła.

— No, no, Pollyanno, nie myśl więcej o tym i nie zaprzątaj swej małej główki cudzymi kłopotami. Udasz się teraz do pani Snow. Tu napisałem receptę i sposób używania lekarstwa. Czy masz jeszcze coś do mnie?

Pollyanna potrząsnęła przecząco główką.

— Nie, proszę pana, więcej nic, dziękuję.

I skierowała się do drzwi.

*

Było to w ostatnich dniach października. Pollyanna, po wyjściu ze szkoły, przechodziła przez ulicę w odległości na pozór dostatecznej od przejeżdżającego szybko samochodu. W jaki sposób zderzenie miało miejsce i kto był winien — tego nikt nie mógł powiedzieć, dość, że koło godziny piątej po południu wniesiono Pollyannę nieprzytomną do jej małego, kochanego pokoiku.

Panna Polly, blada jak papier, i zalana łzami Nancy rozebrały ją delikatnie i położyły do łóżka, podczas gdy zawezwany telefonicznie domowy lekarz panny Polly, doktor Warren, pędził z szybkością, na jaką tylko mógł się zdobyć jego samochód.

— Nie trzeba było nawet patrzeć na twarz jej ciotki — opowiadała w ogrodzie staremu Tomaszowi ze łzami w oczach Nancy — żeby widzieć, że w tej chwili nie było to z jej strony tylko spełnianiem obowiązku! Gdy się spełnia swój obowiązek, ręce nie drżą, a oczy nie patrzą tak, jakby błagały anioła stróża o pomoc i opiekę.

— Czy bardzo ciężko ranna? — pytał Tomasz.

— Nie wiadomo. Gdy położono ją na łóżko, wyglądała tak, jak gdyby już nie żyła, ale panna Polly powiedziała, że żyje, bo czuła słaby oddech i bicie serca.

— A jakże to się stało? Kto... kto?...

I stary ogrodnik zacisnął pięści, a twarz jego przybrała zły wyraz.

— Ach, ja bym sama chciała to wiedzieć! I pomyśleć tylko, że omal nie zmiażdżono zupełnie naszego aniołka! Zawsze nienawidziłam tych ryczących maszyn!

— Czy ma jakieś rany? — rozpytywał wciąż stary Tomasz.

— Owszem, ma małą rankę na głowie, ale panna Polly powiedziała, że to nic, tylko że musiało być jakieś wstrząśnienie wewnętrzne. Nie mogę się doczekać, aż doktor wyjdzie. Tak strasznie się niepokoję! Wolałabym zamiast tego najgorsze pranie! — dodała, odchodząc.

Ale i po wyjściu doktora Nancy nie mogła powiedzieć Tomaszowi nic nowego. Wewnątrz nie było nic złamanego, a mała rana na głowie była bez znaczenia. Jednakże doktor, wychodząc od chorej, miał wyraz twarzy bardzo poważny i powiedział, że dopiero czas pokaże, co to jest.

Po jego odjeździe panna Polly, zdawało się, była jeszcze bardziej blada i bardziej niż przedtem zaniepokojona. Chora nie odzyskała jeszcze przytomności, ale wyglądała tak, jakby spała. Na noc miała przyjść pielęgniarka. To było wszystko, czego się dowiedziała Nancy.

Dopiero na drugi dzień po południu Pollyanna otworzyła oczy i z pełną świadomością obejrzała się dokoła.

— Ach, ciociu Polly — zawołała — co to? Już tak późno? Dlaczego jeszcze jestem w łóżku? Co to jest, ciociu? Nie mogę wstać? — dodała, opadając na poduszki po zrobieniu wysiłku, aby się podnieść.

— Nic, nic, jeszcze teraz nie próbuj, kochanie — mówiła, prawie płacząc, panna Polly.

— Ale co się stało? Dlaczego nie mogę się podnieść?

Panna Polly skierowała pytający wzrok na pielęgniarkę, która stała przy oknie, niewidzialna dla Pollyanny. Ta kiwnęła twierdząco głową, a wtedy panna Polly odpowiedziała:

— Wczoraj wieczorem zranił cię samochód. Ale nie myśl o tym, dziecinko. Trzeba, żebyś dobrze wypoczęła!

— Zranił mnie? A tak, biegłam wtedy...

Oczy Pollyanny wyrażały zaniepokojenie; podniosła rękę do głowy.

— Jest zabandażowana i boli mnie trochę!

— To nic, kochanie, trzeba być spokojną i tylko dobrze wypocząć!

— Ale, ciociu, ja się tak jakoś dziwnie czuję i tak niedobrze — mówiła znów Pollyanna. — Nogi mam jakieś dziwne, jakby nie należały do mnie!

Panna Polly nic nie odpowiedziała, lecz rzuciwszy zrozpaczony wzrok w stronę pielęgniarki, odeszła do okna.

— Pozwól, że teraz ja ci coś powiem — zaczęła pielęgniarka wesołym głosem. — Najwyższy czas, żebyśmy się poznały. Więc ci się przedstawię: nazywam się Hunt i jestem tu, by pomagać twej cioci pielęgnować cię. A pierwsza rzecz, jaką powinnaś zrobić, aby mi sprawić przyjemność, to przełknąć te małe, białe pigułki.

Pollyanna spojrzała na nią z niepokojem.

— Ależ, proszę pani, ja nie potrzebuję, aby mnie pielęgnowano! Ja chcę wstać! Pani wie przecież, że chodzę do szkoły! Czy jutro jeszcze nie będę mogła pójść?

Z ust panny Polly, która stała przy oknie i słuchała tej rozmowy, wydarł się cichy jęk.

— Jutro? — odpowiedziała, uśmiechając się, pielęgniarka. — No, tak prędko pewnie, że ci nie pozwolę wychodzić, Pollyanno. Ale przełknij te pigułki, a wtedy poznamy ich działanie.

— Dobrze — zgodziła się Pollyanna. — Ale pojutrze będę musiała koniecznie pójść do szkoły, bo mam egzaminy, których nie mogę opuścić!

Potem mówiła jeszcze trochę o szkole, o samochodzie, o główce, która ją jednak bolała, lecz powoli głos jej zaczął słabnąć. W końcu pigułki nasenne zrobiły swoje i chora zasnęła.

ROZDZIAŁ XXII. PAN JOHN PENDLETON

Ani na drugi dzień, ani przez kilka następnych Pollyanna nie poszła do szkoły. Nie zauważyła tego jednak, gdyż z powodu gorączki, która nie ustępowała, nie zdawała sobie dokładnie sprawy z tego, co się działo wokoło. Dopiero po tygodniu gorączka spadła, ból ustąpił i wtedy Pollyannie trzeba było opowiedzieć na nowo wszystko, co się z nią stało.

— Więc jestem tylko zraniona, a nie chora — powiedziała, wysłuchawszy opowiadania. — To bardzo dobrze!

— Dlaczego dobrze, Pollyanno? — zapytała ze zdziwieniem ciotka.

— No pewnie, ciociu — odparła Pollyanna — że lepiej mieć złamaną nogę, jak pan Pendleton, niż być chorą przez całe życie, tak jak pani Snow! Złamana noga zrośnie się, a kaleka pozostanie zawsze kaleką.

Panna Polly gwałtownie wstała, gdyż nie mogła znieść wzroku siostrzenicy, i podszedłszy do biurka, zaczęła odruchowo przerzucać książki i bezcelowo przestawiać z miejsca na miejsce różne przedmioty. Nie wyobrażała sobie, czy kiedykolwiek będzie miała odwagę powiedzieć dziewczynce, że to nie było złamanie, lecz zupełnie co innego.

Pollyanna tymczasem przypatrywała się ruchomym promieniom tęczowym, których pełno było w pokoju z powodu porozwieszanych na oknie szkiełek.

— Cieszę się także — mówiła w dalszym ciągu — że nie jest to żadna zakaźna choroba, ponieważ ciocia nie mogłaby wtedy być przy mnie!

— Widzę, kochanie, jesteś z wielu rzeczy zadowolona — powiedziała panna Polly.

— A tak, ciociu! I to zawsze wtedy, gdy patrzę na te widma słoneczne. Tak bardzo je lubię i tak bardzo wdzięczna jestem za nie panu Pendletonowi. Nie wiem dlaczego, ale zdaje mi się, że się cieszę nawet z tego wypadku samochodowego.

— Pollyanno!

Pollyanna z łagodnym uśmiechem spojrzała na pannę Polly.

— Bo od chwili, gdy jestem chora, ciocia, mówiąc do mnie, powiedziała kilka razy „kochanie", co się dawniej nigdy nie zdarzało. A to takie przyjemne! Przedtem kilka pań z dobroczynności nazywało mnie tak. Było to bardzo uprzejmie z ich strony, ale nie robiło takiej przyjemności, jak teraz, gdy wyraz ten słyszę z ust cioci, która jest moją, moją!

Panna Polly dotknęła ręką szyi, jakby chcąc odepchnąć coś, co ją dusiło, a nie mogąc powstrzymać łez, pośpiesznie opuściła pokój, korzystając z tego, że w tej chwili właśnie weszła pielęgniarka.

*

Tego samego dnia po południu Nancy, zobaczywszy w ogrodzie starego Tomasza, co tchu pobiegła do niego, wołając:

— Tomaszu! Tomaszu! Zgadnijcie, co się stało! Chociażbyście sto lat zgadywali, nie zgadniecie!

— A więc nie warto nawet, żebym próbował — odparł flegmatycznie ogrodnik — tym bardziej, że mocno wątpię, żebym żył jeszcze sto lat! Lepiej będzie, jeśli po prostu powiesz mi, o co chodzi.

— A więc dobrze. Czy wiecie, kto jest w tej chwili w salonie u panny Polly?

Stary Tomasz poruszył przecząco głową.

— Nie wiem.

— Jest... pan Pendleton!

— Żartujesz, Nancy!

— Ależ nie, sama go wprowadziłam! Przyszedł o kulach, a powóz jego czeka na ulicy. I pomyśleć tylko: on u niej!

— A dlaczego nie? — zapytał stary ogrodnik.

— Jak to? Wiecie przecież, że pan Pendleton nie przychodził tu od wielu lat.

— A cóż panna Polly na tę wizytę powiedziała?

— Nic! Była tak spokojna, iż zdawało mi się, że mnie nie słyszała. Powtórzyłam więc jeszcze raz, a wtedy najspokojniej odpowiedziała: „proszę powiedzieć panu Pendletonowi, że zaraz przyjdę". Powiedziałam mu to i natychmiast przybiegłam do was!

— No, no — zamruczał stary Tomasz, zabierając się do pracy.

*

Pan Pendleton czekał niedługo, gdyż wkrótce szybkie kroki upewniły go o zbliżaniu się panny Polly Harrington. Usiłował wstać, lecz powstrzymała go ruchem ręki, której mu jednak nie podała, a twarz jej zachowała wyraz sztywny i zimny.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Przyszedłem dowiedzieć się o zdrowie Pollyanny — przemówił wreszcie pan Pendleton.

— Dziękuję, jest bez zmiany — odpowiedziała panna Polly.

— To znaczy, że... Czy nie mogłaby mnie pani objaśnić dokładniej, co to jest właściwie?

Twarz panny Polly przybrała wyraz rozpaczy.

— Chciałabym, ale nie mogę!

— Czy pani chce przez to powiedzieć, że nie wie sama, co jej jest?

— Tak.

— A cóż lekarz?

— Doktor Warren, zdaje mi się, też nie może tego określić. Skomunikował się ze specjalistą z Nowego Jorku, który ma przyjechać na konsylium[20].

— Ale czy ma jakieś rany?

— Miała lekką ranę na głowie, poza tym kilka sińców, ale co najważniejsze, to jest coś w kręgosłupie, co spowodowało paraliż obu nóg.

Pan Pendleton westchnął głęboko, chwilę milczał, potem zapytał:

— Jakże ona to przyjęła?

— Nie zdaje sobie sprawy z tego, co w rzeczywistości się stało, a ja nie czuję się na siłach powiedzieć jej tego.

— Czyż nie czuje, że nie może poruszać nogami?

— Czuje, naturalnie! Ale myśli, że jest to złamanie i cieszy się z tego, mówiąc, że woli mieć złamane nogi, tak jak pan, niż być stale chora, jak pani Snow. Cały czas mówi o tym! Boże, jakie to straszne!

Pan Pendleton widział znękaną pannę Polly oraz oczy jej pełne łez i bezwiednie myśli jego wróciły do tego dnia, kiedy Pollyanna, opierając się namowie, aby zamieszkać u niego, powiedziała mu, że nie mogłaby opuścić swej ciotki. Wspomnienia te spowodowały, że zwrócił się do panny Polly i cichym, stłumionym głosem odezwał się:

— Czy pani wie, panno Harrington, że ja usiłowałem namówić Pollyannę, aby zamieszkała u mnie?

— U pana?

Pan Pendleton zadrżał na dźwięk głosu, jakim te słowa zostały wypowiedziane, lecz mówił dalej:

— Tak! Domyśla się pani zapewne, że chciałem ją adoptować i, naturalnie, uczynić moją spadkobierczynią.

---

[20]*konsylium* — narada lekarzy, mająca na celu ustalenie, co dolega pacjentowi (tj. diagnozy choroby) oraz sposobu leczenia. [przypis edytorski]

Panna Polly zmiękła. Zrozumiała nagle, jaka świetna przyszłość otwierałaby się przed Pollyanną dzięki takiej adopcji i zapytała siebie w duchu, czy Pollyanna ze względu na swój wiek mogłaby być na tyle interesowna[21], aby ją nęcił majątek pana Pendletona.

— Kocham bardzo Pollyannę — mówił w dalszym ciągu pan Pendleton — kocham ją dla niej samej i dla jej matki i na nią chciałem przenieść całą, ukrytą we mnie w ciągu lat, miłość.

Miłość! Panna Polly raptem uprzytomniła sobie, że to ona pierwsza wzięła do siebie dziewczynkę, tę tak spragnioną czułości i pieszczot dziewczynkę, że nawet słowo „kochanie", powiedziane do niej przez pannę Polly, było w stanie wynagrodzić ból i cierpienia spowodowane wypadkiem. I teraz dziewczynce tej ofiarowano ukrywaną przez szereg lat miłość, a nie była przecież na tyle mała, żeby tego nie odczuć i nie zrozumieć!

Panna Polly rozmyślała o tym wszystkim z bijącym sercem i straszną myślą, jak smutne byłoby jej życie teraz — bez Pollyanny!

— No i cóż? — zapytała sztywnym głosem.

Pan Pendleton wyczuł w jej głosie, że panna Polly dużym wysiłkiem woli panowała nad sobą i uśmiechnął się smutnie.

— Nie chciała się zgodzić — odpowiedział.

— Dlaczego?

— Nie chciała pani opuścić. Mówiła, że pani była tak dobra dla niej, że chciała z panią pozostać. Powiedziała również, iż zdaje jej się, że i pani chciałaby, żeby ona pozostała — dodał, podnosząc się z krzesła.

Nie patrząc na pannę Polly, skierował się do drzwi, lecz usłyszał za sobą śpieszne kroki, a gdy się odwrócił, ujrzał wyciągniętą do siebie drżącą rękę.

— Gdy przybędzie z Nowego Jorku doktor i będę wiedziała o zdrowiu Pollyanny coś określonego, nie omieszkam[22] pana zawiadomić — powiedziała panna Polly wzruszonym głosem. — Do widzenia! Dziękuję za odwiedziny! Pollyanna bardzo, bardzo się ucieszy, gdy się o tym dowie!

ROZDZIAŁ XXIII. GRA POZOSTAJE W ZAWIESZENIU

Następnego dnia po wizycie pana Pendletona panna Polly wzięła na siebie trudne zadanie przygotowania Pollyanny do przyjęcia lekarza specjalisty.

— Pollyanno, kochanie — zaczęła. — Postanowiliśmy, że doktor Warren przyprowadzi ze sobą innego lekarza, który może da jakieś wskazówki, jak przyśpieszyć twój powrót do zdrowia.

Twarzyczka Pollyanny zajaśniała radością.

— Ach, to doktor Chilton! Ciociu, ja tak pragnęłam go zobaczyć! Chciałam ciągle prosić ciocię o to, ale nie śmiałam od czasu, kiedy on zobaczył ciocię na werandzie. Jak to dobrze, że ciocia sama o tym pomyślała!

Twarz panny Polly to bladła, to czerwieniła się, a gdy zaczęła mówić, z wielkim wysiłkiem zdobyła się na ton lekki i wesoły.

— O nie, kochanie! Nie mówię w tej chwili o doktorze Chiltonie. Będzie to zupełnie kto inny: znany lekarz z Nowego Jorku, który zna się na podobnych chorobach.

Twarzyczka Pollyanny, rozjaśniona przed chwilą, posmutniała od razu.

— Wątpię, ciociu, żeby się znał choć w połowie tak dobrze, jak doktor Chilton!

— Ach, kochanie, na pewno zna się lepiej. Jestem przekonana!

— Ale przecież to doktor Chilton wyleczył nogę pana Pendletona. Jeśliby tylko było można, chciałabym bardzo, ciociu, zobaczyć doktora Chiltona.

Panna Polly nie od razu odpowiedziała.

— Wiesz, dziecinko, toby mi było nie na rękę. Zrobiłabym dla ciebie wszystko na świecie, lecz z pewnych powodów, których nie mogę ci teraz wytłumaczyć, nie chciałabym widzieć doktora Chiltona tu, w tym domu. Zresztą bądź przekonana, że na pewno nie potrafiłby pielęgnować cię lepiej, niż to zrobi specjalista z Nowego Jorku, który przybędzie jutro.

Pollyanna nie była jednak całkowicie przekonana.

---

[21] *interesowny* — kierujący się korzyściami materialnymi. [przypis edytorski]

[22] *nie omieszkać* — nie zaniedbać sposobności zrobienia czegoś. [przypis edytorski]

— Ale jeśliby ciocia lubiła doktora Chiltona...

— Co chcesz przez to powiedzieć, Pollyanno? — zapytała panna Polly, rumieniąc się po uszy.

— Chcę powiedzieć, że jeśliby ciocia lubiła doktora Chiltona, a nie tego drugiego — westchnęła Pollyanna — myślę, że mógłby on znacznie więcej mi pomóc! Ja tak lubię doktora Chiltona!

W tej chwili weszła do pokoju pielęgniarka i panna Polly podniosła się z krzesła.

— Pozwól mi, Pollyanno — powiedziała, z trudem hamując rozdrażnienie — załatwić tę sprawę! Zresztą jest to już zdecydowane: lekarz z Nowego Jorku przyjedzie jutro.

Lecz nazajutrz lekarz nie przybył. W ostatniej chwili nadeszła depesza zawiadamiająca o zwłoce z powodu choroby samego doktora. To dało Pollyannie powód do wznowienia próśb, aby specjalistę zastąpiono doktorem Chiltonem.

— To byłoby przecież takie proste! — mówiła.

Lecz panna Polly wciąż odmownie kręciła głową.

— Nie, kochanie! — mówiła stanowczo, równocześnie zapewniając Pollyannę, że zrobiłaby dla niej wszystko na świecie — tylko nie to.

I rzeczywiście, zdawało się, że panna Polly naprawdę robiła wszystko, co mogła, dla swej siostrzenicy.

— Nigdy bym w to nie uwierzyła — mówiła Nancy pewnego poranka Tomaszowi — ale nie ma po prostu chwili, żeby panna Polly nie starała się czegoś zrobić dla Pollyanny. Na przykład wpuszcza do pokoju kota i psa, którym przedtem nie wolno było pokazać się nawet na schodach. Wolno im nawet wskakiwać na łóżko, ponieważ to się podoba Pollyannie. Ciągle porusza szkiełka, wiszące na oknie, aby spowodować „taniec tęczy", jak go nazywa mała! Kilka razy posyłała Mateusza po świeże kwiaty, a wczoraj widziałam, jak siedząc przy łóżku chorej, pozwoliła pielęgniarce czesać się podług wskazówek Pollyanny. I nosi teraz loki, aby sprawić siostrzenicy przyjemność!

— Spodziewam się, że to uczesanie nie szpeci jej — zauważył stary ogrodnik.

— Pewnie, że nie! Wygląda w tym nawet...

— Ładnie, nieprawdaż? — przerwał Tomasz. — A pamiętasz, jak nie wierzyłaś mi, kiedy cię zapewniałem, że była piękną kobietą.

Nancy wzruszyła ramionami.

— Oczywiście, nie można powiedzieć, żeby była piękna, lecz w każdym razie nie jest to ta sama panna Polly, odkąd na prośbę Pollyanny zaczęła nosić koronki i wstążki.

— No pewnie, bo przecież wcale nie jest stara — zauważył Tomasz.

— Jeśli nie jest, to w każdym razie wyglądała na taką przed przyjazdem Pollyanny. Powiedzcie no mi, Tomaszu, kto był jej narzeczonym? Tego dotychczas jeszcze nie wykryłam!

— Naprawdę? — zapytał starzec zagadkowo. — A więc jeśli kiedykolwiek dowiesz się o tym, to w każdym razie nie ode mnie.

— Proszę powiedzieć, Tomaszu — nastawała Nancy — wszak wiecie, że jest moc osób, które mogłabym o to zapytać.

— Możliwe, ale jest jedna, która ci nie odpowie: to ja!

Nagle twarz starego rozpromieniła się.

— No, a jakże czuje się dziś nasza maleńka? — zapytał.

— Ciągle bez zmiany! Właściwie śpi, mówi, usiłuje uśmiechać się i cieszyć, gdy się pokaże słońce lub księżyc: oto i wszystko! Czasami aż mi się chce płakać, gdy na nią patrzę.

— A tak, to jej gra! Niech ją Bóg błogosławi — powiedział staruszek wzruszony.

— Czy i wy też wiecie o tej grze? — zapytała Nancy.

— O, od dawna!

Starzec zamilkł na chwilę, a potem dodał drżącym ze wzruszenia głosem:

— Pewnego razu narzekałem, że jestem taki zgarbiony i zbolały, i czy wiesz, co mi na to powiedziała?

— Nie domyślam się, bo na to naprawdę nie można wyszukać nic pocieszającego!

— Ale ona znalazła! Powiedziała mi, że powinienem się cieszyć, gdyż będąc stale zgięty, nie potrzebuję nachylać się, kopiąc grzędy!

— Spodziewałam się, że zawsze potrafi coś wynaleźć pocieszającego! — zauważyła Nancy. — Gram z nią w tę grę prawie od jej przyjazdu, ponieważ nie miała nikogo, kto by z nią grał w zadowolenie. Bo przecież nie jej ciotka...!

— O, panna Polly!

Nancy roześmiała się.

— Widzę, że wasza opinia co do naszej pani nie bardzo się różni od mojej — powiedziała.

Na te słowa stary ogrodnik wyprostował się.

— Chciałem tylko powiedzieć, że byłoby to w jej przypadku coś zdumiewającego — odparł z powagą.

— Tak, byłoby przedtem, lecz nie jestem pewna, czy tak samo by było teraz. Mam wrażenie, że nasza pani byłaby teraz zdolna do wszystkiego, nawet do gry w zadowolenie.

— Ale czyżby mała nie mówiła jej o tej grze? — pytał Tomasz. — Przecież opowiadała o niej wszystkim.

— Nie — odpowiedziała Nancy — pannie Polly nie mówiła o tym nigdy. Nadmieniła mi kiedyś, że jej ciotka nie lubi, by wspominać o jej szwagrze, a ponieważ gra w zadowolenie jest ściśle związana z ojcem Pollyanny, więc nie mówi o tym ciotce.

— A tak, pamiętam, pamiętam — rzekł starzec — panna Polly była zawsze wrogo względem niego usposobiona. Mówiła, że odebrał jej siostrę, którą bardzo kochała, i nigdy nie mogła mu tego przebaczyć! Tak, tak, pamiętam... to było bardzo smutne.

Nancy nic na to nie powiedziała i westchnąwszy głęboko, wróciła do kuchni.

Dni oczekiwania na doktora z Nowego Jorku były dla wszystkich bardzo męczące. Pielęgniarka usiłowała być wesoła, lecz oczy jej zdradzały lęk i bojaźń; doktor Warren był wyraźnie zniecierpliwiony i zdenerwowany. Panna Polly mówiła mało i ani koronki, ani wstążki na szyi nie zdołały ukryć tego, że chudnie z każdym dniem i staje się coraz bledsza. Pollyanna zaś pieściła psa, głaskała kota, zachwycała się kwiatami, jadła owoce i ciastka i odpowiadała na liczne wyrazy współczucia, nadsyłane zewsząd, ale również chudła i bladła, zgnębiona w głębi duszy niemożnością władania nóżkami, które teraz spoczywały nieruchomo pod kołdrą.

Gra w zadowolenie zaś pozostawała chwilowo w zawieszeniu. Pollyanna często mówiła Nancy, jakby to było dobrze, gdyby mogła już chodzić do szkoły, odwiedzać panią Snow i pana Pendletona i jeździć na spacer z doktorem Chiltonem, ale były to tylko widoki na przyszłość, w chwili obecnej zaś nie znajdowała dla siebie nic pocieszającego.

Nancy rozumiała to dobrze i płakała gorzko, gdy nikt tego nie widział.

ROZDZIAŁ XXIV. NIEDOMKNIĘTE DRZWI

Mniej więcej po upływie tygodnia przybył z Nowego Jorku specjalista, pan Mead. Był to wysoki mężczyzna o szerokich ramionach i dużych, błękitnych, łagodnie uśmiechających się oczach. Pollyanna od pierwszego spojrzenia poczuła do niego sympatię.

— Pan jest bardzo podobny do mojego doktora — zauważyła na wstępie.

— Do twojego doktora, dziecino?

I pan Mead spojrzał ze zdziwieniem na doktora Warrena, który był niskiego wzrostu i miał małe, czarne oczy oraz brodę.

— Ach, to nie jest mój doktor — uśmiechnęła się Pollyanna, zgadując jego zdziwienie. — Doktor Warren jest lekarzem cioci Polly, moim zaś jest doktor Chilton.

— Hm... — mruknął doktor Mead, patrząc na pannę Polly, która zaczerwieniła się i odwróciła pośpiesznie.

Pollyanna zamilkła na chwilę, a potem z właściwą jej szczerością mówiła dalej:

— Wie pan, ja tak pragnęłam widzieć doktora Chiltona, ale ciocia Polly sprowadziła pana! Mówiła mi, że pan zna się lepiej od niego na złamanych nóżkach! Zresztą, jeśli tak jest rzeczywiście, będę bardzo zadowolona, gdy mnie pan wyleczy!

Twarz doktora przybrała dziwny, niezrozumiały dla Pollyanny wyraz.

— Zobaczymy, zobaczymy, dziecinko — odparł łagodnie, odwracając się do doktora Warrena, który w tej chwili zbliżył się do niego.

To, co się stało potem, było, jak zapewniali wszyscy, winą kotki. Drzwi do pokoju Pollyanny były przymknięte i gdyby Fluffi, rozsuwając je łapką i pyszczkiem, nie powiększyła otworu, Pollyanna nie usłyszałaby rozpaczliwego okrzyku ciotki.

W sąsiednim pokoju obaj doktorzy, panna Polly i pielęgniarka rozmawiali szeptem.

Tymczasem koteczka wskoczyła na łóżko Pollyanny z radosnym „miau", gdy wtem z przyległego pokoju dał się słyszeć wyraźnie rozpaczliwy głos panny Polly:

— Ach nie, doktorze, to niemożliwe. Przecież pan nie chce powiedzieć, że ona nigdy już nie będzie mogła chodzić!

Wtedy nastąpiło ogólne zamieszanie: z pokoju Pollyanny rozległo się przeraźliwe wołanie:

— Ciociu Polly... ciociu Polly!!!

Następnie panna Polly, zobaczywszy niedomknięte drzwi i zrozumiawszy, że słowa jej doszły do uszu Pollyanny, wydała głuchy jęk i po raz pierwszy w życiu zemdlała.

Pielęgniarka, dygocąc z przerażenia, ze stłumionym okrzykiem: „Boże, ona słyszała!" rzuciła się do pokoju Pollyanny, obaj doktorzy zaś pozostali na miejscu, przy czym doktor Mead trzymał omdlałą pannę Polly, a doktor Warren stał bezradnie przy nim.

Dopiero powtórny okrzyk Pollyanny wrócił im przytomność i zmusił do zajęcia się cuceniem panny Polly.

Pielęgniarka zastała na łóżku szarą koteczkę, która daremnie starała się zwrócić na siebie uwagę biednej dziewczynki o bladej twarzyczce i prawie błędnym wzroku.

— Ach, proszę pani, ja muszę widzieć ciocię... potrzebuję jej natychmiast... błagam panią! — mówiła drżącym, przerywanym głosem.

— Ciocia nie może przyjść w tej chwili, kochanie. Przyjdzie trochę później. Ale co się stało? Może mogłabym ją zastąpić?

Pollyanna potrząsnęła przecząco główką.

— Muszę wiedzieć, co ciocia powiedziała przed chwilą! Czy pani słyszała? Ona przecież coś powiedziała. Chciałabym, żeby mi powiedziała, że to nieprawda, nieprawda!!!

Pielęgniarka chciała mówić, lecz, ku jeszcze większemu przerażeniu Pollyanny, nie mogła wydobyć głosu.

— Pani słyszała... to prawda... o nie... to nie może być prawdą! Przecież to niemożliwe, żebym już nigdy nie mogła chodzić!

— Uspokój się, uspokój się, dziecinko! Doktor mógł się przecież mylić!

— Ach nie, ciocia mówiła, że on wie! Mówiła, że on zna się na tym lepiej od innych lekarzy!

— Owszem, kochanie, ale lekarze tak często się mylą! Nie myśl o tym teraz, proszę cię! Nie trzeba!

Pollyanna spojrzała na nią z rozpaczą.

— Ależ ja nie mogę nie myśleć o tym — mówiła, szlochając — nie mogę myśleć o czymś innym! Jakże teraz pójdę do szkoły? Jak będę odwiedzała pana Pendletona i panią Snow?

Szlochała coraz silniej, a po chwili podniosła główkę i z przerażeniem w oczach dodała:

— Jeśli nie będę mogła chodzić, jakże będę mogła być zadowolona ze wszystkiego?

Pielęgniarka nie wiedziała nic o grze, wiedziała tylko, że chorą trzeba natychmiast uspokoić. Wzięła więc ze stolika proszek i podając go Pollyannie, powiedziała:

— No, no, już dość, kochanie. Przyjmij teraz ten proszek, to cię uspokoi, a potem zobaczymy. Wiele rzeczy zdaje się z daleka straszniejsze niż są w rzeczywistości.

Pollyanna posłusznie przełknęła proszek.

— Wiem to, ojciec też tak mówił — odpowiedziała nieco już spokojniej, wycierając łezki — mówił zawsze, że każda rzecz mogłaby być jeszcze gorsza... Ale on mógł chodzić! A nie wiadomo, co by powiedział, gdyby był w moim położeniu! Jak się pani zdaje?

Pielęgniarka nic nie odpowiedziała. Nie miała odwagi odezwać się w tej chwili.

ROZDZIAŁ XXV. NAJWIĘKSZE ZMARTWIENIE POLLYANNY

Panna Polly pamiętała dobrze obietnicę daną panu Pendletonowi i dlatego właśnie Nancy szła teraz, by mu zanieść smutną nowinę. W innych okolicznościach Nancy cieszyłaby

się niezmiernie ze sposobności przestąpienia progu tajemniczego domu pana Pendletona. Dziś jednak szła z ciężkim sercem i nic nie mogło jej rozchmurzyć. Nawet nie rozglądała się po przedpokoju przez tych kilka minut, przez które czekała na pana Pendletona.

— Jestem Nancy — odezwała się pełnym szacunku tonem w odpowiedzi na pytający wzrok pana Pendletona. — Panna Harrington przesyła panu przeze mnie wiadomości o Pollyannie.

— A więc?

Z tonu, jakim powiedziane były te dwa słowa, Nancy zrozumiała, że pan Pendleton przeczuwa coś złego.

— Nowiny nie są dobre, proszę pana.

— Nie chcecie przecież powiedzieć...

Pan Pendleton nie dokończył, a Nancy opuściła oczy.

— Niestety, proszę pana, lekarz specjalista powiedział, że już nigdy nie będzie mogła chodzić!

Grobowa cisza zapanowała przez chwilę w pokoju, po czym pan Pendleton stłumionym głosem wyszeptał:

— Biedne, biedne dziecko!

Nancy spojrzała na niego, lecz natychmiast opuściła oczy. Nie spodziewała się nigdy, aby ten człowiek, taki zwykle ponury i zgorzkniały, mógł się zdobyć na tak szczere i głębokie współczucie.

Po chwili milczenia odezwał się głosem ciężko zgnębionym:

— Boże! Jakie to okrutne: nie móc już nigdy tańczyć w słońcu! Mój biedny, mały promyk tęczowy!

Nancy milczała.

— Oczywiście Pollyanna nic jeszcze o tym nie wie? — zapytał nagle.

— Niestety, wie, proszę pana — odpowiedziała, nie mogąc powstrzymać łkania, Nancy. — I to jest właśnie najsmutniejsze! Dowiedziała się o tym przez kotkę! Tak, proszę pana! Kotka otworzyła drzwi i Pollyanna usłyszała, co mówił lekarz!

— Biedna, biedna dziecina! — westchnął znów pan Pendleton.

— O, tak, proszę pana! Widziałam ją od tej chwili dwa razy i za każdym razem po prostu serce mi pękało! Mówi ciągle o rzeczach, których nie będzie mogła robić. Rozpacza również i z tego powodu, iż zdaje się jej, że już z niczego nie będzie mogła być zadowolona! A może pan nie wie o grze? — dodała, jakby się tłumacząc.

— Gra w zadowolenie? — zapytał pan Pendleton. — O, wiem, mówiła mi o niej!

— Naprawdę? Zdaje mi się, że mówiła o niej prawie wszystkim. Ale niech pan zrozumie, że ona nie może w tych warunkach grać w zadowolenie! I to ją najbardziej smuci! Mówi, że nie może znaleźć nic, co by ją mogło pogodzić z myślą, że nigdy nie będzie mogła chodzić!

— Nic dziwnego! — zgodził się pan Pendleton.

— Ja to również rozumiem! — mówiła dalej Nancy. — Ach, gdyby można było znaleźć coś, co by jej dodało otuchy! Usiłowałam przypomnieć jej...

— Co przypomnieć? — przerwał pan Pendleton.

— Przypomnieć, jak sama uczyła tej gry innych! Panią Snow i innych, i to, co mówiła, by ich do gry zachęcić! Ale biedactwo płacze i powiada, że to zupełnie co innego. Że znacznie łatwiej radzić innym, jak się mają pocieszać, niż się pocieszać samej. Mówi, że próbowała cieszyć się z tego, że inni nie są w jej położeniu, ale w tejże chwili przypominała sobie, że już nigdy nie będzie mogła chodzić! Przecież to okropne!

Nancy zamilkła na chwilę; pan Pendleton nie odzywał się również, siedząc z zakrytymi oczyma.

— Wtedy — mówiła smutnie — przytoczyłam jej własne słowa, że gra jest tym ciekawsza, im trudniejsza; powiedziała mi na to, że w tych warunkach jest to zbyt trudne. Ale — dodała pośpiesznie — muszę już iść!

We drzwiach jednak zatrzymała się na chwilkę.

— Ach, proszę pana, co mam powiedzieć Pollyannie? Czy pan widział się powtórnie z Jimmym?

— Nie! Widziałem go raz tylko — odpowiedział pan Pendleton — ale o co chodzi?

— Bo jest to, zdaje mi się, największym jej zmartwieniem, że nie będzie go mogła znów do pana przyprowadzić. Podobno już raz go do pana przyprowadziła, ale nie była pewna, jak został przyjęty. Obawia się, że jego towarzystwo nie przypadnie panu do gustu! Nic jednak z tego wszystkiego nie zrozumiałam!

— Za to ja rozumiem wszystko — powiedział poważnie pan Pendleton.

— Biedactwo! Ciągle powtarza, że tak by chciała jeszcze raz przyprowadzić Jimmy'ego do pana! Ale jest to niemożliwe! Ach, mój Boże! Co to za nieszczęście! No, ale teraz już naprawdę idę! Przepraszam pana i do widzenia! — dodała, wychodząc.

Wkrótce wiedzieli wszyscy, iż znakomity lekarz, specjalista z Nowego Jorku orzekł, że Pollyanna nie będzie mogła chodzić, i nigdy jeszcze całe miasto nie było niczym tak wzruszone. Wszyscy znali przynajmniej z widzenia radosną, z lekka piegowatą twarzyczkę, mile i uprzejmie uśmiechającą się do każdego i prawie wszyscy wiedzieli o słynnej grze Pollyanny.

I pomyśleć tylko, że nie spotkają już tej promiennej twarzyczki, nie zobaczą już radosnego uśmiechu o każdej porze dnia! Wszystko to zdawało się czymś niemożliwym, okrutnym, czymś nie do uwierzenia.

Mówiono o niej i w kuchni, i w salonie, i na spacerach, a miejscowe panie płakały przy tym rzewnie; panowie, gdy się spotkali czy na ulicy, czy w sklepie, mówili o niej ze szczerym współczuciem.

A tymczasem Pollyanna martwiła się i rozpaczała — że nie będzie mogła nadal grać w zadowolenie.

Każdy chciał się czegoś dowiedzieć o chorej i panna Polly ze zdziwieniem przyjmowała odwiedziny znajomych i nieznajomych panów, pań i dzieci, dopiero teraz dowiadując się, jak wielką sympatią cieszyła się jej siostrzenica.

Jedni przychodzili, aby zapytywać, czy się czasem nie polepszyło, inni przynosili książki, kwiaty lub jakieś łakocie, niektórzy płakali szczerze i otwarcie lub tylko ukradkiem ocierali łzy.

Jednym z pierwszych był pan Pendleton, który tym razem przyszedł już nie o kulach.

— Nie potrzebuję mówić pani, jak bardzo jestem zmartwiony — przemówił oschle. — Czy nic się nie da zrobić?

Panna Polly spojrzała na niego z rozpaczą.

— Robimy wszystko, co się da! Specjalista przepisał różne lekarstwa, które, ewentualnie, mogą polepszyć stan chorej, lecz nie zostawił żadnej nadziei. Doktor Warren na razie zastosowuje się ściśle do jego wskazówek.

Pan Pendleton wstał i pomimo że dopiero co przyszedł, skierował się ku wyjściu. Był blady i wargi mu drżały; doszedłszy do drzwi, odwrócił się i spojrzał na pannę Polly.

— Mam wiadomość dla Pollyanny — rzekł. — Zechce pani powiedzieć jej, że widziałem Jimmy'ego i że zostanie on wkrótce moim małym chłopcem! Sądzę, że Pollyanna ucieszy się z tej nowiny. Prawdopodobnie adoptuję Jimmy'ego.

Panna Polly straciła na chwilę panowanie nad sobą.

— Jak to? Pan chce adoptować tego chłopca? — zawołała.

— Przypuszczam, że Pollyanna to zrozumie — odparł łagodnie. — Niech jej pani powie, że mam nadzieję, iż ją tym ucieszę!

— No... tak... powiem — odpowiedziała machinalnie panna Polly.

— Dziękuję — rzekł pan Pendleton i pośpiesznie wyszedł z pokoju.

Panna Polly stała wciąż nieruchomo i nie mogła dojść do siebie. Po prostu nie wierzyła własnym uszom! Więc pan Pendleton adoptuje Jimmy'ego! Pan Pendleton! Ten bogacz mrukliwy, uważany powszechnie za największego egoistę i skąpca — adoptuje chłopca! I to jakiego!

Po chwili jednak panna Polly, jeszcze nie całkiem przyszedłszy do siebie, udała się do pokoju Pollyanny.

— Pollyanno! Mam dla ciebie nowinę! Otóż przed chwilą był tu pan Pendleton i prosił, aby ci powiedzieć, że bierze do siebie Jimmy'ego. Pan Pendleton spodziewa się, iż ta nowina sprawi ci przyjemność!

Zamyślona twarzyczka Pollyanny zapłonęła nagle szczerą radością!

— Przyjemność? — zawołała. — Ależ ja jestem wprost szczęśliwa! Ciocia nie ma pojęcia, jak pragnęłam znaleźć dla Jimmy'ego przytułek! A tym bardziej taki! Poza tym

cieszę się również i za pana Pendletona, gdyż teraz wreszcie będzie miał w domu „obecność dziecka".

— Co będzie miał?

Pollyanna zarumieniła się. Przypomniała sobie, że ciotka nic nie wie o tym, iż pan Pendleton chciał ją adoptować, a teraz za nic nie mogła tego powiedzieć, bo nużby panna Polly pomyślała, że Pollyanna choć przez moment miała zamiar ją opuścić! Ją, taką bardzo, bardzo kochaną!

— O... obecność dziecka — odpowiedziała, jąkając się z lekka. — Pan Pendleton powiedział mi kiedyś, że tylko serce kobiety lub obecność dziecka są w stanie stworzyć ognisko domowe. I to właśnie będzie miał teraz!

— Rozumiem, rozumiem — powiedziała łagodnie panna Polly i rzeczywiście rozumiała więcej może, niż Pollyanna mogła się spodziewać. Wyczuła, że pan Pendleton w swoim czasie wywierał zapewne nacisk na Pollyannę i że dziewczynka chciała i jemu dogodzić, i jednocześnie nie opuścić ciotki.

— Rozumiem — powtórzyła jeszcze raz ze łzami w oczach.

Tymczasem Pollyanna, bojąc się, aby ciotka nie zaczęła ją na ten temat wypytywać, skierowała rozmowę na inny temat.

— A wie ciocia, że i doktor Chilton mówił również to samo!

Panna Polly podskoczyła na krześle ze zdziwienia.

— Doktor Chilton? Skąd wiesz o tym?

— Mówił mi kiedyś, gdy byłam u niego, że nie ma ogniska domowego, lecz tylko parę pokoi, w których mieszka!

Panna Polly nic nie odpowiedziała, patrząc w zadumie przez okno.

— Wtedy zapytałam go — mówiła dalej Pollyanna — dlaczego nie stworzy sobie ogniska domowego.

— Naprawdę? Zapytałaś go? — z przymusem wymówiła panna Polly, jakby wbrew jakiejś sile, która wstrzymywała ją od tego pytania.

— Przez chwilę nic nie mówił, a potem powiedział, że nie zawsze można to zrobić, nawet gdy się tego bardzo pragnie!

Nastąpiła chwila milczenia. Panna Polly wciąż patrzyła przez okno, a twarz jej pokrywała się coraz to silniejszym rumieńcem.

Pollyanna westchnęła.

— On bardzo pragnie ogniska domowego i tak bardzo bym chciała, żeby je miał!

— Ale skąd ty to wnioskujesz, Pollyanno!?

— Bo pewnego razu powiedział bardzo po cichu, ale ja usłyszałam, że oddałby wszystko na świecie za serce jednej kobiety... Ale, ciociu, co się stało? — zawołała, zobaczywszy, że panna Polly nagle zerwała się z krzesła i pobiegła do okna.

— Nic, kochanie, chciałam tylko poprawić te oto szkiełka — odpowiedziała po chwili drżącym głosem, a gdy się odwróciła, twarz jej wyrażała wielkie wzruszenie.

ROZDZIAŁ XXVI. GRA I JEJ ZWOLENNICY

Któregoś dnia po południu Nancy zameldowała pannie Polly córkę pani Snow.

Milly była bardzo zażenowana, gdyż była tu po raz pierwszy i zaczerwieniła się jak raczek, gdy panna Polly weszła do pokoju.

— Przyszłam dowiedzieć się o zdrowie Pollyanny — przemówiła nieśmiało.

— Bardzo to uprzejmie z twojej strony — odpowiedziała panna Polly. — Niestety, nie mogę ci powiedzieć nic dobrego, stan zdrowia bowiem Pollyanny pozostaje bez zmian. A jak się miewa twoja mateczka?

— Właśnie przychodzę, aby mówić o niej, to jest właściwie prosić, żeby pani powiedziała Pollyannie — mówiła Milly bezładnie i prawie jednym tchem — że my obie z matką uważamy, że to jest naprawdę straszne: nie móc chodzić! I po tym wszystkim, co ona zrobiła dla nas, to znaczy dla matki, ucząc ją tej gry! Teraz, kiedyśmy się dowiedziały, że nie będzie mogła grać sama... biedna, biedna dziewczynka... Ale to, co zrobiła dla nas, czy nie mogłoby jej samej dopomóc? Właśnie z powodu gry... przecież mogłaby się cieszyć... to znaczy mogłaby być choć trochę zadowolona...

Milly przerwała, nie wiedząc, co mówić dalej. Zdawało się, że pragnie, aby panna Polly jej pomogła. Tymczasem ta słuchała uważnie, lecz widać było, że z tego, co mówiła Milly, zrozumiała tylko coś niecoś. Słyszała, że Milly jest trochę „dziwna", ale nie spodziewała się, że aż do tego stopnia! Nie mogła sobie wytłumaczyć całego tego potoku słów bez znaczenia, bezładnych i nielogicznych.

Toteż gdy Milly zatrzymała się, panna Polly odezwała się spokojnie:

— Niezupełnie dobrze cię rozumiem, Milly! Zechciej wytłumaczyć mi dokładniej, co chcesz, abym powiedziała mej siostrzenicy!

— Chciałam tylko, żeby pani w jakikolwiek sposób dała Pollyannie do zrozumienia, ile ona dla nas zrobiła dobrego. Niewątpliwie, ona sama też trochę wie o tym, gdyż nie mogła nie zauważyć zmiany, jaka zaszła w matce i we mnie. Ja również próbowałam grać... trochę!

Panna Polly ściągnęła brwi. Chciała zapytać, co to za gra i na czym polega, lecz nie zdążyła, gdyż Milly mówiła dalej:

— Pani wie, jak przedtem było z matką trudno. Zawsze pragnęła czegoś innego, niż to, co miała; wiecznie była ze wszystkiego niezadowolona, zgryźliwa. Co prawda, nie można było się jej dziwić, wobec stanu jej zdrowia.

Teraz jest zupełnie inaczej, pozwala mi otwierać okno, wszystkim się interesuje, opiekuje się mną! Prócz tego robi skarpetki i ciepłą bieliznę dla szpitala i cieszy się, że może to robić! Wszystko to, proszę pani, jest dziełem Pollyanny. Ona wytłumaczyła matce, że chociaż nie włada nogami, ma jednak ręce i powinna się cieszyć z tego, że może nimi coś robić! Wtedy matka, pomyślawszy nieco, wzięła się do robienia skarpetek i ciepłej bielizny! A gdyby pani widziała, jak się teraz zmienił nasz pokój! Dawniej był ciemny i ponury, tak że aż nieprzyjemnie było wchodzić, obecnie zaś jest jasny, a widma słoneczne z rozwieszonych przez Pollyannę w oknie szkiełek nadają mu wygląd wesoły i promienny! Chciałybyśmy, żeby pani powiedziała Pollyannie, iż całą tę zmianę ku lepszemu zawdzięczamy tylko jej! I niech pani powie jej jeszcze, że jesteśmy szczęśliwe, żeśmy ją poznały i że może ją to choć trochę ucieszy, gdy będzie o tym wiedziała. To już wszystko — dodała zażenowana. — Pani jej to powie? Nieprawdaż?

— Ależ oczywiście, moje dziecko — odpowiedziała panna Polly, nie będąc jednak pewna, czy potrafi dokładnie powtórzyć, co jej w tak bezładny sposób opowiedziała Milly.

*

Pomimo że panna Polly nie wpuszczała do pokoju chorej nikogo, ilość odwiedzin zwiększała się z każdym dniem, a każdy z odwiedzających miał jakieś dla chorej polecenia, które chwilami bardzo zaciekawiały pannę Polly.

Pewnego razu przyszła niejaka pani Benton. Panna Polly znała ją z widzenia, ale przedtem nigdy nie zamieniły ze sobą ani słowa. Była to najnieszczęśliwsza może w całym mieście osoba, gdyż w przeciągu krótkiego czasu straciła męża i dwoje dzieci. Pozostał jej tylko jedyny syn, cała jej pociecha. Chodziła stale w żałobie, ale dziś panna Polly spostrzegła, że miała na sobie biały koronkowy kołnierzyk i kolorowy krawacik.

Pani Benton ze łzami w oczach opowiadała, jak bardzo się zmartwiła, gdy się dowiedziała o wypadku, i zapytała, czy mogłaby zobaczyć Pollyannę. Panna Polly odmówiła:

— Na razie nie wolno jej jeszcze nikogo widywać. Potem: być może!

Ale pani Benton, wychodząc, zwróciła się do panny Polly:

— Czy jednak nie zgodziłaby się pani powiedzieć coś Pollyannie w moim imieniu?

— Ależ naturalnie, proszę pani, z przyjemnością!

— A więc niech jej pani powie, że noszę to — i wskazała na kołnierzyk i krawat.

Następnie, widząc, że panna Polly patrzy na nią ze zdziwieniem, dodała:

— Siostrzenica pani od dłuższego czasu namawiała mnie, bym przestała nosić czarny kolor i włożyła na siebie coś kolorowego, więc myślę, że się ucieszy, dowiedziawszy się, że jej usłuchałam. Mówiła mi zawsze, że najbardziej by się z tego ucieszył Fred, a pani wie przecież, że Fred to jest wszystko, co mi jeszcze pozostało na świecie, wszyscy inni...

Pani Benton nie dokończyła, odwracając się pośpiesznie.

— Niech pani jej to powie! Ona zrozumie — dodała, kierując się ku wyjściu.

Tego samego dnia, tylko nieco później, przyszła jakaś całkiem nieznajoma pani w żałobie. Panna Polly nie widziała jej nigdy i dziwiła się, skąd Pollyanna mogła ją znać.

Nazwisko „Tarbell", umieszczone na wizytowej kartce podanej przez Nancy, również nic nie mówiło.

— Jestem obca dla pani, ale nie jestem obca dla pani siostrzenicy — powiedziała na wstępie pani Tarbell. — Jestem przyjezdna; mieszkam tu w lecznicy i codziennie z nakazu lekarza odbywam długie spacery. Podczas jednego z nich właśnie poznałam siostrzenicę pani. To drogie, kochane dziecko! Chciałabym, żeby pani zrozumiała, czym ta słoneczna dziewczynka stała się dla mnie! Gdy przyjechałam tu, czułam się tak bardzo osamotniona i smutna! Promienna jej twarzyczka przypomniała mi moją córeczkę, którą straciłam przed kilku laty! Wiadomość o wypadku poruszyła mnie do głębi serca, a gdy się dowiedziałam, że biedactwo nie będzie mogło chodzić, przez co musi się czuć bardzo nieszczęśliwa, przyszłam odwiedzić panią i zakomunikować jej wyrazy szczerego współczucia!

— To bardzo uprzejmie z pani strony — odpowiedziała grzecznie panna Polly.

— A teraz poproszę panią o następującą przysługę: może pani zechce powiedzieć Pollyannie, że „pani Tarbell jest już zadowolona". Wiem, że te słowa wydają się pani dziwne, że pani mnie nie rozumie, i przepraszam bardzo, że nie mogę pani wytłumaczyć tego dokładniej — oczy jej nabrały smutnego wyrazu, a uśmiech powoli znikł z twarzy. — Lecz siostrzenica pani zrozumie, co chciałam przez to powiedzieć! Dziękuję pani z góry i przepraszam, że pozwoliłam sobie panią niepokoić — dodała, wychodząc.

Panna Polly, zupełnie tym razem oszołomiona, udała się bezpośrednio po tej wizycie do pokoju Pollyanny.

— Pollyanno, czy znasz panią Tarbell? — zapytała na wstępie.

— O tak, i bardzo ją lubię! Ona jest bardzo chora i zawsze taka smutna! Mieszka w lecznicy i stale odbywa długie spacery. Odbywamy je razem... to znaczy odbywałyśmy...

Głos Pollyanny załamał się i dwie duże łzy stoczyły się po twarzyczce.

— Była przed chwilą u mnie — przerwała panna Polly — i prosiła, aby powiedzieć ci, że jest teraz zadowolona!

Pollyanna klasnęła w dłonie.

— Tak powiedziała? Naprawdę? Ach, jak się cieszę!

— Ale co to miało znaczyć? — zapytała z ciekawością panna Polly.

— To była gra, ciociu, bo...

Ale w tej chwili zamilkła i zakryła dłonią usteczka.

— Jaka gra?

— Nie, nic... ciociu, to... nie, nie mogę powiedzieć, ciociu, bo musiałabym mówić o rzeczach zakazanych!

Panna Polly miała wielką ochotę wypytywać Pollyannę dalej, ale na twarzy dziewczynki tak wyraźnie odmalowało się zmieszanie i przykrość, że pomimo szczerej chęci nie odważyła się zadać żadnego zapytania.

Jedna z wizyt, która nastąpiła po kilku dniach, doprowadziła jednak ciekawość panny Polly do ostateczności. Przyszła mianowicie jakaś biednie ubrana kobieta i chciała koniecznie widzieć Pollyannę.

Panna Polly przyjęła ją sztywno i jak zwykle odmówiła zobaczenia Pollyanny.

Wtedy kobieta zaczęła opowiadać, że mieszka na krańcu miasta, jest bardzo biedna i ma dużą rodzinę. Pollyanna od czasu do czasu zaglądała do małego domku i bawiła się z dziećmi. Nauczyła ich wszystkich cudownej gry i teraz w małym domku panuje radość i zadowolenie. Przyszła, by podziękować jej za to dobrodziejstwo!

Opowiadanie biednej kobiety rozbroiło pannę Polly, która pożegnała wychodzącą bardzo uprzejmie, obiecując powiedzieć wszystko Pollyannie.

Lecz gdy tylko kobieta wyszła, panna Polly zawołała Nancy.

Nancy trochę się przestraszyła, bo od dnia wypadku panna Polly po raz pierwszy wołała ją takim oschłym i surowym tonem.

— Nancy, proszę mi wytłumaczyć, co to jest za jakaś niesamowita gra i jak moja siostrzenica w nią grała? Dlaczego wszyscy, począwszy od pani Snow, a kończąc na tej biednej kobiecie z przedmieścia, proszą, abym powiedziała Pollyannie, że grają w jakąś grę? O ile mogę wywnioskować, każdy z nich jest z czegoś zadowolony, cieszy się,

a wszyscy mówią, że zawdzięczają to Pollyannie! Początkowo chciałam dowiedzieć się o tym bezpośrednio od niej, ale nie odpowiedziała mi, a ponieważ słyszałam coś niecoś z twojej wczorajszej rozmowy z Pollyanną, domyślam się, że wiesz, o co chodzi. Proszę mi więc wytłumaczyć, co to wszystko znaczy!

Na te słowa Nancy najniespodziewaniej wybuchnęła płaczem.

— To znaczy — mówiła, łkając — że, począwszy prawie od dnia przyjazdu, kochana nasza dziecina starała się pocieszyć całe miasto! A teraz znów oni przychodzą, aby ją pocieszać!

— Ale jak pocieszać? W jaki sposób?

— Po prostu tak, proszę pani, to jest gra...!

Panna Polly tupnęła nogą ze zdenerwowania.

— Nancy! Jesteś jak i tamci wszyscy! Wytłumaczże[23] mi, co to za gra!

Nancy spojrzała na pannę Polly, wahając się przez chwilę.

— Dobrze, opowiem pani wszystko — powiedziała wreszcie z rezygnacją. — Jest to gra, której nauczył Pollyannę jej ojciec. Pewnego razu, gdy jeszcze była zupełnie mała, otrzymała w paczce misjonarskiej zamiast oczekiwanej lalki kule. Naturalnie, rozpłakała się, jak każde dziecko, ale ojciec powiedział jej na to, że w każdej okoliczności można zawsze znaleźć coś pocieszającego, a więc, że otrzymawszy kule, powinna się również cieszyć!

— Cieszyć się, otrzymując kule? — zawołała panna Polly i w tej chwili poczuła, jak łzy ściskają jej gardło, pomimo woli bowiem pomyślała o bezwładnych nóżkach dziewczynki.

— Tak jest, proszę pani! Ojciec wytłumaczył jej, że powinna się cieszyć z tego, że ich nie potrzebuje!

— O, Boże! — zawołała panna Polly wzruszona.

— Od tego czasu — mówiła dalej Nancy — Pollyanna starała się zawsze, wszędzie i we wszystkim znaleźć coś pocieszającego. Opowiadała mi, że wówczas nie myślała już o lalce, lecz cieszyła się, że nie potrzebuje kul. Grę tę nazwała „grą w zadowolenie" i stosuje ją zawsze i wszędzie!

Nancy opowiedziała w dalszym ciągu, jak Pollyanna stosowała grę w zadowolenie do niej samej, do jej rodziny, do pani Snow i do wielu, wielu innych osób, a panna Polly słuchała z zapartym oddechem, nie mogąc dojść do siebie ze wzruszenia.

— Ale dlaczegóż mnie nic o tym nie mówiła? — spytała wreszcie. — Dlaczego zawsze, gdy ją o to pytałam, robiła z tego taką tajemnicę?

— Pani wybaczy — powiedziała wtedy Nancy — pani sama zabroniła jej mówić o ojcu, a przecież nie mogła wytłumaczyć tej gry, nie wspominając o nim.

Panna Polly przygryzła wargi.

— Pollyanna chciała pani pierwszej powiedzieć o wszystkim, gdyż potrzebowała do tej gry kogoś bliskiego, ale wobec tego zakazu nie odważyła się, i wtedy ja ofiarowałam się grać z nią!

— A ci wszyscy inni? — zapytała panna Polly wzruszonym głosem.

— Ach, proszę pani! Obecnie już wszyscy niemal znają tę grę, gdyż Pollyanna nie robiła z niej tajemnicy. Dlatego też teraz, gdy stał się ten okropny wypadek, wszyscy są po prostu zrozpaczeni, martwią się, że biedne dziecko nie będzie mogło zastosować swej ulubionej gry do siebie. A chcą, żeby Pollyanna wiedziała, że grają w tę grę, gdyż pragnieniem jej było mieć jak najwięcej zwolenników!

— Znam kogoś, kto będzie bardzo gorliwym jej zwolennikiem — szepnęła drżącym ze wzruszenia głosem panna Polly, kierując się ku wyjściu.

Nancy spojrzała za wychodzącą i pomyślała:

„Zdaje mi się, że gdy chodzi o Pollyannę, panna Polly byłaby teraz zdolna do wszystkiego!"

Tym razem, rozmawiając z Pollyanną, panna Polly opowiedziała o odwiedzinach biednej kobiety, która prosiła, by podziękować Pollyannie za nauczenie jej samej i jej dzieci gry.

— A wychodząc — mówiła panna Polly — dodała, iż teraz zawsze będzie grać w zadowolenie i że wiadomość ta powinna cię ucieszyć.

---

[23] *wytłumaczże* — konstrukcja z partykułą -że; znaczenie: wytłumacz koniecznie. [przypis edytorski]

— Ależ naturalnie, ciociu! Cieszę się bardzo, bardzo! Ale... ciocia tak mówi, jakby coś o mojej grze wiedziała?

— Tak jest, kochanie! Wiem o niej od Nancy i uważam, że jest to bardzo dobra gra. Chciałabym nawet spróbować w nią zagrać z tobą!

— Ach, Boże... ciociu... kochana...

Pollyanna ledwie mówić mogła ze wzruszenia.

— Tak zawsze chciałam, żeby ciocia pierwsza wiedziała o tej grze — mówiła, ochłonąwszy nieco — tak zawsze pragnęłam z ciocią, przede wszystkim z ciocią grać w zadowolenie!

— Otóż, dziecino — rzekła poważnie panna Polly — jeśli nie jestem pierwszą, to w każdym razie będę bardzo gorliwą zwolenniczką twej gry. Wie o niej całe prawie miasto, wszyscy szukają i znajdują pocieszenie w różnych troskach i kłopotach dlatego tylko, że pewna mała dziewczynka nauczyła ich swojej cudownej gry!

— Ach, ciociu! — zawołała ze łzami w oczach Pollyanna. — Jest mi teraz tak dobrze i jeśli nawet nigdy już nie będę mogła chodzić, to cieszę się z tego, że mogłam chodzić przedtem, gdyż inaczej nie nauczyłabym nikogo mojej gry!

ROZDZIAŁ XXVII. PRZEZ OTWARTE OKNO

Krótkie dni zimowe przechodziły szybko, jeden po drugim, dla Pollyanny jednak były one długie i smutne. Pomimo to uśmiechała się mile do wszystkich odwiedzających ją. Bo czyż nie powinna grać w zadowolenie właśnie teraz, gdy znalazła towarzyszkę w osobie panny Polly? A panna Polly wyszukiwała wciąż coś, z czego można było się cieszyć. Pollyanna, jak i pani Snow, robiła teraz szydełkowe robótki i cieszyła się, że może władać rączkami. Od czasu do czasu ktoś z odwiedzających wpuszczany był do pokoju Pollyanny, bo panna Polly zauważyła, iż jest to dla niej pewnego rodzaju rozrywka, zwłaszcza gdy byli to ludzie cieszący się specjalną sympatią Pollyanny.

W ten sposób odwiedził ją pan Pendleton i kilka razy Jimmy Bean. Pan Pendleton opowiadał o tym, że Jimmy jest bardzo miłym, posłusznym i porządnym chłopcem, a Jimmy cieszył się, że znalazł przytułek, jak się wyrażał, „pierwszej klasy", wychwalał pana Pendletona jako opiekuna i zawsze nadmieniał, że wszystko to ma do zawdzięczenia tylko Pollyannie. Po takiej wizycie Pollyanna pewnego razu powiedziała pannie Polly:

— Coraz bardziej cieszę się, ciociu, że mogłam kiedyś chodzić, bo inaczej nie zrobiłabym wielu rzeczy!

Tak dzień po dniu przeszła zima i nastąpiła wiosna. Jednak osoby stojące bliżej chorej, jak doktor Warren, panna Polly, pielęgniarka i nawet Nancy, przekonywały się z bólem w sercu, że stosowane wciąż środki lekarskie nie przynosiły poprawy. Zdawało się, że spełnia się smutna przepowiednia specjalisty z Nowego Jorku i że Pollyanna naprawdę nigdy już nie będzie mogła chodzić.

Całe miasto również śledziło z zainteresowaniem doniesienia o zdrowiu Pollyanny, ale był jeden człowiek, którego wyjątkowo niepokoił stan chorej i który z większą niż wszyscy niecierpliwością oczekiwał pozytywnych jego zmian. Lecz czas upływał i nie przynosił żadnego polepszenia, więc człowiek ów był coraz bardziej zdenerwowany i zaniepokojony; zdawało się, że toczy jakąś wewnętrzną walkę.

Rezultatem tej walki było to, że pewnego poranku zameldowano panu Pendletonowi wizytę doktora Chiltona.

— Przyszedłem do pana — zaczął doktor — dlatego, iż pan lepiej niż kto inny w mieście zna mój stosunek do panny Harrington.

Twarz pana Pendletona z lekka drgnęła, gdyż rzeczywiście wiedział o wszystkim, lecz od lat piętnastu nikt nie wspominał o tym nigdy.

— Owszem — odpowiedział, starając się nie zdradzać zbyt wielkiej ciekawości, tym bardziej, że zauważył od razu, że doktor Chilton był mocno poruszony.

— Panie Pendleton, ja powinienem zobaczyć to dziecko, zbadać je! Muszę to zrobić! — zawołał ten zupełnie niespodziewanie.

— A więc dlaczego pan tego nie zrobi?

— Przecież pan wie dobrze, że od piętnastu lat nie przestąpiłem progu tego domu. Natomiast nie wie pan oczywiście tego, że właścicielka jego powiedziała mi, że z chwilą,

gdy mi zaproponuje wejście do swego domu, będzie to jakby przeproszenie z jej strony i że wtedy wszystko ma być po staremu, co znaczy, że zgodzi się zostać moją żoną. Pan przecież nie może zaprosić mnie do jej domu w jej imieniu!

— A czy nie mógłby pan pójść tak, bez zaproszenia?

Doktor Chilton zmarszczył brwi.

— Nie! Mam przecież trochę ambicji.

— Ale ponieważ pan tak się obawia o dziewczynkę, czy nie można by chociaż na chwilę zapomnieć o kłótni, która was poróżniła?

— Ach nie, nie to mam na myśli! Gdyby o to tylko chodziło, naturalnie poszedłbym bez wahania, lecz tu wchodzi jeszcze w grę ambicja zawodowa. Rozumie pan: dziecko jest chore, a ja jestem lekarzem! Nie mogę przecież powiedzieć: „Zawołajcie, zaproście mnie"!

— Lecz cóż takiego między wami zaszło?

— Nic... głupstwo... drobiazg... Ale w tej chwili chodzi o to, żebym zobaczył Pollyannę! Jest to po prostu kwestia życia. Powiem panu szczerze, iż jestem prawie przekonany, że można jej będzie przywrócić zdolność chodzenia.

Słowa te, wypowiedziane stanowczo i dobitnie i przeznaczone w tej chwili wyłącznie dla pana Pendletona, usłyszał wypadkiem jeszcze ktoś! Mianowicie panowie rozmawiali przy otwartym oknie, a tuż w ogródku pracował przy kwiatach Jimmy. Usłyszawszy te słowa, przystanął jak skamieniały i zaczął przysłuchiwać się dalszej rozmowie.

— A więc, doktorze, powiada pan, że Pollyannie można by przywrócić władzę w nóżkach? Ależ w jaki sposób?

— Otóż — odpowiedział poważnie doktor Chilton — aczkolwiek wiem o jej przypadku tylko z opowiadań, gdyż nie mam do niej przystępu, wypadek ten przypomina mi identyczny, który kiedyś miał w swej praktyce lekarskiej jeden z moich kolegów. Studiował on przez dłuższy czas ten rodzaj choroby, a ponieważ mieszkaliśmy wówczas razem, więc i ja miałem możność zaznajomienia się nieco i z tą dziedziną. Z tego wnioskuję... Ale ja muszę ją zobaczyć, zbadać... muszę!

Pan Pendleton podniósł się z krzesła.

— Tak, powinien pan ją zobaczyć i zbadać! Czy nie mógłby pan zrobić tego przez doktora Warrena?

Doktor Chilton poruszył przecząco głową.

— Mam wrażenie, że nie. Doktor Warren i tak już postąpił względem mnie bardzo lojalnie. Mówił mi, że proponował konsylium, w którym ja też miałem przyjąć udział, ale panna Polly odmówiła w sposób tak stanowczy, że nie mógłby wszczynać w tym kierunku żadnych dalszych kroków, nawet wiedząc, jak bardzo mi na tym zależy. Ale ja muszę, muszę ją zobaczyć! Niech pan coś wymyśli, aby to zrobić! Nie mogę przecież udać się z tym do jej ciotki, tym bardziej, że jestem przekonany, że mi odmówi.

— Więc trzeba zrobić tak, aby sama pana zaprosiła!

— Ale jak to zrobić?

— Na razie nie wiem... pomyślę.

— Rozumiem ją dobrze — mówił doktor Chilton — ale cóż z tego! Zanadto jest dumna, aby zrobić pierwszy krok pojednawczy. A tymczasem, gdy pomyślę, że to biedne dziecko skazane jest na mękę wiecznego leżenia, to...

Doktor Chilton nie skończył, lecz, nerwowo ściskając ręce, zaczął chodzić dużymi krokami z kąta w kąt.

— A gdyby tak ktoś inny dał jej do zrozumienia...? — powiedział pan Pendleton.

— Dobrze, ale kto?

— Nie wiem... nie mam pojęcia — odparł bezradnie pan Pendleton.

Jimmy, który przez cały czas słuchał uważnie, bojąc się opuścić choć jedno słówko, nagle wyprostował się.

— A więc, na Boga, ja to zrobię — wyszeptał — ja jej powiem!

I wyślizgnąwszy się niepostrzeżenie przez furtkę, pobiegł co tchu w kierunku willi panny Harrington.

ROZDZIAŁ XXVIII. JIMMY ZACZYNA DZIAŁAĆ

— Jimmy Bean chce się z panią zobaczyć! — zameldowała Nancy.

— Ze mną? — zapytała panna Polly zdziwiona. — Pewnie chodzi o Pollyannę? Owszem, powiedz mu, że jeśli sobie życzy, może ją dziś odwiedzić!

— Powiedziałam mu to — odparła Nancy — ale powtórzył mi wyraźnie, że pragnie mówić z panią.

— A więc dobrze, zaraz wyjdę!

Panna Polly opuściła fotel i powolnym krokiem skierowała się do salonu.

Zaledwie ukazała się we drzwiach, Jimmy, niezwykle podniecony, podbiegł do niej i zaczął mówić bezładnie:

— Proszę pani... zdaje mi się, że to, co zrobiłem, jest niedobre... Zaraz pani powiem... ale nie mogłem postąpić inaczej! To dla Pollyanny... przecież dla niej zrobiłbym wszystko na świecie... Pani pewnie też mnie zrozumie, jeśli powiem, że przez to jest nadzieja przywrócenia jej zdolności chodzenia! Dlatego właśnie przyszedłem... bo przecież zwyczajna sprzeczka nie może... nie powinna stanąć na przeszkodzie... Ja wiem, że gdy pani zrozumie, to na pewno poprosi doktora Chiltona...

— Co takiego? — przerwała panna Polly tonem pełnym oburzenia.

Jimmy westchnął.

— Nie chciałem wcale pani rozgniewać — powiedział — dlatego też od razu powiedziałem o możliwości uzdrowienia Pollyanny... Spodziewałem się, że pani wysłucha do końca.

— Jimmy, co chcesz przez to powiedzieć?

Jimmy znów westchnął.

— Postaram się wszystko, wszystko pani opowiedzieć.

— Dobrze, chłopcze, ale mów spokojnie, po kolei, a wtedy bądź przekonany, że cię zrozumiem. Nie staraj się tylko powiedzieć wszystkiego naraz, bo nic z tego nie wyjdzie.

Jimmy nabrał tchu.

— A więc przyszedł dziś do pana Pendletona pan doktor Chilton i rozmawiali w bibliotece.

Jimmy zatrzymał się i pytającym wzrokiem spojrzał na pannę Polly.

— Dobrze, rozumiem. Cóż dalej?

— Okno było otwarte, a ja pracowałem w ogródku tuż pod oknem i słyszałem całą rozmowę.

— Jak to! Podsłuchiwałeś?

— Nie, proszę pani! — Jimmy wyprostował się dumnie. — Nie podsłuchiwałem, tylko usłyszałem niechcący rozmowę i bardzo się z tego cieszę. Pani to zrozumie, gdy jej wszystko opowiem: otóż jest możliwość przywrócenia Pollyannie zdolności chodzenia!

— Co to ma znaczyć, Jimmy?

Panna Polly zdradzała coraz większe zainteresowanie.

— Doktor Chilton zna jednego doktora, który mógłby uleczyć Pollyannę, ale przedtem powinien sam ją zbadać i dlatego bardzo chce ją zobaczyć. Tylko powiedział panu Pendletonowi, że pani nie zgodziłaby się na to...

Twarz panny Polly pokryła się silnym rumieńcem.

— Ależ, Jimmy, ja nie mogę... nie mogłabym... to znaczy... ja nie wiem — wołała panna Polly, załamując ręce.

— Właśnie dlatego przyszedłem — powiedział Jimmy spokojnie. — Mówili, że z pewnych powodów, których nie zrozumiałem, pani nie zgodzi się, aby doktor Chilton przyszedł, że pani odmówiła już doktorowi Warrenowi, że doktor Chilton sam nie może przyjść bez zaproszenia z powodu jakiejś tam ambicji zawodowej i jeszcze dużo innych rzeczy. Mówili potem, że gdyby tak ktoś powiedział pani o tym wszystkim... tylko nie wiedzieli kto, a wtedy ja pod oknem pomyślałem, że mógłbym to zrobić i natychmiast przybiegłem. Czy pani teraz wszystko zrozumiała?

— Owszem, Jimmy, ale kto jest ten doktor? — pytała nerwowo panna Polly. — Gdzie on jest? Czy oni są pewni, że potrafi uzdrowić Pollyannę?

— Nie wiem, tego nie mówili. Tylko doktor Chilton wspominał, że ów doktor wyleczył już podobny wypadek. Zresztą chodziło im o to tylko, żeby doktor Chilton mógł zobaczyć i zbadać Pollyannę. Pani go teraz zaprosi! Nieprawdaż?

Panna Polly odwróciła głowę. Początkowo nawet Jimmy myślał, że płacze. Lecz panna Polly nie płakała i po chwili powiedziała stanowczo:

— Owszem, zawezwę go! Zrobię to nawet zaraz za pośrednictwem doktora Warrena, który, zdaje mi się, poszedł przed chwilą na górę. A tobie, Jimmy, dziękuję i... wracaj teraz do domu!

Doktor Warren zdziwił się, zobaczywszy w przedpokoju pannę Polly, wyglądającą na podnieconą, z zaczerwienionymi policzkami, a jeszcze bardziej był zdumiony, gdy mu powiedziała:

— Panie doktorze! Prosił pan o pozwolenie zaproszenia na konsylium doktora Chiltona, wówczas nie zgodziłam się na to. Otóż obecnie rozmyśliłam się i życzę sobie, aby go pan zaprosił. Chciałabym, aby pan to zrobił zaraz... natychmiast... i z góry dziękuję!

ROZDZIAŁ XXIX. NOWY WUJ

Gdy następnym razem doktor Warren wchodził do pokoju Pollyanny, szedł za nim drugi, wysoki, barczysty mężczyzna.

— Doktor Chilton, ach, doktor Chilton! Boże, jak się cieszę, że pana widzę! — zawołała Pollyanna ze łzami wzruszenia w głosie. — Ale przecież ciocia Polly nie życzyła sobie...

— Wszystko jest w porządku, kochanie — przerwała panna Polly, która, wchodząc za nimi, usłyszała ostatnie słowa Pollyanny. — Chciałam, żeby doktor Chilton zbadał cię dziś razem z doktorem Warrenem.

— Więc ciocia prosiła go o przybycie?

— Owszem, kochanie, prosiłam... to znaczy...

Ale już było za późno: uszczęśliwiony wzrok, jakim doktor Chilton po tych słowach spojrzał na pannę Polly, mógł mieć tylko jedno znaczenie. Panna Polly zrozumiała go dobrze i zarumieniwszy się, wyszła z pokoju.

Podczas gdy doktor Warren, stojąc przy oknie, rozmawiał z pielęgniarką, doktor Chilton podszedł do Pollyanny i wyciągnął do niej ręce.

— Najlepszy uczynek, jaki kiedykolwiek zrobiłaś w życiu, zrobiłaś dziś, kochanie! — powiedział wzruszonym głosem.

A gdy tegoż dnia o zmroku, podczas gdy pielęgniarka jadła na dole kolację, ciocia Polly, jakaś inna, jakby odmieniona, usiadłszy przy łóżku Pollyanny, powiedziała jej drżącym ze wzruszenia głosem:

— Pollyanno, dziecino kochana, chcę ci coś powiedzieć... tobie pierwszej... Otóż w tych dniach będziesz miała nowego wuja, a wujem tym będzie... doktor Chilton! I żebyś wiedziała, dziecinko, że jest to twoja zasługa, że jestem w tej chwili szczęśliwa i zadowolona!

...Pollyanna na chwilę zaniemówiła — tak zaskoczyła ją ta nowina.

— Ciociu — powiedziała po chwili — czyżby to ciocia była tą, której serce doktor Chilton tak od dawna pragnął posiadać? O tak, to ciocia, na pewno ciocia! Rozumiem teraz, dlaczego powiedział mi, że dziś zrobiłam najlepszy uczynek w życiu! Ciociu kochana, tak mi dobrze, tak się cieszę, że nawet nie myślę o moich nóżkach!

Panna Polly wstrzymała łkanie.

— Nie wiadomo, kochanie, może pewnego dnia... — lecz nie dokończyła, gdyż nie śmiała jeszcze mówić o tej nadziei, którą dał jej doktor Chilton. Po chwili jednak powiedziała coś, co już było wystarczającym pocieszeniem dla Pollyanny:

— Pollyanno! W przyszłym tygodniu udasz się w podróż. W wygodnym małym łóżeczku przeniosą cię do wagonu i zawiozą daleko stąd, do lecznicy pewnego doktora, który leczy podobne wypadki bezwładu nóg. Jest to przyjaciel doktora Chiltona. Zobaczymy, co potrafi dla ciebie zrobić.

ROZDZIAŁ XXX. LIST POLLYANNY

„Kochani Ciociu i Wuju!

Już, już mogę chodzić! Przeszłam dziś od łóżka do okna! Co prawda, to sześć kroków tylko, ale jak dobrze stać na własnych na nogach! Wszyscy doktorzy patrzyli i uśmiechali się, a pielęgniarka płakała. Jedna pani, która jest tu w lecznicy i zaczęła chodzić w zeszłym tygodniu, przyszła sama popatrzeć, a druga, która spróbuje chodzić dopiero za kilka dni i którą przyniesiono, aby zobaczyła, jak się to odbywa, śmiała się i klaskała z radości

w dłonie. Nawet mała Murzynka, która myje podłogi, patrzyła przez drzwi i, zdaje mi się, też płakała. Nie rozumiem tylko, dlaczego one płaczą? Ja bym krzyczała i śpiewała z radości! Pomyśleć tylko, że mogę chodzić, chodzić, chodzić! Teraz już nie szkoda mi tych sześciu miesięcy, które tu przeleżałam. Zresztą byłam przecież obecna przy ślubie, bo ciocia była tak dobra, żeście wtedy przyjechali tu, bym mogła was widzieć.

Doktorzy powiadają, że prędko już będę mogła wrócić. Chciałabym wracać do domu na piechotę! Nie wiem, czy będę miała ochotę wracać koleją: przecież to tak przyjemnie chodzić! Tak mi dobrze, tak się ze wszystkiego cieszę! Cieszę się nawet z tego, że przez pewien czas nie mogłam władać nogami, bo wy nigdy, nigdy nie zrozumiecie, jak to przyjemnie móc chodzić, gdy się przedtem nie mogło. Jutro już zrobię osiem kroków!

A teraz ściskam Was oboje mocno, mocno.

Pollyanna".

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/porter-pollyanna/

Tekst opracowany na podstawie: H. Porter, Pollyanna, Wydawnictwo Warszawskie, druk Zakł. Graf. i Wyd. B. Matuszewski, Warszawa.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukcja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Monika Kępska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-7027-7

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.